Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 8 (1299) ROK XXVI 19 LUTEGO 1983 ROKU CENA 15 ZŁ

Sprawa generała Zagórskiego

Od czego zależy dobra praca

Co to jest transseksualizm?

Gwiazda

Ze Zdzisławą Sośnicką rozmawia Bohdan Gadomski

ZDZISŁAWA SOŚNICKA odżyła jako piosenkarka, pisze Zygmunt Kiszakiewicz w „Panoramie". Mniej wtajemniczeni nie wiedzą, że państwo Zdzisława i Jerzy Bajerowie pracują z ołówkiem i kalkulatorem w ręku. Piosenkarka i jej manager (w życiu prywatnym mąż) mają doskonałe wyczucie rynku, bacznie obserwują kto wchodzi, a kto z niego schodzi. Może dlatego, że Zdzisława Sośnicka na swoje wejście na ogólnopolski rynek piosenkarski czekała 9 lat?! W każdym razie mam prawo uchodzić za najwierniejszego biografa tej gwiazdy, jako że w ostatnich latach większość prasowych publikacji na temat Sośnickiej była mojego autorstwa.

Na wywiad typu „ring prasowy" Sośnicka wyraziła zgodę po półrocznym namyśle. Poprawki i skreślenia nanosiła też długo. Jaką pozycję zajmuje dziś ta piosenkarka w naszej muzyce rozrywkowej?

Podczas gdy jej liczni sympatycy piszą listy do Tv, radia i prasy z prośbami o jej nagrania, wywiady, zdjęcia, a niektórzy krytycy wyrażają opinie, że pienia pań Sośnickich i Jarockich kończą się, bo jest moda na rocka, ona sama wcale się tym nie przejmuje. Śpiewa w polonijnych klubach USA, jeździ po kraju z „Alex Bandem" i.... zaskoczyła nas wszystkich nową fryzurą i nowym kolorem włosów.

W środowisku i poza nim mówią o niej — gwiazda. Zgadza się, bo jest to autentyczna gwiazda na estradzie, gra tę rolę także w życiu. A może to już ostatnia z gwiazd takiego formatu w naszej odmienionej teraz piosence?

Publiczność polska lubi być adorowana, nie lubi być zmuszaną do wyrażania podziwu dla czyjejś pracy i talentu, jeżeli aplauz ma być spowodowany samym tylko przedstawieniem dzieła, nie poparty okrzykiem: specjalnie dla państwa, specjalnie na dzisiejszy wieczór, myśląc o państwu, ciesząc się z mego przyjazdu do...

Zdzisława Sośnicka nigdy nie podlizuje się publiczności, dlatego jest kontrowersyjna.

Dla tych, którzy ją uwielbiają i dla tych, którzy nie znoszą, dedykuję wywiad z Sośnicką, w którym jest ona wyjątkowo szczera i chyba mniej niż zwykle gwiazdorska.

— Śpiewać chciała Pani od zawsze?

— Śpiewać? Niekoniecznie. Zarówno ojciec, jak i mama byli bardzo muzykalni, ale ich życie układało się w ten sposób, że nie mogli się kształcić w tym kierunku. Mama już jako dorosła osoba zaczęła uczyć się grać na fortepianie i stąd instrument znalazł się w naszym domu. Do szkoły muzycznej chodziłam już od 7 roku życia, występowałam jako pianistka na wszystkich okolicznościowych koncertach. W Liceum im. A. Jagiellonki w Kaliszu stałam się „etatową" recytatorką, angażowaną do wszystkich imprez i akademii. Na studia wybrałam się do Poznania, na Wydział Teorii Pedagogiki, ale w końcu postanowiłam się specjalizować w dyrygenturze. Jeśli dziś mam dyrygować gościnnie w Telewizji NRD, to uchodzi to za ciekawostkę. Ale równie dobrze mogłoby być odwrotnie. Na piosenkę zdecydowałam się późno, a piosenka na mnie jeszcze później.

— W którym momencie doszła Pani do wniosku, że piosenka winna odegrać najważniejszą rolę w Pani życiu?

— Co najmniej parokrotnie zdawało mi się, że nadszedł właśnie ten moment. Po raz pierwszy w 1962 roku, kiedy kupiłam bilet na koncert „Niebiesko-Czarnych", ale nie zagrzałam miejsca na widowni, bo wystąpiłam wraz z zespołem w konkursie młodych talen-

10

Foto: Rafał Jesionowicz

Kolumbowie Syberii

HENRYK SROCZYŃSKI

Syberia — ta nazwa wywołuje różne skojarzenia. W przeszłości Rosjan i Polaków napawała lękiem. Maksym Gorki określił ją krajem „śmierci i łańcuchów". Były bowiem te bezkresne i skute lodem obszary miejscem, do którego zsyłano kryminalistów i więźniów politycznych. Były symbolem uległości i pokory człowieka wobec okrutnych warunków natury.

Dziś Syberia to przede wszystkim symbol Eldorado, krainy największych bogactw: złota, diamentów, ropy i gazu ziemnego, wszelkich rud i minerałów, i oczywiście niewyczerpanych zasobów drzewa. Nie bez zazdrości pisze się na Zachodzie, że Rosjanom oczy błyszczą, gdy mówią o Syberii, że to, co ukrywa ona pod zmarzliną, może uczynić ZSRR najbogatszym krajem świata. Może, ale wymagałoby to ogromnych finansów, inwestycji, techniki, a przede wszystkim milionów specjalistów. Na takie przedsięwzięcie Związku Radzieckiego jeszcze nie stać. Przyszłość Syberii, cokolwiek by o tym nie pisano, jest przyszłością dopiero dalszych pokoleń, pokoleń XXI wieku.

Tymczasem postęp zmienia wiele niekorzystnych wyobrażeń o Syberii i toruje drogę do jej podboju. Kiedyś przerażały odległości na tym jakby subkontynencie. Dziś, wobec gęstej sieci komunikacji lotniczej, każdy dystans ma tu już inne wymiary. W Jakucku czy Norylsku jest tak tłoczno w portach lotniczych, jak na dworcach kolejowych w Charkowie czy Jarosławiu: dla jednych i drugich czas podróży jest ten sam, a przebywane odległości wiele razy większe. Ogromny wydaje się dystans między Moskwą a wybrzeżami Oceanu Spokojnego (różnica aż 8 stref czasowych), ale w rzeczywistości stąd do stolicy jest tylko 9 godzin lotu.

Jeszcze do niedawna nie bardzo wiedziano jak sobie poradzić z budową miast na wiecznej zmarzlinie; wyższe domy z „wielkiej płyty" rozgrzewały swym ciężarem podłoże i zapadały się w nim jak w bagnie; pękały też niczym zapałki rury wodociągowe i kanalizacyjne. Dziś np. w Jakucku, wznosi się na zmarzlinie nawet wieżowce —

11

„Żydówka" dzisiaj

JERZY KWIECIŃSKI

Widz współczesny, który zna Eugeniusza Scribe'a w najlepszym razie z jego „Szklanki wody", grywanej z rzadka po wojnie w polskich teatrach, a dziś ogląda na scenie operowej jeszcze mniej u nas znaną „Żydówkę" Halevy'ego, z pewnym zaskoczeniem mógłby przyjąć do wiadomości, że jej libretto wyszło spod pióra tegoż autora. Tak wielka jest bowiem odmienność zainteresowań i predyspozycji twórczych ujawnionych w owej mieszczańskiej komedii, charakteryzującej się realistycznym ujęciem i w pełnym dramatyzmu romantycznym libretcie opery. To jednak ten sam Scribe, którego współpraca zapewniła sukces doświadczonemu już, ale ciągle nie dość fortunnemu kompozytorowi.

Nie mniejsze chyba, choć innego rodzaju zaskoczenie może stanowić usytuowanie akcji libretta na tle wydarzeń związanych z soborem w Konstancji, zwołanym głównie po to, żeby położyć kres rozłamowi w Kościele i gorszącym walkom o władzę pomiędzy trzema jednocześnie funkcjonującymi papieżami, a przy tym osądzić Jana Husa, którego wojska zostały rozbite przez siły katolickie. Był to zresztą okres okrutnych prześladowań innowierców przez Świętą Inkwizycję, ale rozpalane wówczas stosy płonęły głównie dla „heretyków", odstępców od kościelnych dogmatów lub przeciwników instytucji papiestwa, a chyba w daleko mniejszym stopniu dla niechrześcijan. W środkowej Europie Żydzi padali najczęściej ofiarą sfanatyzowanych religijnie tłumów, niejednokrotnie inspirowanych przez koła inkwizycyjne.

Ta historyczna „nietypowość" nie osłabia zresztą szlachetnych intencji przyświecających dziełu Scribe'a i Halevy'ego, które w swej oskarżycielskiej wymowie, jak bodaj żadna inna opera, piętnuje zło nietolerancji a w tej swojej warstwie znaczeniowej jest do dziś ideowo nośne. Dokonał więc trafnego wyboru Halevy proponując współpracę cieszącemu się uznaniem i popularnością libreciście.

Nie bez głębszych powodów tyle się zawsze pisze w związku z „Żydówką" o treści libretta i wspomina o podłożu historycznym akcji, przypomniałbym więc jeszcze, że sławnemu soborowi (1414—18) należy się poczesne miejsce w naszej świadomości historycznej (na której

8

Przegląd prasy

CZY W 1933 ROKU MOGŁA WYBUCHNĄĆ WOJNA Z NIEMCAMI!

Na pytanie to próbuje odpowiedzieć w „ŻYCIU LITERACKIM" (nr 7 z 13 lutego 1983 r.) Olgierd Terlecki. Chodzi o wojnę prewencyjną, którą przeciw Niemcom, gdzie zachodziły groźne dla przyszłości świata procesy polityczne i społeczne, chciała podjąć Polska. Otóż właśnie, czy chciała?

Olgierd Terlecki cytuje opinię gen. Wacława Stachlewicza, od 1935 roku szefa Sztabu Głównego, który twierdził:

„...Na tle tak niebezpiecznie dla Polski zarysowującej się sytuacji Marszałek Piłsudski wystąpił do Francji z sojuszniczą propozycją wojny prewencyjnej, by w zarodku zapobiec rozwinięciu potęgi niemieckiej..."

Olgierd Terlecki prześledził ogrom materiałów i z dedektywistyczną niemal skrupulatnością odkrywał ślady owej inicjatywy. W wyniku tej penetracji doszedł do wniosku, że istotnie taka inicjatywa była podjęta, aliści była to inicjatywa tajna, która spotkała się z odmową we Francji. Stąd — utrzymuje Olgierd Terlecki — niektórzy Francuzi raczej na temat tej inicjatywy milczą, a pytani wprost — zaprzeczają. Inni natomiast piszą różnie, na ogół tyle, ile wówczas do nich na ten temat dotarło.

Długoletni ambasador Francji w Berlinie (aż do 1938 r.) André Fracois-Poncet w wydanej również w Polsce książce „Byłem ambasadorem w Berlinie" tak na ten temat pisze:

„Wydaje się rzeczywiście, że marszałek Piłsudski dość prędko zrozumiał niebezpieczeństwo na przyszłość dojścia do władzy narodowego socjalizmu i reżimu hitlerowskiego. Przypuszczalnie zdał sobie sprawę, że należy zdusić to niebezpieczeństwo, zgnieść je w zarodku zanim stanie się zbyt groźne..."

O. Terlecki komentuje ten zapis, jako *„zestrzelenie się w jedno trzech polskich działań"*: chodzi tu o wizytę polskiego niszczyciela „Wicher" w Gdańsku, wysadzenie na Westerplatte kompanii piechoty i sondowanie opinii we Francji o możliwości poparcia Polski w wypadku wypowiedzenia przez nią wojny prewencyjnej Niemcom.

Większość zebranych i przeanalizowanych przez O. Terleckiego opinii i materiałów wskazuje, że istotnie taka inicjatywa była przez Polskę podjęta. Do Paryża jeździli w tych sprawach: Jerzy Potocki, Bolesław Wieniawa-Długoszewski i Ludwik Hieronim Morstin.

„W tym czasie — pisze Olgierd Terlecki — *jednym z adiutantów Piłsudskiego był znany pisarz, major Mieczysław B. Lepecki. 18 kwietnia 1933 roku przepisywał na maszynie tekst projektu Piłsudskiego dla prezydenta Mościckiego, dekretu „Na wypadek wojny z Niemcami" przewidującego powołanie w takim wypadku rządu obrony i jedności narodowej. Lepecki zapytał, czy trzeba liczyć się z napadem Hitlera. Piłsudski miał odpowiedzieć: „Nawet gdybyśmy my na niego napadli, to też byłaby obrona". Nikt nigdy Lepeckiego nie podejrzewał o fabrykowanie anegdot."*

Był to czas, gdy trwała wojna celna z Niemcami. Miał ją zakończyć podpisany w 1930 roku układ handlowy, ale nie został ratyfikowany. W czerwcu 1932 roku „Wicher" udaje się do Gdańska, gdzie przyjmuje wizytę okrętów brytyjskich. Francja jest obojętna na rosnące zagrożenie jej sojuszniczki — Polski. W lipcu 1932 r. Polska zawiera pakt o nieagresji ze Związkiem Radzieckim. Wywołuje to niemal oburzenie w Paryżu. W styczniu 1933 roku Jerzy Potocki — jak wszystko na to wskazuje — udaje się do Paryża w tajnej misji wybadania francuskiej opinii na wypadek wypowiedzenia przez Polskę wojny prewencyjnej Niemcom. Ale ta opinia jest negatywna. W lutym w Gdańsku policję Rady Portu zastępuje się policją podległą władzom miasta. 5 marca partia hitlerowska wygrywa wybory w Gdańsku. 6 marca 1933 roku na Westerplatte ląduje dodatkowa kompania Wojska Polskiego. Wybucha międzynarodowa afera, ale senat Gdańska cofa uchwałę w sprawie miejskiej policji.

Powoli napięcie wygasa. Ale jeszcze w listopadzie Ludwik Hieronim Morstin uda się do gen. Weyganda — ożenionego z Polką i zaprzyjaźnionego z L. H. Morstinem — aby zapytać go, czy w wypadku wypowiedzenia wojny prewencyjnej Niemcom Francja ogłosi mobilizację i wywiąże się z dalszych zobowiązań sojuszniczych. Rząd francuski zebrał się w tej sprawie dwukrotnie. Odpowiedź była negatywna.

„Sprawę propozycji wojny prewencyjnej — pisze w zakończeniu Olgierd Terlecki — *widzieć trzeba i rozpatrywać powtórzmy, nie jako pewien odrębny incydent, lecz jako jedno z ogniw łańcucha działań i wydarzeń, łańcucha, w którym ogniwo to mieści się najzupełniej logicznie."*

Nasze zainteresowania historią nie są ani przypadkowe, ani okazjonalne, choć często jeszcze pisuje się na te tematy właśnie z okazji rocznic. To zainteresowanie bierze się z nieustannej chęci poznawania przeszłości, rozumiejąc, że ona również w jakimś stopniu waży na teraźniejszości. Dobra znajomość przeszłości — tak się nam przynajmniej wydaje, a są tacy, którzy mówią, że to tylko złudzenie — pozwoli uniknąć minionych biędów i lepiej kształtować teraźniejszość, a przez to i przyszłość. Właśnie w przyszłość — i to najbliższą wybiega Jan Grzędzielski we wznowionym niedawno miesięczniku „ZARZĄDZANIE" (nr 1 ze stycznia 1983 r.) w rozmowie z zastępcą kierownika Wydziału Kadr KC PZPR — Jerzym Wójcikiem. Tematem rozmowy są oczywiście

ZASADY POLITYKI KADROWEJ PZPR

Jest to temat budzący powszechne zainteresowanie, nie jest nam bowiem obojętne, kto nami kieruje i na jakich zasadach ma tym kierownikiem zostać. Jerzy Wójcik zapewnia, że partia *„nie będzie wyręczała ogniw kompetentnych"*, ale *„będzie się starała o to, aby wszędzie tam, gdzie rozstrzyga się o problemach kadrowych, gdzie dba się albo powinno się dbać o rezerwę kadrową, o przygotowanie kadr — znane były naukowe podstawy tego problemu".*

Każda partia na całym świecie ma stanowiska zastrzeżone dla swoich ludzi. *„Chodzi jednak o to* — powiada Jerzy Wójcik — *żeby stosowanie tej zasady nie szkodziło, żeby była stosowana w ograniczony sposób i tam, gdzie naprawdę jest konieczne. Chcemy raz na zawsze zerwać z tzw. karuzelą kadrową."* Ale też *„członkowie partii na kierowniczych stanowiskach muszą (...) przestrzegać dyscypliny partyjnej. Co do tego nie może być żadnej wątpliwości — im wyższe stanowisko, tym większe wymagania i większa odpowiedzialność"*. Partia bowiem może rekomendować na dane stanowisko, ale ma też prawo — jeśli uzna to za niezbędne — cofnąć rekomendację.

Jak się będzie rekomendować?

„Rekomendacji na stanowisko kierownicze — powiada J. Wójcik — *będzie udzielała organizacja partyjna. Taką samą procedurę należy stosować w doborze kandydatów do rezerwy kadrowej. I jeszcze jedno — musi to być proces ciągły i jawny w toku pracy partyjnej. Opiniowanie przed nominacją i po nominacji. Pragnę podkreślić mocno problem opiniowania. Zgodnie z założeniami zostanie opracowany system permanentnej oceny wartości kadr kierowniczych, na który będą składały się oceny dokonywane na corocznych przeglądach kadrowych i opiniowanie okresowe co 4 lata. Oceny te, w stosunku do zainteresowanych, będą wypracowywane kolektywnie, na podstawie jednolitych i zrozumiałych dla wszystkich kryteriów. Będą one również jawne w relacji przełożony-podwładny. Stąd więc zasadą polityki kadrowej będzie ciągła ocena kadr, stanowiąca podstawowy element realizacji w praktyce przyjętych założeń."*

To są oczywiście założenia. Ma odbyć się plenarne posiedzenie KC PZPR poświęcone polityce kadrowej, a dopiero później nastąpi praktyka która nie od razu będzie pewnie doskonała i prosta. Potrzeba na to czasu, jak na każdy proces.

Nie wiem jednak zupełnie, dlaczego trzeba aż przeszło miesiąca, aby 1 numer z 1 stycznia 1983 roku „WIADOMOŚCI PRODUKCYJNYCH" mógł do mnie dotrzeć. Co prawda nie ma tam wiadomości, które mogłyby się natychmiast zdezaktualizować, ale na przykład „Sprawa z minionego roku..." Juliana Ciesonika mogłaby do tego czasu stać się rozwiązana. Ale tak się nie stało i Czytelnik „Wiadomości Produkcyjnych" może prześledzić jeszcze raz spór między ŁZR „Fonica" w Łodzi a Pabianickimi Zakładami Środków Opatrunkowych. Spór toczy się o lokal. Jest nim hala produkcyjna budowana w Pabianicach dla „Foniki", a decyzją Komitetu Gospodarczego Rady Ministrów z 3 marca 1982 roku przyznana PZŚO. Niedługo będziemy obchodzili — Polak to lubi! — pierwszą rocznicę tej decyzji. W sporze głos zabierała „Polityka" (nr 12 z 8 maja 1982 r.), głos zabierał „Sztandar Młodych" (z 10 listopada 1981 r..)

SPÓR O HALĘ FABRYCZNĄ W PABIANICACH

trwa i jego końca nie widać. „Fonice" pieniądze za wybudowaną halę nie są potrzebne, jej potrzebna jest hala. PZŚO są bardzo niedofinansowane, a środki opatrunkowe potrzebne wszystkim. *„Gramofony czy wata"* — pyta Julian Ciesonik i stwierdza, że *„hala nadal stoi pusta, ale zimę chyba przetrzyma"*. Też mam taką nadzieję. Póki co „Fonica" nie chce się zgodzić na zastępczą w Łasku, innej jakoś nie widać. Czas ucieka. „Polityka" ostrzegała, że PZŚO mogą rozpocząć pracę w hali „Foniki" gdzieś w 1985 roku, a Julian Ciesonik — optymista — mówi już o 1986 roku. Jak wszystko dobrze pójdzie, to poczekamy do 1990. I po drodze obejdziemy sobie kilka jubileuszów różnych decyzji i postanowień, bo jakże inaczej.

W Łodzi mamy spór o halę, a tymczasem

W OSTROŁĘCE WYBUCHŁ SKANDAL

Dokładną relację zamieścił „PRZEGLĄD TYGODNIOWY" (nr 6 z 6 lutego 1983 r.) pióra Michała Bołtryka zatytułowaną „Miłość prominenta czyli skandal w Ostrołęce". Oto wyjaśnienie całej „afery":

„W „Tygodniku Ostrołęckim" wydrukowano fragment powieści Edwarda Kupiszewskiego zatytułowanej „Pokochać w sierpniu". Amory „światowca" z wiejską kobietą.

Rzecz dzieje się współcześnie, w roku 1980, a dokładniej — jak mi ujawnił pisarz — 18 i 19 sierpnia.

Kto może być „światowcem" w powieści poświęconej wydarzeniom 1980 roku? Oczywiście prominent.

Prominent, jak każdy człowiek, ma prawo do miłości. Nawet jeśli kocha się z wiejską kobietą i to nad Narwią, jak w powieści Kupiszewskiego. Z tego powodu Ostrołęka i okolice nie powinny przeżyć wstrząsu. A jednak skandal powstał. Bo oto autor zamiast napisać „...i wtedy zbliżyli się do namiotu. Wyszli po paru godzinach zmęczeni, ale zadowoleni", rozbudował scenę erotyczną, do której wprowadził elementy „miłości francuskiej", chociaż — jak usłyszałem w rozmowach z niektórymi zawiedzionymi ostrołęckimi kobietami — jednostronnej, bo tylko w wydaniu męskim.

Redaktor naczelny tygodnika, Janusz Foss uznał, że fragment powieści jest drukowalny. Redakcyjny grafik uzupełnił tekst dwoma rysunkami. Na jednym z nich były dwa serca złączone elementem męskości, na drugim motywy ust i znów elementy męskości.

Cenzor nie wyraził sprzeciwu. I tygodnik mógł wyjść z drukarni."

Numer rozkupiono w ciągu dnia. I zaczęło się. Do tej pory do redakcji telefonowano w sprawie ogłoszeń, teraz z oburzeniem. Ale byli tacy, którym się to podobało. Edward Kupiszewski napisał list do redakcji, wymieniając — złośliwie i przekornie — czego to jego zdaniem mieszkańcy Ostrołęki nie robią. Bo zarzucono mu, że zdemoralizował społeczeństwo. Niektórzy kupowali jeszcze „Tygodnik Ostrołęcki" z rozpędu, czekając na ciąg dalszy powieści. Pytano o nią w księgarniach. Ale powieść jeszcze w całości nie napisana „Tygodnik Ostrołęcki" znów nie cieszy się taką popularnością, jak cieszył się numer z „Pokochać w sierpniu".

Aby w życiu była równowaga „PRZEGLĄD TYGODNIOWY" (nr 7 z 13 lutego 1983 r.) donosi, że

SKANDAL WYBUCHŁ RÓWNIEŻ W WARSZAWIE

z powodu mniej więcej podobnego. Mówiono o tym w DTV, pisał „Express Wieczorny", „Polityka", „Tu i Teraz" i wiele innych pism. Chodzi o plotki wokół kalendarzyka z gołymi panienkami. Kto nie zdążył kupić go w kiosku „Ruch" za 160 zł, może nadrobić brak, niech tylko kupi „LITERATURĘ" (nr 2 z 1983 r.), gdzie na ostatniej stronie w collage'u Krzysztofa Karonia może obejrzeć część z tego kalendarzyka. Jedynie za 60 zł. W kolorach.

O skandalu wokół kalendarzyka pisano nawet w prasie zagranicznej. Miała to być kolosalna afera. I co? I nic. Jak to zwykle u nas z aferami. Okazało się, że producent w NRD miał przeznaczone wolne moce w poligrafii dla Polski. Polska nie miała co drukować — wiadomo kryzys, a chodziło o reklamę, o foldery itp. Ktoś chwycił pomysł i zaprojektowano kalendarzyk na rok 1983. Kto? Oto rejestr tych, którzy na tym interesie zarobili:

„Przedsiębiorstwo Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa — Książka — Ruch", — 8 mln zł brutto;

Scangraph — 10 mln netto;

Interpress — około 4 mln zł (dokładnej kwoty nie potrafi określić);

ZIMEX, czyli NRD-owska poligrafia — 30 087 rubli i 48 kopiejek (cena kontraktowa);

Ars Polona — 18 proc. prowizji od tej ostatniej sumy razy 68 zł (aktualny bankowy przelicznik rubla), co czyni niecałe 400 tys. zł;

Władysław Pawelec — 110 tys. zł brutto (wg cennika ZPAF);

Dla wyjaśnienia: Scangraph — zagraniczne przedsiębiorstwo działające od 4 października 1982 roku w Warszawie, Władysław Pawelec — znany fotografik, specjalizujący się między innymi w aktach i portretach, autor wielu zdjęć do kalendarzy reklamowych wydawanych przez liczne szacowne krajowe firmy. I jakoś nikt nie robił z tego problemu, a przeciwnie, wielu czyniło wszystko, aby mieć u siebie taki kalendarz.

Gdyby ci wszyscy kontrahenci byli czarno na białym wypisani w „stopce", albo metryczce, to być może nie byłoby całej afery i potoku plotek. Ale była. Dziś wszyscy kontrahenci, choć zamknęli sprawę zyskami, czują jakiś niesmak, niezadowolenie. Czy powinni?

I na zakończenie, jak zawsze (od pewnego czasu zresztą)

ŁÓDZCY AUTORZY NA OBCYCH ŁAMACH

— 10 numer „POEZJI" (jeszcze z 1982 roku, ale „Poezja" ukazuje się z ogromnym opóźnieniem, jak i inne tego rodzaju miesięczniki) przynosi wiersze Jerzego S. Feliksiaka, Tadeusza Chróścielewskiego i Romana Gorzelskiego.

„ŻYCIE LITERACKIE" (nr 7 z 13 lutego 1983 r.) artykuł Grzegorza Gazdy o Stefanii Skwarczyńskiej „Los i doświadczenie pokolenia", wiersze Tadeusza Gicgiera oraz recenzję Tadeusza Błażejewskiego „Paradoksy i intymność poezji".

Przy okazji chciałbym wyjaśnić, że wprowadzając tę rubrykę — jeśli to tak można nazwać — nie było i nadal nie jest moim zamiarem rejestrowanie absolutnie wszystkiego, co łódzcy autorzy gdziekolwiek opublikują. Nie miałoby to żadnego sensu, bowiem „Odgłosy" nie mają ambicji być przeglądem bibliograficznym. Chodzi mi przede wszystkim o to, że mimo sporej ilości pism na rynku czytelniczym możliwości druku nie są aż tak wielkie i oferta publikowania w „Odgłosach" jest nadal aktualna. Dlatego swój przegląd publikacji łódzkich autorów ograniczam najczęściej do pism najszerzej czytanych.

LUCJAN BOGUSZ ■

NA FORUM OKK O PŁACY SPRAWIEDLIWEJ

Odbył swoje kolejne posiedzenie *Obywatelski Klub Konsultacyjny* — społeczne ciało opiniodawcze, skupiające grono przedstawicieli łódzkiego środowiska intelektualnego. Temat, przedstawiony pod dyskusję przez *prof. dr hab. Stanisławę Borkowską* dotyczył zagadnienia płacy sprawiedliwej, a oscylował wokół problematyki „równości i sprawiedliwości", które to pojęcia w najszerszych kręgach społecznych wzbudzają nie od dziś wiele emocji i rodzą rozliczne wątpliwości.

Również w środowisku intelektualnym dochodzi do głosu rozbieżne nieraz rozumienie ekonomicznych i społecznych uwarunkowań sprawiedliwego wynagrodzenia za pracę, choć wszyscy w zasadzie zgadzają się, że płaca powinna być współmierna do wkładu pracy i do jej ekonomicznej efektywności. Ale jakie mierniki oceny pracy? (to — gwoli sprawiedliwości). Ale jakie minimum socjalne (niezależnie od wartości czyjejś pracy), które w naszym ustroju pragniemy zapewnić każdemu z tej racji, że ... żyje, że jest naszym współobywatelem? (to znów — gwoli równości). Słowem — ile się każdemu, stosownie do aktualnych możliwości państwa, należy z tytułu ochrony socjalnej najsłabszych, a jak dzielić to co zostaje wypracowane osobistą zasługą każdego z nas...

Wymiana poglądów — jak zwykle na tym forum — była ożywiona, a odmienne stanowiska odznaczały się tak pożądaną pryncypialnością, bez której każda dyskusja staje się jałowa, pozbawiona szerszych odniesień i wszelkich perspektyw.

Z OKAZJI PIĘĆDZIESIĄTEJ ROCZNICY DZIAŁALNOŚCI N. CEAUSESCU

Tygodnik ROMANIA LITERARA (nr 5) opublikował artykuł pt. „Wpisane w czas", informujący o okolicznościowych wydawnictwach, poświęconych jubileuszom Ceausescu.

Nasze oficyny wydawnicze — pisze tygodnik — opublikowały w tych dniach „najbardziej reprezentatywne utwory, czczące 50-rocznicę rewolucyjnej działalności Nicolae Ceausescu i dzień jego urodzin".

Wydawnictwo „Eminescu" opublikowało z tej okazji 3 tomy. Pierwszy — antologia poezji i prozy pt. „Wpisane w czas" — przedstawia twórczość 136 autorów.

Druga pozycja, wydana nakładem „Eminescu" to książka Ionа Cringuleanu pt. „Twórca od podstaw", która — jak pisze ROMANIA LITERARA — zawiera wiersze.

Tom pt. „Ideały" Conreliu Vadina Tudora zawiera — jak informuje tygodnik — ostatnie poezje i fragmenty publicystyki tego autora.

Wydawnictwo wojskowe — kontynuuje ROMANIA LITERARA — oddało do druku 3 utwory beletrystyczne, „którymi czci rewolucyjną działalność i rocznicę urodzin najwyższego dowódcy naszych sił zbrojnych".

Następne dwa tomy wydawnictwa wojskowego — pisze tygodnik — są antologiami utworów 70 współczesnych poetów wszystkich pokoleń.

250 ROCZNICA ŚMIERCI AUGUSTA MOCNEGO

W Dreźnie odbyło się kolokwium naukowe poświęcone historii księstwa Saksonii na przełomie XVII i XVIII w., z udziałem 80 naukowców z dziedziny historii, historii sztuki, architektury i numizmatyki. Okazją do jego zorganizowania była 250 rocznica śmierci Augusta Mocnego, elektora saskiego i króla saskiego (1. II.1733).

Podstawowe referaty wygłosili: dyrektor Archiwum Państwowego w Dreźnie, dr Reiner Gross, który podkreślił, iż okres panowania Augusta Mocnego jest znaczący dla marksistowsko-leninowskich badań naukowych historii Saksonii oraz dyrektor Instytutu Historii i Archiwistyki Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, dr Jacek Staszewski.

Naukowiec polski dokonał analizy aspektów wzajemnych stosunków ówczesnej Polski i Saksonii i podkreślił, iż wymagają one jeszcze dokładnych badań. Elektor saski i król polski usiłował wprawdzie opanować i absolutystycznie zreformować oba państwa tak rozbieżne pod względem politycznym, społecznym i gospodarczym, jednak nie osiągnął zamierzonych celów.

Dr Staszewski zaznaczył wpływ Saksonii na rozwój manufaktur w Polsce oraz zwrócił uwagę na najnowsze badania dotyczące wpływu saksońskiego na polski korpus kadetów w Dreźnie.

PODWYŻKA CEN W JUGOSŁAWII

Na posiedzeniu Rady Konfederacji Związków Zawodowych Jugosławii ostro skrytykowano decyzję o podwyżce cen tak żywotnych dla społeczeństwa artykułów, jak wszelkie gatunki mięsa, drobiu, ryb. Chodziło głównie o sposób jej dokonania. Przewodniczący Rady, Bogolju Nedeljkovic oświadczył, że rząd ustalił i wprowadził w życie nowe ceny bez konsultacji i uzgodnień z kierownictwem związków, i że z taką praktyką nie można się pogodzić. „Dowiedzieliśmy się o wzroście cen z radia i telewizji" — powiedział Nedeljkovic.

Na posiedzeniu podkreślono, że na związkach zawodowych spoczywa sposobami radykalnemu spadkowi stopy życiowej ludzi pracy teraz ogromny obowiązek przeciwdziałania wszelkimi dostępnymi.

SPROSTOWANIE

W poprzednim numerze „Odgłosów" do publikacji pt. „Dokąd zmierza ZSL" wkradł się błąd, zaistniały nie z winy autora. Otóż na wsi jest 220 tys. członków PZPR i 320 tys. członków ZSL.

■

Dziewiętnaście minionych miesięcy

W ubiegłym tygodniu obradowała na swojej Konferencji Sprawozdawczej łódzka organizacja partyjna. Prasa codzienna dokładnie informowała o jej przebiegu, uczestnikach, podjętych uchwałach. W niniejszym artykule chciałbym natomiast odpowiedzieć sobie i czytelnikom na parę istotnych pytań. Mianowicie: jaki jest stan i kondycja łódzkiej organizacji, z jakim programem wychodzi ona do społeczeństwa, wreszcie, w jaki sposób chce odzyskać, mocno przecież zachwianą, wiarygodność.

Właściwie odpowiedź można odnaleźć w referacie Egzekutywy KŁ, oceniającym 19 minionych miesięcy trwającej kadencji instancji partyjnych wybranych w czerwcu 1981 r. i wprowadzającym do dyskusji. Był on obszerny, wyczerpujący, wyczyszczony z pięknych słów i okrągłych zdań. Zawierał bowiem ocenę sytuacji w Łodzi po sierpniu 1980, kiedy to gwałtownie spadła produkcja (aż o 14 proc.), a dochód narodowy w województwie obniżył się o ponad 13 proc. W zakładach pracy rozpanoszyła się anarchia, rozluźniła dyscyplina, zapanował terror. Partia znalazła się w defensywie. Wielu ludzi nie wytrzymało tej presji, załamali się, inni — przeszli na wrogie pozycje. Strajki sparaliżowały codzienne życie, opustoszały półki w sklepach, więzy ekonomiczne pomiędzy miastem a wsią zostały zerwane, wydłużyły się kolejki. Opozycja nawoływała do przerwania pracy, do bojkotu, do nieposłuszeństwa, wskazując jednocześnie winnego — partię.

W tej dramatycznej sytuacji, kiedy ważyły się losy kraju i narodu, właśnie partia potrafiła dokonać konsolidacji najwierniejszych swoich członków. Zwołany IX Nadzwyczajny jej zjazd potwierdził tę prawdę, a wysunięty program był jedynym możliwym, który mógł uratować kraj od katastrofy. I właśnie na zjeździe partia wysunęła propozycję porozumienia z każdym, kto tego porozumienia pragnął i kto w konsolidacji sił postępowych dostrzegał odrodzenie się i umacnianie socjalizmu w Polsce.

Referat zawierał także część poświęconą stanowi wojennemu. Wbrew insynuacjom opozycji i opiniom ludzi niezorientowanych, wprowadzenie stanu wojennego uchroniło Polskę od tragedii: zapobiegło wojnie domowej. Historycy w przyszłości właściwie ocenią to posunięcie. To przecież dzięki stanowi wojennemu można było zaprowadzić ład na naszych ulicach, porządek w zakładach pracy, kopalniach i portach. Stan wojenny dopomógł także w procesie oczyszczania partii. Odeszli z niej ludzie przypadkowi, wątpiący w słuszność jej programu, usunięto z jej szeregów nosicieli idei rewizjonistycznych, oportunistów, karierowiczów, bezideowców. Proces oczyszczania nie jest zakończony, jego ciągłość i kontynuacja jest gwarantem coraz silniejszej konsolidacji wewnątrzpartyjnej. Dziś łódzka organizacja partyjna jest mniej liczna, niż dwa lata temu. Liczy jednak ponad 87 000 członków. Wzrasta także ilość podań o przyjęcie w poczet jej kandydatów. Zgłaszają się przeważnie ludzie młodzi, robotnicy i studenci. Partia, mimo wszystkich zakrętów historii, musi być ta sama, choć nie może pozostać taka sama.

Przeniesione na polski grunt węgierskie powiedzenie, że **„kto nie jest przeciwko nam, ten jest z nami"**, tu, bierze dziś szczególnej wymowy. Dziś uważa się, iż kto nie jest przeciw socjalizmowi, ten jest naszym potencjalnym sprzymierzeńcem, na niego możemy liczyć w toczące się walce o porozumienie społeczne, o odradzanie się gospodarcze, o przezwyciężanie kryzysu, o wprowadzanie reformy gospodarczej.

Wspomniałem o kryzysie. Tylko w pierwszym półroczu 1982 roku z powodu braku surowców lub ograniczonej ich dostawy trzeba było okresowo ograniczyć lub wstrzymać produkcję w 22 przedsiębiorstwach. Wystąpiły jednocześnie nowe, nieznane dotąd, zagrożenia: spadek zatrudnienia w grupie pracowników bezpośrednio produkcyjnych. Złożyły się na to zmiany demograficzne, powszechna realizacja ustawy o możliwości wcześniejszego przechodzenia na emerytury, renty chorobowe, wprowadzenie zasiłków wychowawczych dla kobiet. W łódzkiej aglomeracji odeszło z produkcji aż 48 tysięcy osób!

Obserwujemy, co prawda powolny, proces normalizacji życia w kraju. Powstały warunki wprowadzenia samorządów pracowniczych, działają związki zawodowe, sprawnie funkcjonuje system motywacyjny. Jednak nadal wiele do życzenia pozostawia problem efektywności gospodarowania.

Jakże mylnie pojmowana jest przez wielu kierownicza rola partii. Wiadomo, jaką ocenę wystawiła opozycja, co o tym mówią wrogie nam ośrodki propagandy. A przecież kierownicza i przewodnia rola to między innymi obowiązek wnikliwego analizowania potrzeb, nastrojów i oczekiwań społecznych. Partia, jak wspomniano w refracie KŁ, **„musi być rzecznikiem społeczeństwa wobec administracji państwowej i gospodarczej"**, która **„w miarę istniejących i powstających możliwości powinna te oczekiwania i potrzeby zaspokajać, wychodzić im naprzeciw"**. Łódzka organizacja partyjna z uwagą i wnikliwością analizowała trudności występujące w pracy budownictwa mieszkaniowego, komunikacji, służby zdrowia, itp. Oczywiście, partia swoje działania opierała i będzie opierać na doborze kadry, bo o sukcesach i porażkach zawsze decydują ludzie. Dlatego całą uwagę skierowano na wykorzystanie potencjału intelektualnego, na ludzi z talentem organizacyjnym. Stąd dobór kadry drogą konkursów.

Drugi już rok obowiązuje nas reforma gospodarcza. Partia ma w tym procesie szczególną rolę. Dla wszystkich jej instancji wynikają stąd zadania inspiracyjne i kontrolne w procesie jej wdrażania. Zebrania organizacji partyjnych muszą być tym forum, na którym mówi się o sytuacji w przedsiębiorstwie, wskazuje na osiągnięcia, lecz wytyka braki, niedbałość, marnotrawstwo. Partia powinna dokonywać analiz wykorzystania zdolności produkcyjnych przedsiębiorstwa, wspierania inicjatyw zmierzających do obniżki kosztów, zwracać więcej uwagi na relacje zachodzące pomiędzy wzrostem płacy, wydajnością, wielkością produkcji a poziomem cen stosowanych przez przedsiębiorstwa.

Partia — jak to wynikało z wystąpień w dyskusji — ma nadal sporo do zrobienia na wsi. Rolnictwo i gospodarka żywnościowa to dział niezwykle ważny, mający duży wpływ na nastroje społeczne. Błędy popełnione w latach 70 ostro wystąpiły dopiero teraz, w wyniku restrykcji wprowadzonych przez kraje zachodnie. Dlatego zgodnie z uchwałą wspólnego plenarnego posiedzenia KC PZPR i NK ZSL, w rolnictwie wszystkie zadania zostaną podporządkowane jednemu celowi: uzyskaniu samowystarczalności w produkcji rolnej.

Ale — mówiono — należy niezwykle ostro odnosić się do przejawów biurokracji, klikowości, korupcji, słowem — tego wszystkiego, co narusza normy etyczno-moralne. Dziś partia pozostaje w odczuciu społecznym synonimem władzy. Dlatego trzeba wszelkimi sposobami dążyć do jej czystości poprzez śmiałą krytykę. A przecież bywa nadal i tak, że krytykujący ponosi karę za swą odwagę i obywatelską troskę. Tych założeń, głębokich przeobrażeń w kierunku odnowy, nie da się wcielić w życie bez poparcia klasy robotniczej, bez przywrócenia należnego miejsca partii w zakładach pracy. Musi stać się oczywistością fakt, że partia funkcjonuje w życiu robotników, robotnicy zaś odnajdują swoje miejsce w partii. Jednakże należy pamiętać i tę prawdę, że klasa robotnicza jest dziś zróżnicowana, jej stopień świadomości został zachwiany. Toteż potrzebny jest śmiały dialog, przekonywanie, argumenty.

Sporo miejsca poświęcono idei porozumienia narodowego. Jest to platforma dla współdziałania wszystkich ludzi, dla których dobro ojczyzny i narodu jest sprawą najważniejszą. Siła tego ruchu polega na autentyzmie działań, a jego rozwój odbywa się wspólnie z ZSL, SD, ze Stowarzyszeniem PAX i Chrześcijańskim Stowarzyszeniem Społecznym. PRON jest zjawiskiem nowym, jego założenia często rozsadzają stare formy i utarte szablony działania, lecz jest on szansą na zjednanie milionów we wspólnym dążeniu, które może na trwałe zapewnić spokój w naszym domu — Polsce Ludowej.

Jeden z dyskutantów, w nawiązaniu do konsolidacji, mówił o środowisku ludzi kultury i sztuki. To prawda, że w tej sprawie należy uczynić wiele. Część twórców odeszła na tzw. emigrację wewnętrzną, inni stosują bojkot. Pytanie: przeciwko komu? Przeciw władzy? Raczej już przeciw klasie robotniczej, powodując w ten sposób jej odejście od kultury, jej wyjałowienie. Inny mówca wskazywał na spotykany jeszcze tu i ówdzie objaw, że jedynie funkcyjni pracownicy aparatu mają rację, wszystko wiedzą i najlepiej wiedzą. Byli oni najmadrzejsi przed sierpniem, po sierpniu i są nimi dziś. Jest to balast, obciążenie, które utrudnia partii marsz ku przodowi. Ktoś inny twierdził z trybuny konferencyjnej, że w naszej pracy potrzeba więcej optymizmu i wiary we własne poczynania.

Dyskusja trwała do późnych godzin. Zgłoszono w niej uwagi, postulaty, propozycje. Były głosy domagające się wzniesienia pomnika Matki-Polki w Łodzi, w mieście kobiet i powinien to być pomnik-szpital. Postulowano wstrzymanie spirali cenowej, położenie tamy spekulacji, wręcz żądano usuwania z kierowniczych stanowisk ludzi o dwóch twarzach, itp.

Konferencja łódzkiej instancji partyjnej przyjęła uchwałę programową i 90 wniosków do realizacji. Teraz nadszedł czas na wprowadzanie ich w życie. Od tego, jak to zostanie zrobione, będzie uzależniona ocena całej partii, która nie jest sama dla siebie i na której spoczywa dziś odpowiedzialność za to, wszystko, co się dzieje i dziać się będzie w kraju.

EUGENIUSZ IWANICKI

ARTYKUŁ DYSKUSYJNY

Jak kształcimy przyszłych nauczycieli

Szukanie winnych, krytyka zjawisk, z którymi stykamy się codziennie, domaganie się zmian, stały się modne. Przewijają się poprzez szpalty pism, dyskusje prywatne, znacznie tracą na ostrości przy wypowiedziach wygłaszanych publicznie.

Ileż to gromów spada na młodzież, a przy okazji i na nauczycieli. Ci ostatni ponoć ponoszą winę i za wychowanie, i za nauczanie, a tymczasem zapominamy, że trzy czynniki równocześnie kształtują osobowość młodego człowieka: **dom rodzinny, szkoła, środowisko społeczne, w którym przebywa i które bacznie obserwuje.**

Najłatwiej odpowiedzialnością za wszystkie winy obarczyć szkołę. Ona ma dać wiedzę, przygotować do życia w niepodległym państwie i mocno dziś sfrustrowanym społeczeństwie. Zadania, jakie ciążą na nauczycielu, są olbrzymie. Czy on sam z dyplomem magistra w kieszeni jest w jakimś stopniu przygotowany do stawiania czoła zadaniom, które wyrastają przed nim już w pierwszych tygodniach samodzielnej pracy pedagogiczno-wychowawczej?

Pięcioletni okres pobytu przyszłego nauczyciela w szkołach wyższych jest bezspornie wystarczający na przygotowanie absolwenta do nauczania wybranego na studiach przedmiotu w szkole średniej. Od biedy, zwłaszcza w klasach niższych może on także wykładać przedmioty, z którymi zetknął się w czasie swoich studiów kierunkowych (np. historyk obsługuje także propedeutykę nauki o społeczeństwie, nawet geografię; polonista powinien dać sobie radę z historią; matematyk łatwo przestawi się na fizykę). Dlaczego więc mówi się tak często o złym przygotowaniu absolwentów szkół wyższych do nauczania oraz o ich często niezadowalającej wiedzy, wyniesionej z uczelni? Te opinie są niestety często uzasadnione.

Moim zdaniem przyczyn tego negatywnego zjawiska trzeba szukać zarówno w organizacji, jak i programach studiów oraz zbytnim liberalizmie sporej części wykładowców. Programy studiów są przeładowane, a główny nacisk położono na wykłady i ćwiczenia przy pozostawieniu stosunkowo małej ilości czasu na pracę własną.

Jeśli chodzi o studia humanistyczne, to praca własna, sprawdzana i egzekwowana, powinna stać się elementem wiodącym, gdyż ona rozwija samodzielność myślenia, pozwala na selekcję materiału, a przede wszystkim przygotowuje do samodzielnego zdobywania, pogłębiania i przemyślenia nabywanych wiadomości przy ograniczeniu pamięciowego wkuwania podręczników.

Ileż to narzekań i utyskiwań słyszy się przy egzaminach wstępnych, że absolwenci szkół średnich nie umieją myśleć samodzielnie i kojarzyć zjawisk. A przecież ten sam zarzut można postawić większości studentów starszych lat studiów. Skoro od nich w cyklu 5-letnim nie egzekwowano samodzielności myślenia, już jako nauczyciele podobne kryteria stosują do swoich podopiecznych.

W dalszym ciągu artykułu będę posługiwać się przedmiotem znanym mi najlepiej — to znaczy historią, chociaż wiele uwag rozprzestrzenia się także na filologię polską i wszystkie neofilologie (rusycystyka, germanistyka, romanistyka).

Programy przedmiotów kierunkowych dają dość szeroki zasób wiedzy z danego przedmiotu. Równocześnie (np. na historii) ich realizacja biegnie dwoma odrębnymi strumieniami. W wiedzy studenta powstają dwa równoległe cykle: historia powszechna i historia ojczysta, tymczasem jest jeden proces historyczny i przeprowadzenie linii demarkacyjnej w wykładach i egzaminach narusza jedność tego procesu, a w wiedzy studenta tworzą się jakby dwa ciągi historii bardzo luźno związane ze sobą.

Egzekwowanie wiadomości odbywa się w czasie odrębnych egzaminów z historii Polski i historii powszechnej. Dlatego **jako postulat pierwszy wysuwam wspólne egzaminy z „obu historii", czyli równoległe uwzględnianie przy egzekwowaniu wiedzy właśnie danego odcinka procesu historycznego, a nie odrębne dziejów Polski i dziejów powszechnych.**

Przygotowanie się do takiego egzaminu będzie wymagało od studenta większego wysiłku, ale przyczyni się do rozwijania kojarzenia zjawisk i samodzielności myślenia. To będzie wymagało także rezygnowania w niewielkim stopniu z „autonomii przedmiotu", uwzględniania w czasie wykładu i ćwiczeń równoczesności procesu historycznego u nas i w innych krajach. Dotychczasowa praktyka pokazuje, że student nie kojarzy współzależności zjawisk, a przyswojony pamięciowo materiał ulega szybkiemu odpływowi. Jako nauczyciel zaczyna uczyć tak, jak uczono jego, a więc przedstawia młodzieży przeważnie dwa ciągi wiadomości, a nie jedność procesu historycznego.

Uwaga ta dotyczy także filologii polskiej, gdzie literatura polska jest podawana odrębnie od literatury powszechnej.

W założeniach twórców programów dla humanistów wiedzę kierunkową wzbogacają przedmioty dodatkowe. Historyk czy filolog powinien przejść kurs filozofii, a także logiki. Są to przedmioty konieczne dla uformowania światopoglądu i pomagają w procesie prawidłowego myślenia. Nie słyszałem, by studenci kwestionowali celowość filozofii i logiki w toku studiów. Gorzej jest z innymi przedmiotami dodatkowymi, takimi jak: ekonomia polityczna, pedagogika, socjologia, teoria rozwoju, demografia, psychologia. Na pewno są to dyscypliny przydatne humaniście, lecz zarazem odciągające od przedmiotu kierunkowego.

Ministerstwo Oświaty jednostronnie widzi wady w przygotowywaniu do zawodu przyszłych nauczycieli w niedostatecznych jakoby dawkach przedmiotów pedagogicznych. W praktyce owa „pedagogizacja" napotyka na opory ze strony studentów, a równocześnie znaczna część wykładowców przedmiotów kierunkowych obserwuje bardzo małą efektywność przedmiotów dodatkowych w kształtowaniu osobowości studenta.

Moje wieloletnie obserwacje upoważniają do wniosku, że „pedagogizację" realizują przeważnie pomocniczy pracownicy nauki, często doktorzy bez dorobku naukowego, którzy lepiej lub gorzej powielają podręczniki. Brak wystarczającej ilości kadry pedagogicznej powoduje, że magistrzy, którzy w czerwcu uzyskali pierwszy stopień naukowy, już w październiku zaczynają uczyć „sztuki uczenia", chociaż sami szkołę „poznali" tylko w czasie praktyk studenckich i nie mieli czasu na zdobycie chociażby minimalnego doświadczenia, jakie rezultaty osiąga się przez stosowanie teorii pedagogicznych.

Ciekawe, że studenci stosując często „bierny opór" wobec przedmiotów pedagogizacyjnych, równocześnie z dużym zainteresowaniem chłoną dydaktykę swego przedmiotu kierunkowego i poświęcają wiele czasu na przygotowanie się i wywiązanie się z praktyk szkolnych. Nadmieniam, że dydaktyka i praktyki szkolne są prowadzone przez pracowników naukowych danego kierunku, przy tym wykładowcy mają za sobą co najmniej trzyletni staż nauczycielski w szkołach.

Wydaje się, że efektywność „pedagogizacji" zależy i od rozsądnie przemyślanego programu, i od odpowiedniego poziomu kadry. Obecnie w znacznej mierze ta kadra sama wymaga szerszego opanowania przedmiotów, które naucza i legitymowania się większą znajomością młodzieży i życia szkolnego.

Jeśli chodzi o treść takich przedmiotów dodatkowych jak **ekonomia polityczna, demografia i teoria rozwoju społecznego, to na historii powinna ona znaleźć się w podawanym materiale kierunkowym.** Wszak proces historyczny zawiera w sobie teorię i praktykę rozwoju społecznego, a dobry wykładowca konieczne elementy ekonomii politycznej winien przedstawiać przy prezentacji materiału historycznego. Wymagałoby to dodatkowego wysiłku ze strony nauczycieli akademickich, ale jestem pewien, że dałoby pożądane rezultaty. Natomiast demografia jest jedną z nauk pomocniczych historii i powinna być włączana do kursu nauk pomocniczych.

Oddzielny rozdział stanowi nauczanie języków obcych, koniecznych dla humanisty. Studenci rozumieją wagę i potrzebę lektoratów (nie mam na myśli tzw. „migaczy", których dewizą jest minimum wysiłku w drodze do dyplomu). Od lat obserwuję stosunkowo wysoki poziom lektoratów i dobre od strony pedagogicznej przygotowanie lektorów. Szczęśliwą próbą jest wprowadzanie przez niektóre uczelnie własnych podręczników opracowanych specjalnie do nauczania języka obcego na danym kierunku. Uwzględniają one słownictwo typowe dla danej dyscypliny i prezentują czytanki związane, jeśli chodzi o treść, z przedmiotem kierunkowym.

Koronnymi błędami nauczania przedmiotów humanistycznych są: zbyt duża ilość egzaminów i przedmiotów dodatkowych, ograniczona możliwość zaspokajania własnych zainteresowań studenta poprzez wybieranie przedmiotów dodatkowych, bardzo mała efektywność pedagogizacji.

Są to sprawy, nad którymi powinna rozwinąć się dyskusja w szerokim gronie i nauczycieli akademickich, i studentów, i działaczy oraz administratorów oświaty i szkolnictwa wyższego. Szkolnictwo wyższe przeszło w PRL poprzez wiele zmian i reform, ale głosy profesorów, docentów i adiunktów w małej mierze były brane pod uwagę przez decydentów. Proponuję zacząć wcielać w życie leninowską zasadę **„lepiej mniej, ale lepiej"**, a różne głosy i argumentacje starać się sprowadzać do rozsądnego, wspólnego mianownika i weryfikować je w praktyce wyników nauczania — czyli przygotowania do wykonywania zawodu nauczyciela.

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

Władysław Bortnowski — profesor, doktor habilitowany, kierownik Zakładu Historii Narodów ZSRR, dyrektor Instytutu Historycznego Uniwersytetu Łódzkiego.

Którędy do przodu?

Socjalizm tak! Ale jak?

„Okazało się, że nasza praktyka nie zgadza się z ideą. — Trzeba więc zmienić praktykę. — Albo zmienić ideę. — Po co. Wystarczy przecież zmienić, że okazało się".

Ta anegdota, popularna w 1956 r. stała się aż nadto trafnym zdefiniowaniem nie tylko ówczesnych, ale i późniejszych naszych kłopotów, jawiących się jako rozbieżność między piękną ideą socjalizmu a nieponętnym jej realnym wcieleniem, jak i sedna uprzednich prób przezwyciężenia tego przeciwieństwa— zarówno za pomocą korygowania praktyki, jak i idei polskiego socjalizmu. Kończących się jednak z reguły zagłuszaniem tego, że „okazało się..." za pomocą propagandowych uzasadnień, iż aktualny kształt praktyki jest najdoskonalszym ucieleśnieniem ideału. Uzasadnień przekreślanych jednak brutalnie przez kolejne kryzysy, obnażające nieuchronnie dylemat sformułowany lapidarnie w powyższej anegdocie.

Znamienne i istotne, że żaden z kryzysów nie zniechęcił do idei. Najwyrazistszym i najbardziej aktualnym tego dowodem powszechność akceptacji hasła sformułowanego w sierpniu 80 przez strajkujących stoczniowców: „socjalizm tak — wypaczenia nie", jednoczącego ponad wszelkimi podziałami większość Polaków, opowiadających się za właściwymi dla idei socjalizmu wartościami a przeciwko odstępstwom od nich w praktyce naszego życia społecznego.

Wyjście z błędnego koła powtarzania wypaczeń socjalizmu, a zatem i kryzysowych zapaści, wymaga postępu w naszym zbiorowym myśleniu, którego istotę najkrócej odzwierciedla tytuł niniejszego felietonu, czyli nastawienie się — powszechne, konsekwentne i rzetelne — na uściślanie sposobów realizacji idei socjalistycznych odpowiednio do nowych wymogów praktyki.

Zwolennikami takiej orientacji są i mogą być wszyscy, którzy traktują idee socjalizmu jako zasady organizujące pracę zbiorową zmierzającą do udoskonalenia formacji społeczeństwa polskiego. W marksistowskim rozumieniu bowiem „stosunki społeczne są tak samo wytwarzane przez ludzi, jak płótno" (Marks). Stąd efektywność tej pracy, jak i każdej innej ludzkiej aktywności zbiorowej, uzależniona jest od zgodności co do celów, metod i reguł tworzonego wspólnym wysiłkiem ustroju. Odmiennych od zasad organizujących wcześniejsze ustroje nie ze względów dogmatycznych, lecz wymogów praktycznych. Sprawiających, iż podobnie jak postęp produkcyjny np. w tkactwie (a i w każdej innej dziedzinie) osiągalny jest tylko przez wypracowanie nowych technik i technologii, tak i postęp społeczny można osiągać tylko przez konsekwentne wypracowanie i wdrażanie nowych zasad organizacji życia społecznego. I tak jak np. feudalne zasady musiały być inne niż właściwe dla niewolnictwa, kapitalistyczne zaś jakościowo różne od feudalnych, tak i postęp zakładany przez socjalistyczną fazę rozwoju może być osiągalny tylko w efekcie pełnego oswojenia reguł życia społecznego właściwych temu ustrojowi.

Z takiego traktowania procesu kształtowania nowego ustroju wynika, iż — podobnie jak w przypadku zastępowania w procesie produkcji prostszej technologii przez bardziej złożoną i wydajniejszą — konieczne jest uwzględnienie, że początkowo efekty tego postępu będą nieuchronnie partackie. Tak jak zastąpienie ręcznego tkactwa przez maszynowe powodowało początkowo pogorszenie jakości tkanin, podobnie i wypieranie feudalnych sposobów organizacji życia społecznego przez właściwe dla kapitalizmu przynosiło przez dość długi okres efekty niezbyt spektakularne. Postęp tak w produkcyjnej jak i społecznej dziedzinie dokonał się jednak nie przez powrót do starych technik i zasad, lecz przez doskonalenie nowych tak, by wygrywały nad starymi większą wydajnością i lepszą jakością. Również i teraz wyjścia z zaplątań polskiego socjalizmu poszukiwać trzeba przez „ucieczkę do przodu" — konsekwencję w uściślaniu i wdrażaniu socjalistycznych stosunków, a nie przez rezygnację i przywracanie rozwiązań typu kapitalistycznego.

Warunkiem sine qua non takiego postępu jest doskonalenie założeń socjalistycznej „technologii" życia społecznego przez naukowe weryfikowanie tak idei jak i praktyki. To zaś wymaga przezwyciężenia upowszechnionego szczególnie w Polsce obyczaju posługiwania się naukowym socjalizmem do apologii, obrzędowego uświęcania każdorazowej praktyki. Z naukowym socjalizmem bowiem mamy do czynienia tylko tam i wtedy, gdzie spotykamy się z „bezwzględną krytyką wszystkiego co istnieje: bezwzględną w tym sensie, że krytyka nie boi się ani własnych wyników, ani konfliktu z istniejącymi potęgami" (Marks). Tylko takie podejście umożliwia eliminowanie potencjalnych błędów i zaplątań za pomocą rozumu, co jest mniej kosztowne jak za pomocą kryzysów i konfliktów w praktyce społecznej.

Warunkiem takiego postępu był, jest i będzie nie tylko dostatek odpowiednio odważnych i rozumnych teoretyków, ale głównie dojrzałość sił społecznych — ich zainteresowanie w kontynuowaniu socjalistycznych przeobrażeń, a zatem i zapotrzebowanie na wspierającą taki rozwój naukę. Twórcy naukowego socjalizmu podkreślali konieczność „materialnych warunków całkowitego przewrotu", w tym zaś w szczególności uformowania się „rewolucyjnej masy, która buntuje się nie tylko przeciw dotychczasowemu „wytwarzaniu życia" (Marks i Engels). Dopóki taki postęp — niezbędny by idea stała się siłą materialną — nie następuje, „dopóty teoretycy są tylko utopistami, którzy pragnąc zaradzić niedoli klas uciskanych wymyślają różne systematy i starają się stworzyć naukę odradzającą (...) dopóty widzą w nędzy jedynie nędzę, a nie dostrzegają jej strony rewolucyjnej, która obali stare społeczeństwo. Od owego zaś momentu nauka — zrodzona przez ruch historyczny i łącząca się z nim z całą świadomością rzeczy — przestaje być doktrynerska, a staje się rewolucyjna" (Marks). Te konstatacje są opisem nie tylko sytuacji ubiegłowiecznej, minionej, ale wciąż powtarzalnej — proces rewolucyjny cechuje się bowiem zwrotami i odwrotami. I to musi uwzględniać także rewolucyjna teoria marksistowska, by nie rozstawać się ze swą bazą społeczną — jak to się nam właśnie współcześnie w Polsce zdarzyło.

Następną istotną cechą twórczego marksizmu jest traktowanie rozbieżności między ideą a praktyką, a i sprzeczności między różnymi orientacjami co do sposobów ich przezwyciężania, jako objawów przeciwieństw między różnymi grupami społeczeństwa polskiego. Opowiadającymi się wprawdzie za socjalizmem, ale różnie rozumianym. I upatrywanie głównych przyczyn tych rozbieżności nie tyle w niedostatkach wiedzy czy nadmiarze złej woli, ale głównie w odmienności interesów i dążeń dużych grup społecznych, które można rozumieć „jedynie w ten sposób, że stawia się na miejsce conflicting dogmas (ścierających się ze sobą dogmatów) conflicting facts (ścierające się fakty) i realne przeciwieństwa, które stanowią ukryte tło" (Marks). I przez wydobywanie na jaw tegoż „ukrytego tła" — sił społecznych zainteresowanych w deformacjach socjalizmu — można racjonalizować spór między różnymi prosocjalistycznymi orientacjami i stwarzać warunki sprzyjające jego załagodzeniu. A przynajmniej — ujaśnieniu o co i dlaczego toczy się walka.

Ostatnią z właściwości, jaką musi cechować się konsekwentna reorientacja na posługiwanie się marksizmem dla doskonalenia formacji polskiego społeczeństwa, na którą chciałbym zwrócić uwagę w tej skrótowej prezentacji, jest przyjmowanie za Leninem, iż naukowy socjalizm „nigdy nie pretendował do wyjaśnienia wszystkiego, lecz jedynie do wskazania „jedynie naukowej", według wyrażenia Marksa (Kapitał), „metody wyjaśniania dziejów" I wzorowanie się na tym kontynuatorze żywego marksizmu, by w obliczu zjawisk nowych, których Marks nie mógł przewidzieć — „nie wpadł na myśl, by napisać na ten temat choć jedno słowo, i zmarł, nie pozostawiając ani jednego ściśle sformułowanego cytatu, ani też wskazań nie do obalenia — konstatować i postępować jak Lenin: — Dlatego też musimy radzić sobie sami". To jest uściślać sposoby kontynuowania przeobrażeń socjalistycznych odpowiednio do dojrzałości sił społecznych i warunków materialnych. Jak na komunistów przystało. By nie sprawiać już więcej zawodu społeczeństwu, za którego losy wzięliśmy historyczną odpowiedzialność.

MARIUSZ GULCZYŃSKI

Mariusz Gulczyński — profesor, doktor habilitowany nauk politycznych, pracownik naukowy Instytutu Państwa i Prawa Polskiej Akademii Nauk.

Co o reformie gospodarczej trzeba wiedzieć

Od czego zależy i może zależeć dobra praca?

JÓZEF PENC

1. CZY TYLKO PŁACE!

W warunkach reformy gospodarczej powodzenie przedsiębiorstwa, jego efektywność gospodarowania i perspektywy rozwojowe zależeć będą od inicjatywy i przedsiębiorczości, pomysłowości i innowacyjności wszystkich pracowników, szybkości i gotowości na zmiany w bezpośrednim i pośrednim jego otoczeniu. Stąd też szczególnego znaczenia nabiera system motywacyjny, rozumiany najogólniej jako układ wzajemnie powiązanych bodźców i instrumentów, które mają zachęcać przedsiębiorstwo i pracowników do realizacji swoich zadań, oczywiście zgodnie ze społeczną racjonalnością działań. Właśnie system motywacji decyduje o kierunkach i natężeniu działania ludzi, kształtowaniu ich postaw wobec pracy, o ich woli i dążeniu do oszczędnego i efektywnego gospodarowania.

Dotychczasowy system motywacji nie stworzył korzystnych warunków dla oszczędnego gospodarowania i zwiększania starań o wyższą wydajność i jakość pracy. U jego podstaw tkwił dość prymitywny model człowieka ekonomicznego, w którego funkcjonowaniu decydującą rolę odgrywał pieniądz — bodziec, jakże często niezależny od wyników pracy, staranności i przedsiębiorczości w jej wykonywaniu. Doprowadziło to do pomniejszenia roli i znaczenia motywów bazujących na tzw. potrzebach wyższych, a także do podniesienia progu wrażliwości pracowników na bodźce materialne. W konsekwencji, mimo doskonalenia polityki płac i stosowania nawet tzw. bodźców agresywnych (np. preferencje płacowe dla zatrudnionych przy tzw. budowach priorytetowych), jakość i dyscyplina pracy nie stały się przedmiotem naszej chluby, lecz niestety, wciąż wymagają najwyższej troski i starań.

W praktyce na motywację, która pobudza do działania, patrzy się więc w sposób uproszczony, najczęściej przez pryzmat spieniężania motywów. Niektórzy nasi menadżerowie uważają, że jedyną pobudką skłaniającą ludzi do lepszej pracy są ich potrzeby ekonomiczne. Taki pogląd wynika z utrwalanego w praktyce przeświadczenia, że inne pozaekonomiczne oddziaływania nie dają wyraźnych efektów.

Oczywiście, żaden rozsądny kierownik nie może i nie powinien pomniejszać znaczenia motywacyjnej roli płacy, ale nie może nie uwzględniać faktu, iż świat wartości człowieka jest bardzo bogaty i wiele jest innych równie ważnych pobudek ludzkiego działania.

Siła emitowanych przez zakład bodźców materialnych zależy nie tylko od dynamiki płac i ich proporcji, lecz także od konstrukcji systemów wynagradzania, tj. od sposobu powiązań wzrostu płac z efektami pracy: wydajnością, starannością wykonania, oszczędnym zużyciem środków produkcji itp. Nie każdy więc wzrost płac ma znaczenie motywacyjne i mobilizuje do lepszej, wydajniejszej pracy. Takiej roli nie spełnia z pewnością ich przyrost nie potwierdzony wzrostem efektów pracy, doskonaleniem wiedzy i umiejętności jej wykonywania. Przeciwnie, niszczy on psychologiczne warunki dobrej pracy, rujnuje morale pracowników oraz starania o jej wydajność i jakość. Znaczenie płacy jako czynnika motywacji wynika zawsze zarówno z jej wysokości, jak i z uznania przez pracownika, że jest ona słuszna i sprawiedliwa. Toteż związanie jej wzrostu z osiąganiem coraz wyższej wydajności, jakości i sprawności pracy pobudza pracowników do podnoszenia kwalifikacji, podejmowania pracy bardziej odpowiedzialnej, wspinania się po tzw. drabinie awansu, wyzwala ich energię i inicjatywę, a w konsekwencji sprawia, że płaca staje się ważnym czynnikiem wzrostu i doskonalenia produkcji.

W społeczeństwie naszym przez wiele jeszcze lat płace będą niewątpliwie jedną z najważniejszych sił napędowych ludzkich działań. Dążenie do poprawy sytuacji materialnej, zdobycia wielu cennych dóbr, korzystania z kultury i wypoczynku — stanowi z pewnością silny motyw, skłaniający ludzi do uzyskania wyższej płacy, a więc i do lepszej pracy i doskonalenia swych umiejętności. Toteż wzrost płac może i powinien odegrać ważną rolę motywacyjną. Wymagać to jednak będzie zasadniczej przebudowy dotychczasowego systemu wynagradzania, zapewnienia stałego wzrostu płac (realnych) przy konsekwentnym umacnianiu związku między ich poziomem a charakterem pracy (złożoność, uciążliwość, stopień odpowiedzialności itp.) oraz jej ilością i jakością. Taki właśnie system ma stworzyć wprowadzana obecnie reforma gospodarcza. W myśl jej zasad na system motywacji ekonomicznej przedsiębiorstwa składają się: wynagrodzenia indwidualne, finansowane z gwarantowanego funduszu płac oraz udziału załogi w zysku (stanowiącego kwotę odpisu z zysku netto, która decyzją samorządu przedsiębiorstwa może być przeznaczona na zwiększenie stawek wynagrodzeń indywidualnych oraz na nagrody indywidualne dla pracowników z tytułu: eksportu, oszczędności materiałów, poprawy jakości itp.) i funduszu spożycia zbiorowego (fundusz socjalny i mieszkaniowy), który jest finansowany dzięki odpowiednim odpisom w ciężar kosztów według jednolitej w całej gospodarce stawki na jednego zatrudnionego, bądź z uwzględnieniem specyfiki branżowej oraz dzięki odpisowi z zysku ustalanego przez samorząd przedsiębiorstwa (fundusz dodatkowy).

2. DOŚWIADCZENIE 1982 ROKU

Te składniki systemu motywacyjnego zostały zachowane także w Uchwale Rady Ministrów precyzującej zasady funkcjonowania przedsiębiorstw w 1982 roku, z tym, że jego zasilanie zostało osłabione — wskutek obciążenia - zarówno przyrostu przeciętnych płac, jak i przyrostu wynagrodzeń z tytułu nagród — progresywnym opodatkowaniem na rzecz funduszu aktywizacji zawodowej, a także wskutek zastosowania silnej progresji podatku dochodowego (podatku od zysku). Zgodnie z tą uchwałą opodatkowaniu nie podlega tylko wzrost przeciętnego wynagrodzenia do 3 proc. i wzrost wynagrodzenia z tytułu nagród do podziału w wysokości 7 proc. przeciętnego wynagrodzenia, osiągniętego w 1981 roku, natomiast każdy wyższy przyrost obciąża zysk do podziału.

Wprowadzone zasady wynagradzania i rozliczania przedsiębiorstwa także nie stymulują właściwie motywacji do lepszej pracy. Wynika to choćby z trzech powodów.

Po pierwsze, interes przedsiębiorstwa skierowany jest nie na rynek, lecz na zysk i do tego jeszcze maksymalizowany w skali rocznej. To zaś powoduje, że zmierza ono do takich działań, które najłatwiej i najszybciej mogą umożliwić mu osiągnięcie wysokiej produkcji (ocenianej wartościowo) i w jej rezultacie wysokiego zysku, a więc i realne niebezpieczeństwo deformacji produkcji, utrwalania starej jej struktury: nie zawsze uzasadnionego podwyższania cen. Można zatem wątpić, czy w istniejącej sytuacji gospodarczej (pogłębione trudności rynkowe, brak materiałów i surowców, części zamiennych, środków dewizowych itp.) dążenie do maksymalizacji jednorocznego zysku i zależnej od niego płacy będzie skłaniać do wzrostu wydajności pracy i jej jakości, czy raczej do tego zniechęcać.

Po drugie, oprocentowanie przyrostu płac i nagród, jakkolwiek zawiera słuszne przesłanki (taki fundusz jest bezwzględnie konieczny, ale to nie oznacza, że musi być zasilany z tego źródła), zbyt silnie osłabia motywację starań dla jego uzyskania. Może ono z pewnością sprzyjać doskonaleniu wewnętrznej struktury zatrudnienia, jako że przedsiębiorstwa samodzielnie decydują o wielkości i formach zatrudnienia i wynagradzania, ale nie sprzyja zmniejszaniu jego stanu ani też wzrostowi wydajności. Wobec bowiem progresywnego opodatkowania płac, opłaca się przedsiębiorstwu nawet zwiększać zatrudnienie pracowników o niższym uposażeniu (mimo premii za jego zmniejszenie), gdyż umożliwia to obniżenie przeciętnej płacy, a więc i uwolnienie się od podatku. Obciążenie przyrostu przeciętnej płacy także i osób zatrudnionych w systemie akordowym powoduje z kolei, że przyrost wydajności jest coraz gorzej opłacany (rośnie płaca przeciętna), a to chyba również nie stanowi zachęty dla zwiększania wysiłku i uzyskiwania lepszych wyników pracy. Podobnie demotywująco może działać oprocentowanie nagród z tytułu np. eksportu, jakości produkcji, oszczędności surowców itp.

Po trzecie, wyższą rentowność jako funkcję kosztów i zysku, można sobie zapewnić, zwiększając masę zysku, a to, jak wiadomo, można osiągnąć przez wzrost produkcji, obniżkę kosztów własnych i wzrost cen. Przedsiębiorstwo, które wykorzystuje wszystkie te możliwości wzrostu zysku osiąga wysoką rentowność, a tym samym musi płacić wysoki podatek dochodowy. W konsekwencji może ono uzyskać mniejsze korzyści dla załogi niż przedsiębiorstwo, które działa nawet w sposób sprzeczny z interesem społecznym (zmniejsza produkcję, obniża jej jakość i podnosi ceny), gdyż jego wyższa rentowność, uzyskana dzięki zwiększeniu produkcji i obniżeniu jej kosztów własnych, spowoduje relatywnie większy odpływ zysku, z uwagi na niewspółmiernie wysokie jego opodatkowanie. Tworzy to więc paradoksalne reguły gry ekonomicznej: nagradzanie za brak wyników i starań, za stymulowanie rentowności: cenami umownymi, kształtowanymi na podstawie kosztów własnych dość dowolnie ustalanych, a nie na podstawie kosztów normatywnych, czyli „premiowanie" za mniejsze dostawy towarów na rynek i eksport, za zawężanie skali produkcji i brak starań o jej jakość i wydajność oraz troski o stałe obniżanie jej kosztów społecznych.

Taka konstrukcja systemu motywacji musi więc budzić poważne obawy o przyszłość naszych przedsiębiorstw i stan naszego rynku. Twórcy zasad reformy zdają sobie sprawę z tych jego ułomności, ale tłumaczą to tym, że *„system podatkowy ma na celu stworzenie właśnie zapór inflacyjnych, zaś jego redukcja ułatwia procesy inflacyjne"*. Nie trzeba dużej dociekliwości, by zauważyć, iż stworzony system motywacji nie zawiera skutecznych barier antyinflacyjnych, lecz przeciwnie, wzmaga procesy inflacyjne wskutek braku silnej motywacji dla wzrostu produkcji, co powoduje, że rosnący strumień siły nabywczej nie jest równoważony wzrostem wolumenu podaży, albowiem racjonalne i społecznie opłacalne zwiększanie produkcji dla przedsiębiorstwa nie jest korzystne. Jest więc paradoksem, iż mimo niebywałego wzrostu cen (ceny żywności na przykład wzrosły 3,5 raza) nie udało się zapewnić równowagi na rynku (szacuje się, iż luka inflacyjna wyniesie niedługo ok. 500 mld zł), ani też zlikwidować dotacji budżetowych (w 1982 roku do samej żywności trzeba było dopłacić 222 mld zł). Toteż rozumiejąc słuszne ich intencje stopniowego zamykania luki inflacyjnej, trzeba wyraźnie podkreślić, iż przeciwdziałanie inflacji ma sens ekonomiczny tylko wówczas, gdy nie stwarza przeszkód dla wzrostu produkcji i poprawy efektywności gospodarowania, jak również i to, że limitowanie szybko rosnących dochodów oznacza przeciwstawianie się nie przyczynom, lecz skutkom inflacji, a przecież chcąc ją zwalczyć należy sięgać do jej źródeł, a nie przejawów.

3. MODYFIKACJA DOTYCHCZASOWYCH MECHANIZMÓW

Wobec wielu ograniczeń i braków konstrukcja ta wymaga głębokiej przebudowy, bardziej dojrzałych i kompleksowych rozwiązań, umożliwiających zbudowanie sprawnego systemu motywacji w rozumieniu *„przyczyniania się części do powodzenia całości"* (T. Kotarbiński).

Kierunki tej przebudowy są szeroko dyskutowane w środowisku ekonomistów, a zgłaszane propozycje usprawnień uwzględniane przy opracowywaniu nowych założeń tego systemu. Propozycje te dotyczą głównie rezygnacji z progresywnego opodatkowania przedsiębiorstw w postaci obecnego podatku dochodowego i obciążenia na fundusz aktywizacji zawodowej i ich zastąpienia liniowym opodatkowaniem zysku, zwiększenia zakresu, wagi i aktywności cenotwórczej podatku obrotowego, który składałby się z dwóch części: opodatkowania wartości dodanej i podatku kryzysowego, wprowadzenia podatku antyinflacyjnego, który by zabierał przedsiębiorstwom korzyści pochodzące z manipulacji cenowo-asortymentowych (tzw. podatek od zysku niemoralnego), wprowadzenia do systemu podatkowego stałych i zmiennych elementów, które byłyby wykorzystywane jako narzędzia bieżącej polityki gospodarczej, przywrócenia powszechnego progresywnego opodatkowania dochodów osób fizycznych jako zmodyfikowanego podatku wyrównawczego, zastosowania do oceny działalności przedsiębiorstw formuły produkcji czystej (prócz zysku), miernika syntetycznego, opartego na metodzie punktowej itp. Uwzględnienie wielu z tych propozycji w nowym modelu motywacji pozwoli z pewnością przedsiębiorstwom lepiej łączyć swoje interesy z potrzebami społeczeństwa.

Niektóre z tych propozycji zostały już uwzględnione w zmodyfikowanym mechanizmie reformy, który obowiązuje od 1 stycznia 1983 roku. W systemie motywacyjnym zostaje złagodzona progresja podatkowa i podniesiony próg, od którego podatek dochodowy ma wzrastać progresywnie, co umożliwi przedsiębiorstwom korzystanie z większej, niż dotychczas części wygospodarowanego zysku. Ponadto stosowane będą różnorodne ulgi przy obliczaniu podatku dochodowego, przy czym tytułem do ich zastosowania będzie przeznaczenie przez przedsiębiorstwo odpowiednich nakładów na pożądane cele społeczne (np.: podejmowanie szczególnie potrzebnej produkcji, ochrona środowiska, poprawa warunków pracy, utrzymanie szkoły przyzakładowej). Jednocześnie zmienione zostają metody obliczania wpłat na fundusz aktywizacji zawodowej. Zależeć on będzie nie od przyrostu płacy, lecz od postępu w produkcji, przy czym fundusz płac wolny od tego podatku może wzrastać o 0,5 proc. za każdy procent przyrostu produkcji. Podatek ten będzie obowiązywać jedynie wtedy, gdy przedsiębiorstwo zechce zastosować wyższą relację opłacania produkcji. Te zmiany stworzą więc warunki, w których powinno się opłacać zwiększanie produkcji (nadal, rzecz jasna, w wyrażeniu wartościowym), albowiem jej wzrost, także dzięki wydajności pracy, a nie tylko poprzez podwyższanie cen, zapewniać będzie wzrost funduszu płac. Można oczekiwać, że zapowiedziane wprowadzenie ustawy antymonopolowej wymusi odpowiedni wzrost wydajności pracy i wyeliminuje niechlubną praktykę osiągania wyższej produkcji poprzez manipulację asortymentowo-cenowe.

4. MAŁA REFORMA PŁAC

Zasady wynagradzania zostały już wcześniej zmienione i wzbogacone w wyniku wprowadzenia od 1 lipca 1982 r tzw. małej reformy płac. Przedsiębiorstwo zyskało możność samodzielnego ustalania zakładowych tabel płac w postaci tzw.

tabel widełkowych (umożliwiających przyjęcie dla jednej kategorii zaszeregowania różnych stawek płac) na stanowiskach robotniczych i nierobotniczych oraz zastosowania stawek wyższych od dotychczas obowiązujących o jedną lub dwie kategorie w odniesieniu do robotników posiadających wysokie kwalifikacje i wykonujących prace o dużej złożoności oraz prace bardzo ciężkie, wymagające dużego i długotrwałego wysiłku, lub wykonujących stale dwa zawody (specjalności). Uzyskało ono także uprawnienie włączania do wynagrodzeń zasadniczych ruchomych elementów płacy, czyli składników o charakterze fakultatywnym, takich jak: premia, część nadwyżki akordowej (w przypadku równoległej korekty norm pracy), różnego rodzaju nagrody itp. Jednocześnie zwiększona została liczba kategorii zaszeregowania (na stanowiskach robotniczych) z dziewięciu do jedenastu, a także określone zostały (centralnie) granice stawek: najniższa w wysokości 16 zł na godzinę i najwyższa (jedenasta kategoria zaszeregowania) — 40 zł na godzinę przy 42 godzinnym tygodniu pracy. Uelastycznione zostały również zasady wynagrodzenia pracowników na stanowiskach nierobotniczych: przyjęto 22 kategorie zaszeregowania i określono granice miesięcznej płacy zasadniczej, ustalając najniższą w wysokości 2800 zł dla pierwszej i najwyższą w wysokości 12 000 zł dla ostatniej, tj. 22 kategorii zaszeregowania.

5. NIE TYLKO PŁACE

Te nowe rozwiązania stwarzają niewątpliwie przedsiębiorstwom szansę lepszego ukształtowania wewnętrznej struktury płac, a pracownikom szersze możliwości awansu płacowego. Mogą one więc mieć poważne znaczenie motywacyjne, zwłaszcza wtedy, jeśli progi obciążeń zostaną odpowiednio uelastycznione, choćby tak, jak to się proponuje w projekcie reformy systemu płac („Ile, komu, za co?"). Ale ich wpływ może być nieodczuwalny, jeśli nie nastąpi zahamowanie procesów inflacyjnych i pełna stabilizacja kosztów utrzymania. Właśnie należy tutaj wyraźnie podkreślić, iż przyrost płac może nie pobudzać motywacji, zwłaszcza pozytywnej, jeśli jest on pochłaniany przez rosnące koszty utrzymania. We wzbudzaniu tej motywacji ważną bowiem rolę spełnia tzw. fundusz swobodnej decyzji (wydatkowany na zaspokojenie potrzeb wyższego rzędu lub zaoszczędzony), który dla wielu ludzi wskutek wzrostu cen przestał po prostu istnieć.

Motywowanie do lepszej pracy nie może i nie powino dokonywać się wyłącznie dzięki bodźcom ekonomicznym, albowiem same motywy ekonomiczne zazwyczaj nie wystarczają, aby uruchomić cały potencjał ludzkiej motywacji. Jeśli np. pracownik uzna, że preferowane przez niego potrzeby materialne zostały wystarczająco zaspokojone, wówczas będzie dążyć do zaspokojenia innych potrzeb związanych z pracą, takich jak na przykład: pragnienie uzyskania osiągnięć, uznania kolektywu, doskonalenia swojej osobowości, wykonywania pracy bardziej interesującej, w lepszych warunkach środowiska fizycznego itp. Szczególnie ważnym motywem jego działania może być dążenie do zaspokajania ambicji i aspiracji zawodowych, czy zdobycie uznania dla własnej osoby ze strony innych ludzi, umacniające przeświadczenie o własnej wartości i społecznej przydatności wykonywanej pracy. Człowiek pracuje przecież nie tylko po to, żeby zdobyć środki do życia, ale także dlatego, że chce być potrzebny i pożyteczny, chce być kimś, zajmować znaczącą pozycję zawodową i społeczną.

Obecne warunki naszego rozwoju wymagają więc przebudowy systemu motywacji, znacznego wzbogacenia form kierowania ludzkim postępowaniem, uaktywnienia wielu czynników psychospołecznych, których rola we wzbudzaniu motywacji pozytywnej była przez dłuższy czas nie doceniana. Równolegle do doskonalenia polityki płac i ścisłego ich wiązania z efektami pracy, trzeba też wydatnie podnieść rangę motywacji etyczno-moralnych, wynikających z socjalistycznych zasad współżycia między ludźmi i kształtowania socjalistycznych stosunków pracy.

JÓZEF PENC

Sprawa gen. Włodzimierza Zagórskiego (1)

27 sierpnia 1927 roku radziecki dziennik „Izwiestia" opublikował korespondencję z Warszawy:

„Cały wrogi Piłsudskiemu obóz polityczny przeistoczył się w biuro Pinkertonów. Niektóre organizacje, w szczególności pewne organa prasowe na własną odpowiedzialność zorganizowały dochodzenie..."

We wrześniu 1927 roku zaczęła krążyć po kraju, rozsyłana pocztą ulotka, zaczynająca się następująco:

„Opinia publiczna w całej Polsce wstrząśnięta została faktem tajemniczego zniknięcia generała Włodzimierza Ostoi-Zagórskiego. Krążą najrozmaitsze pomysły i rozsiewane są różne plotki, mające na celu zatuszowanie sprawy lub co najmniej odroczenie wyjaśnienia prawdziwego stanu rzeczy, który jest zbyt potworny..."

Co stało się wówczas takiego?

Nim jednak przejdę do odpowiedzi na to pytanie, trzeba cofnąć się w czasy jeszcze bardziej odległe. Tam bowiem leży, jeśli nie wyjaśnienie owej zagadki z 1927 roku, to w każdym razie tam znajdują się źródła i przyczyny wypadków, jakie miały miejsce w sierpniu 1927 roku.

Trzeba zacząć od odpowiedzi na pytanie:

KIM BYŁ GEN. WŁODZIMIERZ OSTOJA-ZAGÓRSKI?

Urodził sie we Francji w lipcu 1882 roku. Ukończył szkołę handlową, zaliczył sześć semestrów prawa oraz dwukrotnie ukończył studia w akademii wojskowej. Władał sześcioma obcymi językami. Poświęcił się całkowicie służbie wojskowej, ale kiedy odszedł z wojska — już w Polsce niepodległej — poświęcił się działalności przemysłowej. Był założycielem spółki akcyjnej „Francopol". Później ponownie wrócił do wojska.

W 1900 roku wstąpił do armii austriackiej. W 10 lat później ukończył studia w Akademii Sztabu Generalnego. Po ukończeniu tych studiów został mianowany szefem sztabu 8 Brygady Piechoty stacjonującej w Krakowie. Następnie został przeniesiony do oddziału wywiadowczego Sztabu Generalnego armii austriackiej. W tym czasie przeszedł też przeszkolenie lotnicze.

We wrześniu 1906 roku zdarzyło się coś, co z pozoru nie mogło mieć nic wspólnego z losami Włodzimierza Ostoi-Zagórskiego. Do Przemyśla, gdzie stacjonował 10 Korpus armii austriackiej, przybyło dwóch mężczyzn, aby spotkać się z szefem sztabu tego Korpusu, płk Franzem Kanikiem. Byli to — Józef Piłsudski i Witold Narkiewicz-Jodko. Zaoferowali usługi bojowców PPS do walki z Rosją. Podobną propozycję w czasie wojny japońsko-rosyjskiej składał już Józef Piłsudski wywiadowi japońskiemu. Obie propozycje zostały odrzucone. Józef Piłsudski poszukiwał zewnętrznego wsparcia dla swojej niepodległościowej działalności, ale poszukiwania te — jak to podkreśla Andrzej Garlicki w książce „U źródeł obozu belwederskiego" — uznano za jedną z *„najściślej strzeżonych tajemnic"*.

Narastające napięcie w ówczesnej sytuacji międzynarodowej spowodowało, że władze Austrii zaczęły przychylnie spoglądać na poczynania Polaków dążących do tworzenia własnych organizacji bojowych. I tak w 1910 roku w oparciu o PPS—Frakcja Rewolucyjna i PPSD Galicji powstały drużyny „Strzelca" powstał też Związek Strzelecki, któremu przewodził Władysław Sikorski. Powstały drużyny strzeleckie zorganizowane przez młodzież Zarzewia, a przez PSL — Drużyna Podhalańska. Obejmowały one w sumie 12 tysięcy osób. Na czele „Strzelca" stał Józef Piłsudski.

Dla nikogo nie jest tajemnicą, że kontrolę nad tymi drużynami, jak i nad innymi musiał sprawować wywiad austriacki.

Jest zresztą na to dwojakie potwierdzenie:

Po pierwsze — Andrzej Garlicki stwierdza to niedwuznacznie, pisząc, że *„dopiero 2 sierpnia uzyskał Piłsudski od przedstawiciela wywiadu austriackiego, kpt Józefa Rybaka, zezwolenie na przeprowadzenie mobilizacji oddziałów strzeleckich"*.

Po drugie — potwierdza to sam Józef Piłsudski, pisząc że *„w 1914 r. niedługo przed wybuchem wojny Austriacy postawili mi bardzo ostre warunki pod względem technicznym"*.

No i żeby już nie było żadnych wątpliwości w sierpniu 1914 r.

KAPITAN WŁODZIMIERZ ZAGÓRSKI ZOSTAŁ SZEFEM SZTABU W KOMENDZIE LEGIONÓW

Jak pisze Zbigniew Cieślikowski w książce „Tajemnice śledztwa KO-1042/27" — *„powszechnie uważano, że nominacja ta miała zapewnić wywiadowi austriackiemu kontrolę nad Legionami, chociaż w Legionach znalazło się więcej oficerów związanych z tym wywiadem"*. Czy Włodzimierz Zagórski zetknął się w czasie pracy w wywiadzie z Józefem Piłsudskim, czy tylko wiedział o jego poczynaniach z wywiadowczych materiałów — trudno dziś stwierdzić. Nie ulega jednak wątpliwości, że dużo wiedział i że domyślano się, iż dużo wie. Nie należy się więc dziwić, że był z miejsca znienawidzony zarówno przez samego Józefa Piłsudskiego, jak i oficerów i żołnierzy I Brygady Legionów. Nienawidzono go przede wszystkim dlatego, że był oficerem austriackim, a nie legionowym, a po drugie dlatego, że był pracownikiem wywiadu.

Poza tym wszystkim Józef Piłsudski nie uznawał ani Naczelnego Komitetu Narodowego, któremu podlegała Komenda Legionów, ani tejże Komendy Legionów. Chciał i toczył samodzielnie walkę, licząc, że też sam będzie kiedyś korzystał z jej rezultatów. Zapałał więc nienawiścią do Włodzimierza Zagórskiego i była to nienawiść odwzajemniona.

Cytowany tu Zbigniew Cieślikowski wspomina o liście J. Piłsudskiego do Ignacego Daszyńskiego z 26 lipca 1915 roku, w którym J. Piłsudski pisze: *„osobiście staję do walki bez względu na następstwa, jakie mnie mogą spotkać"*.

Z kim miała to być walka?

Z Naczelnym Komitetem Narodowym, a szczególnie jego Departamentem Wojskowym i Komendą Legionów. Józef Piłsudski walkę tę wygrał. W 1916 roku Włodzimierz Zagórski otrzymał dymisję. Ale w kilka miesięcy później również Józef Piłsudski podał się do dymisji i przestał być Komendantem I Brygady Legionów. Wówczas Włodzimierz Zagórski napisał do matki: *„ogromnie się cieszę, że nareszcie Piłsudskiego wyrzucili z Legionów. To wielkie szczęście"*.

Włodzimierz Zagórski przeszedł wówczas do II Brygady Legionów, dowodzonej przez innego antagonistę Piłsudskiego, przez Józefa Hallera. Początkowo dowodził batalionem, następnie pułkiem piechoty, a w 1917 roku — pułkiem artylerii w Polskim Korpusie Posiłkowym.

Nim jednak do tego doszło zdarzył się pewien incydent w Warszawie, chociaż obaj nienawidzący się serdecznie mężczyźni nawet się nie spotkali. Po zajęciu Warszawy przez Niemców udał się tam Józef Piłsudski, zamieszkał w Hotelu Francuskim, pod którym urządzono mu małą manifestację. Władze niemieckie poprosiły go o opuszczenie miasta. Wtedy przeniósł się do Otwocka.

Do Warszawy przybyła również grupa z Naczelnego Komitetu Narodowego, której członkiem był kpt. Włodzimierz Zagórski. On to zaproponował aresztowanie Józefa Piłsudskiego i oddanie go pod sąd za samowolne opuszczenie brygady. Propozycji tej nie przyjęto, ale kto wie czy nie dotarła ona do J. Piłsudskiego. A on urazów nie zapominał.

Po „kryzysie przysięgowym", kiedy wielu legionistów odmówiło złożenia przysięgi na wierność cesarzom austriackiemu i niemieckiemu, a Józefa Piłsudskiego osadzono w Magdeburgu, Włodzimierz Zagórski przysięgę złożył i znalazł się w Polskim Korpusie Posiłkowym.

Julian Kulski wspomina („Z minionych lat życia 1892—1945) starcie z płk Włodzimierzem Zagórskim:

„...zjawia się oficer dyżurny i wzywa mnie do pułkownika Zagórskiego. Zagórski mnie pyta: „Czy pan zamierza złożyć przysięgę?" Odpowiadam negatywnie. „W takim razie proszę niezwłocznie opuścić teren koszar" — dostaję rozkaz."

Komenda Legionów zwolniła Juliana Kulskiego ze służby w Legionach, ale zaprosił go do 5 Pułku Piechoty Stefan Starzyński. Razem z tym pułkiem udał się do obozu internowania legionistów w Beniaminowie.

A W BENIAMINOWIE

legioniści nudzili się. Wymyślano więc różne gry, zabawy, robiono gazetki, bawiono się w teatr, a w Sylwestra 1917 roku wystawiono szopkę. Wystawieniem tej szopki zajął się Wacław Kostek-Biernacki. Jeden z kupletów tej szopki nosił tytuł „Kupiec". Tekst tego kupletu zamieścił w książce o Wacławie Kostce-Biernackim „Diabeł przegrany" Jerzy Rawicz. Oto ten tekst:

„Ja jestem kupiec wszystkim
panom dobrze znany —
Z Kasztele kupiec jestem ja!
Ja wszędzie kupne uszy
wstawiam w ściany
i płacę z kasy AOK

Komu niepotrzebne jest
sumienie,
kupuję na wagę złota w
dobrej cenie,
zapłata bez blagi — ordery,
culagi,
ersatz złote góry — synekury!

A kto nie chce sprzedać się
w Kasztele —
z tym niedługie u mnie
ceregiele:
„Reformy" i „Głosy" —
suspensy, donosy,
niech piłsudczyk zna,
kto ja!"

Tekst ten wymaga wyjaśnień. Internowani w Beniaminowie legioniści zaśmiewali się do rozpuku. Ale współczesny Czytelnik może niczego z tego nie zrozumieć. Otóż ów Kupiec — to płk Włodzimierz Zagórski. Kasztele — to K-Stelle — nazwa austriackiego wywiadu. Culaga — dodatek żywnościowy. „Reforma" i „Głos" — gazety propagujące współpracę z państwami centralnymi. Teraz jest wszystko jasne. I żeby było jasne do końca, to Wacław Kostek-Biernacki wydał tę szopkę po odzyskaniu niepodległości przez Polskę i zadedykował ją „Ukochanemu Komendantowi".

Decyzje tych oficerów i żołnierzy, którzy złożyli przysięgę nie spotkały się z uznaniem. Wincenty Witos wspomina, że w 1917 roku na posiedzeniu Koła Polskiego wypowiedział kilka ostrych uwag na temat postępowania z legionistami a także *„zachowania się niektórych oficerów i oddziałów legionowych, które zatraciły dawną myśl, a poszły na służbę"*. Zareagował na to bardzo ostro *„konserwatywny profesor Dembiński, żądając cofnięcia użytych wyrazów"*. Rzecz nabrała rozgłosu — jak wspomina W. Witos w „Moich wspomnieniach" — i radzono mu, aby ogłosił w prasie sprostowanie, gdyż prasa ówczesna wszystko *„mocno przekręciła i przejaskrawiła"*. Wincenty Witos na to się nie godził, a hr. Bawoworowski uprzedził go, że robi się z tego aferę honorową.

„Jakoż za parę dni — wspomina W. Witos — *kurier przywiózł mi do domu (...) pismo, podpisane przez Włodzimierza Zagórskiego i Adama Nieniewskiego z żądaniem dania satysfakcji i wyznaczenia świadków."*

Nastąpiła dalsza wymiana pism. W jej wyniku Wincenty Witos wyznaczył zastępców, ale *„do spotkania jednak nie doszło, gdyż idące wypadki nie tylko zatarły i zmieniły wiele rzeczy, ale w dużej mierze potwierdziły tę prawdę, przeze mnie wypowiedzianą. Przyznał to sam p. Zagórski w osobnej rozmowie ze mną"*.

Inni tego Wincentemu Witosowi nie wybaczyli, ktoś nawet próbował strzelać na Plantach do niego, a w wiele lat później odegrał się na nim w Brześciu Wacław Kostek-Biernacki. Ale jest to już zupełnie inna opowieść.

NADSZEDŁ LUTY 1918 ROKU

Traktat w Brześciu oddawał Chełmszczyznę Ukrainie, z czym Polacy nie mogli się pogodzić. Na takim stanowisku stanęła II Brygada Legionów. Przeszła ona linię frontu. W trakcie przechodzenia tej linii pułk dowodzony przez płk Włodzimierza Ostoję-Zagórskiego został okrążony i internowany. 100 zasłużonych, obsypanych austriackimi i niemieckimi orderami za waleczność, stanęło przed sądem.

Jerzy Rawicz w książce „Generał Zagórski zaginął..." cytuje fragment pamiętnika Jana Hupki:

„Po traktacie brzeskim, gdy wydano rozkaz przedarcia się za kordon, pójść musiał, tym więcej, że przez szerokie koła polskie z partii lewicowych i endeckich okrzyczany był za zdrajcę i szpiega austriackiego. Był to dla niego przymus nieodporny. Albo musiał sobie w łeb strzelić, albo pójść z innymi. Wiedział, gdzie idzie, wiedział, że to jest z punktu widzenia austriackiego zbrodnią, ale byłby poszedł w każdym razie — bez względu na następstwa.

Audytor Bartak zapytał Zagórskiego, czy przypuszczał, że się przedarcie uda, na co ten odpowiedział twierdząco, dodając, że Hallerowi z większością legionistów przedarcie się przecież udało.

Obrońca, dr Lowenstein, zapytał Zagórskiego, czy — gdyby wówczas wiedział, że przedarcie się nie uda, że będzie ujęty i postawiony przed sąd jako zdrajca i buntownik — byłby się cofnął?

Na to Zagórski odrzekł grzmiącym głosem: Nein!

Po rozprawie pytałem się Lowensteina o cel takiego pytania, które przecież przed trybunałem mogło podsądnemu tylko zaszkodzić. Dowiedziałem się, że to było umówione z majorem Zagórskim, któremu przede wszystkim chodziło o obronę wobec polskiego społeczeństwa."

W Polsce tworzono wojsko polskie. Włodzimierz Zagórski bierze udział w pracach przy odradzaniu i formowaniu tego wojska. Ale w listopadzie 1918 roku odchodzi z wojska, aby wrócić w roku 1920.

Józef Piłsudski budując armię polską zdawał sobie sprawę, że musi się ona składać z ludzi, którzy służyli w różnych formacjach. Bez wątpienia najwięcej zasług przypisywali sobie legioniści i oni chcieli nadawać ton w nowej polskiej armii. Na to nie nadszedł jeszcze czas. Dlatego Józef Piłsudski w październiku 1919 roku oświadczył legionistom:

„Pierwszy akt życia skończony. Legiony przeszły do historii. Legiony jako takie umarły — nie ma już bowiem różnic. Wszyscy jesteśmy sobie równi."

Ale legioniści nie mogli — jak pisze Andrzej Karlicki w książce „U źródeł obozu belwederskiego" — *„pogodzić się z myślą, że zostaną potraktowani na równi z Sikorskim czy Zagórskim, pogardzanymi oficerami z armii austriackiej, bądź na wpół zrusyfikowanymi oficerami z armii carskiej"*.

Józef Piłsudski zresztą sam też nie mógł się z tym pogodzić, ale wiedział, że ze względów taktycznych jest to niezbędne. Czas rozprawy należało odłożyć na później.

W czasie wojny polsko-radzieckiej Włodzimierz Zagórski był szefem Sztabu Frontu Północnego, którym dowodził gen. Józef Haller.

W kwietniu 1921 roku przeszedł do rezerwy.

Powrócił do wojska w 1923 roku. Początkowo kierował wydziałem, a następnie Departamentem Przemysłu Wojennego w Ministerstwie Spraw Wojskowych. Na początku 1924 roku został mianowany generałem brygady, a w sierpniu tego roku objął Departament Żeglugi Powietrznej w MS Wojskowych. To też stało się później powodem oskarżenia go.

Ale o tym już następnym razem.

WŁODZIMIERZ PITKIEWICZ

Odwzajemniona nienawiść

Tam, gdzie najwyżej...

JACEK BINKOWSKI

Osiem tysięcy mieszkańców, 39 ulic, dwie linie autobusowe i dwie tramwajowe. Jedenaście sklepów, szkoła, stacja benzynowa, poczta, kino, ośrodek zdrowia, szpital, 2 przedszkola, żłobek.

Niegdyś najbardziej wysunięty na wschód rejon Łodzi, do dzisiaj najwyżej położony, z najwyższym wzniesieniem.

Dzielnica „zabita deskami" — jak mawiają niektórzy.

STOKI.

Dzielnica mało znana, niejako egzotyczna. Większość mieszkańców Łodzi nigdy tam nie była. Sam byłem na Stokach po raz pierwszy, kiedy zacząłem zbierać materiał do reportażu.

Paweł J.:

— *Stoki? Jest takie kino. O dzielnicy wiem tyle, że jest gdzieś za studenckim Lumumbowem. Nigdy tam nie byłem.*

Zofia K.:

— *Stoki kojarzą mi się nieprzyjemnie. Ze szpitalem, gdzie leżała moja matka. Najgorzej wspominam komunikację, zawsze miałam problemy z dojazdem. Zastanawiałam się wtedy, jak tam ludzie mieszkają. W takiej odludnej dzielnicy...*

Już egzotyka pachną same nazwy ulic: Pieniny, Giewont, Zbocze, Przełęcz, Krowie, Wieś w mieście. Poeta Jerzy Waleńczyk napisał kiedyś:

Mieszkałem w najmłodszej dzielnicy
Ledwie wykluta, nie otierzona tynkiem
Wśród przypływu fermentujących pól
Stoki, echo Śródmieścia...

DAWNIEJ

ten rejon należał po państwa Stokowskich, bardzo znanej rodziny, mającej w posiadaniu m.in. Chojny. Nazwa zapewne wiąże się ze specyficznym położeniem i warunkami terenowymi.

O Stokach jako wsi wiadomo gdzieś na przełomie lat sześćdziesiątych XIV wieku. W tym czasie pojawiły się na ten temat pierwsze wzmianki i zapisy.

W XVI natomiast wieku wieś Stoki posiadała: szlachecki folwark, karczmę, 15 zagród i była własnością Stanisława Stokowskiego. Było tego łącznie 8 łanów gruntów (ok. 140 ha przyp. J.B.)

Wiek później zagród było już tylko dziewięć, a tuż po powstaniu styczniowym zostały tylko 3. Od tego czasu Stokowscy przestali być jej właścicielami. Pozostała nazwa.

Tyle historii.

DZISIAJ

Stoki dalej wsią prawie pozostały. Na przykład przy krańcówce tramwajowej na Telefonicznej. Torowisko jednoszynowe, obok brukowana droga, z boku mały lasek i gospodarstwo prywatne — zagroda. Pytam kobietę niosącą wodę z hydrantu:

— *Kochana pani, jak się tutaj mieszka? Toż to wieś prawie.*

Zatrzymuje się, stawia wiadro, patrzy podejrzliwie. Że niby jak się mieszka.

— *Ano, mieszkam tutaj od urodzenia, trzydzieści parę lat, znaczy. Na dzielnicę nie narzekam, tutaj cicho i zdrowe powietrze. Fabryk nie ma Trochę na odludziu to fakt, ale na centrum bym się nie zamieniła. Niewygodnie trochę? Owszem, najgorzej z komunikacją, długo trzeba czekać. I bar by się przydał. Samoobsługowy.*

— *A pan co, petucie zbiera od mieszkańców? Komisja jakaś?*

I w stronę chałupy.

— *Józek, chodź no na chwilę!*

— *Nie, ja tak z ciekawości, nigdy tutaj nie byłem.*

Po co ferment wprowadzać, ludziom spokój zakłócać. Żyją sobie spokojnie, chociaż w swojej dzielnicy.

Dalej, na Pieninach takie typowe wiejskie centrum. Szpital, kiosk Ruchu, kiosk z kwiatami, postój taksówek, księgarnia. Obok, na Przełęczy sklep spożywczy. Dalej już wąskie i kręte uliczki, parterowe domki. I cisza...

W dniach kiedy są odwiedziny w szpitalu pewnie więcej tutaj ludzi, bardziej gwarno jakoś. Może by tak przewodnika załatwić, żeby oprowadził po egzotycznych ulicach najwyższy szczyt w Łodzi pokazał. Podobno na tym wzniesieniu stoi szkoła. Siedemdziesiąt metrów wyżej od Pl. Wolności. Wyżej niż Naczelnik.

Dziwna to dzielnica i ludzie pewnie mniej problemów mają, spokojniej żyją niż w metropolii. Jak ta kobieta z wiadrem przy krańcówce.

DZIELNICA „ZABITA DESKAMI"

ma swoje wady i zalety. Niewątpliwą zaletą jest cisza, spokój i świeże powietrze.

— *Niektóre jednak instytucje rejon „zabity deskami" rozumieją dosłownie i jesteśmy traktowani po macoszemu* — skarży się Grażyna Walczak — przewodnicząca Samorządu Osiedlowego.

— *Na ten przykład taksówki, nie wiem jakim prawem i na jakiej podstawie Stoki są w drugiej strefie taxi. Przecież tutaj jest bliżej niż na przykład na Widzew-Wschód.*

— *Albo komunikacja miejska. Mamy dwa tramwaje i dwie linie autobusowe. Ano, mało. Gdyby jednak autobusy jak i tramwaje jeździły punktualnie, byłoby to do zniesienia. Tymczasem jeżdżą jak chcą, bez żadnego rozkładu. W godzinach tzw. szczytu czeka się nieraz pół godziny...*

Walczakowa do pracy na Widzew-Wschód jedzie rano około godziny, jej mąż, który pracuje w „Obrońcach Pokoju" na Przędzalnianą jedzie tak: najpierw czeka na 53: ładnych parę minut, później przesiada się na tramwaj przy Radiostacji, później jeszcze raz na tramwaj. Zajmuje mu to razem ponad godzinę. Najgorzej jest ze Stoków wyjechać, później jakoś ujdzie.

Tyle kłopoty komunikacyjne, nie da się ukryć, najważniejsze dla lokatorów.

Poza tym nie oświetlone ulice. Rzeczywiście, kiedy przyjechałem wieczorem na Stoki, pierwsze co rzuciło mi się w oczy to ciemne rejony. Podobno oświetlenie jest jeszcze na starych lampach i fachowcy od światła przyjeżdżają tylko co jakiś czas zmieniać żarówki. Inni mówią, że na pewno tych żarówek brakuje. Fakt jest faktem — na Stokach jest ciemno. Kobiety pracujące na drugą zmianę boją się same chodzić wieczorami. Często są napady, wyrywają torebki. Cóż, okazja czyni złodzieja.

Mieszkańcy Stoków skarżą się, że bez zgody Samorządu zlikwidowano punkt pralniczy i skład opałowy. Podobno są trudności z dojazdem do tego składu.

— *Tyle lat się dojeżdżało, a teraz są trudności. My starsi musimy taki kawał chodzić. Coś nie tak zrobiono* — żali się babinka.

Owszem, trudno sobie wyobrazić Stoki bez składu opałowego, kiedy tutaj wszyscy węglem opalają.

Antoni Ryl — I sekretarz POP na Stokach widzi inne niedopatrzenia władz:

— *Jest tutaj 5 bloków, które mają własną kotłownię. Obok, około 200 metrów jest żłobek i kino. Apelowaliśmy, żeby podłączyć kino i żłobek do lokalnej kotłowni, bo część kotłów stoi bezużyteczna. Kino, owszem, podłączono. Żłobka nie. Dlaczego, ja się pytam. Można przecież za jednym zamachem ogrzać wszystko. Ile się koksu zaoszczędzi?*

NIE BĘDZIE WIEKSZYCH INWESTYCJI

mówi Andrzej Tomaszewski — kierownik Wydziału Gospodarki Komunalnej i Przestrzennej UD Łódź-Widzew.

— *Przewidujemy, co najwyżej, budowę piekarni na Telefonicznej, ociepłownienie osiedla i ewentualnie naprawę nawierzchni. To wszystko.*

Przytaczam władzom treść notatki z Expressu Il. z 1976 r. „Kolorowe Stoki" Napisano:

„Trwa budowa osiedlowej świetlicy i innej placówki przy ul. Saneczkowej, po przejęciu lokalu po dawnym klubie „Ruchu". W dalszej perspektywie myśli się o rozbudowie bazy rekreacyjnej: na pewno będzie na Stokach basen i urządzi się stok narciarski, być może nawet z małym wyciągiem..."

Takie były plany. Kierownik Tomaszewski się uśmiecha, naczelnik się uśmiecha, dyrektor PGM też się uśmiecha.

— *Na Stokach stok narciarski z wyciągiem? Nigdy nie było o tym mowy, kto podał takie informacje. Nie, nie planujemy.*

Tyle anegdotki. Cóż, propaganda sukcesu.

A swoją drogą taki stok z wyciągiem bardzo by się przydał. Ta dzielnica aż się o to prosi. Tak mało tego w Łodzi mamy, a w Malince tłok niesamowity.

Nie, nie ma w planach...

Z-ca naczelnika dzielnicy Łódź-Widzew — Lucjan Pierzchała:

— *Wiadomo, że Stoki są „sypialnią Łodzi". Tam nie ma żadnych fabryk, ludzie do miasta dojeżdżają. Dlatego też nie możemy wybudować ani baru samoobsługowego, ani składu opałowego, ani Domu Kultury. Nikt z tego nie będzie korzystał. Fakt, że na Stokach mieszkają emeryci, ale oni do baru na obiad przecież nie pójdą.*

Istotną natomiast sprawą jest brak oświetlenia. Jest co prawda sieć oświetleniowa w tej dzielnicy, ale te żarówki. Prawda jest taka, tych żarówek nie ma. W najbliższym czasie postaramy się to załatwić. Tak samo komunikacja, przewidujemy spotkanie z MPK, zaraz po podwyżce.

Najgorzej na Stokach jest jednak z kulturą, której prawdę mówiąc, po prostu nie ma. Jest co prawda jedno kino, ale nic poza tym. Kiedyś na Nowotki była, zbudowana zresztą przez samych lokatorów, świetlica osiedlowa. Dzisiaj nie ma, po prostu rozebrano.

Jest jeszcze taka mała świetliczka na osiedlu, ale tam czasami tylko młodzi grają w ping-ponga. Tak samo stadion — nic się tam nie dzieje.

Były projekty, żeby z kina zrobić spory Dom Kultury, skończyło się na planach, za duże ponoć nakłady.

Współczuję młodzieży. Do centrum daleko, na miejscu nic nie ma, co robić wieczorem?

Zenon Witczak — z-ca inspektora Wydziału Oświaty i Kultury UD:

— *To prawda, kultura jest naszą „białą plamą" na Stokach. Nic nie będziemy, niestety, budować. Jeżeli chodzi o czas wolny — to młodzież ma możliwość uczęstniczenia w imprezach organizowanych przez szkołę.*

No, fakt — starsza młodzież, pracująca znaczy, nie ma żadnych możliwości. Tylko, czy oni są w ogóle kulturą zainteresowani. Nikt nie przychodzi z żadnymi propozycjami...

Wtrąca naczelnik Pierzchała:

— *Ja nadal się upieram przy tej „sypialni miasta". Nie możemy na Stokach wybudować wszystkiego. Trzeba się liczyć z realiami i możliwościami. Stoki to nie cały Widzew — takie same problemy są tutaj w centrum dzielnicy Nie ukrywam, że jest to ważniejsze. W tym stwierdzeniu, że Stoki są dzielnicą marginesową coś jest. Nie znaczy to wcale, że Stoki nas wcale nie interesują. Ale, cóż by powiedzieli mieszkańcy, na ten przykład Widzewa-Wschodu, gdybyśmy na Stokach postawili olbrzymi Dom Kultury czy inną placówkę. Jak pan sądzi, byłoby to sprawiedliwie?*

Niezupełnie się zgadzam z tą „sypialnią miasta". To, że na Stokach nie ma przemysłu o niczym jeszcze nie świadczy. Rozmawiałem ze starszymi ludźmi, którzy nie byli już w mieście od kilku lat. Jeszcze trochę i zapomną, że żyją w dzielnicy Łodzi. Wiadomo również, że młodzi ze Stoków odchodzą. Za kilka, może kilkanaście lat Stoki będą dzielnicą ludzi starszych, przebywających w swojej niejako osadzie, cały czas.

I co? Nic im nie będzie potrzeba z wyjątkiem sklepów, pralni i czegoś tam jeszcze?

A mieszkańcy Łodzi zapomną o Stokach. Gdyby jednak zainwestować w bazę rekreacyjną — to i frajda dla amatorów sportów zimowych.

Ale ciszy nie będzie — jak powiedział naczelnik Pierzchała.

Może to i prawda.

Wśród przypływu
fermentujących pól
Stoki, echo Śródmieścia...

■

Grube tysiące i kartkowe premie dla „kukułek"

EDWARD BRYL

Na przestrzeni ostatnich kilku lat przysłowiową kulą u nogi dla służby zdrowia stała się sprawa tzw. remontów gruntownych. Coraz trudniej o wykonawcę, a jeśli nawet takowy się znajdzie, nigdy nie wiadomo, w jakim momencie porzuci rozpoczęte prace.

Tak np. postąpiła Rzemieślnicza Spółdzielnia „Budowlana" w Łodzi z ul. Górniczej 30/36, która remontowała obiekt w Chełmach.

Przed niespełna rokiem Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej podjął słuszną decyzję przekazania budynku Ośrodka Szkolenia Kadr Medycznych w Zgierzu-Chełmach dla potrzeb opieki. Zwykle od października do marca był on praktycznie nie wykorzystywany, stał pusty, niszczał. Po adaptacji, kosztem zaledwie ośmiu milionów złotych, zrobiono z niego dom pomocy społecznej. Dużo materiałów odzyskano — stolarkę drzwiową, okienną, wykładziny — wszystko to będzie służyć jeszcze wiele lat. Przerobiono instalację elektryczną, c.o., blok żywienia, urządzono wokół park. Lecz Spółdzielnia przeprowadzająca te prace we wrześniu ubiegłego roku zabrała swoich pracowników na inne budowy, między innymi do firm polonijnych. W Chełmach pozostawiono tylko jednego robotnika i nic nie wskazuje na rychłe ukończenie remontu.

Plakaty reklamowe tejże Spółdzielni, rozwieszone wszędzie, gdzie się da, zachęcają zakłady, osoby prywatne, obiecują solidne, szybkie i terminowe wykonywanie usług.

Czyżby łapano naiwnych?

— *Mam pretensje* — mówi dyrektor domu, Feliks Milan — *Zarząd Spółdzielni nie odpowiada na żadne moje pisma, prośby. Ostatnio, wiceprezes, pani Bergman, poinformowała mnie w rozmowie telefonicznej, że jak nam się nie podoba, możemy zerwać umowę. Oni nic nie muszą robić dla służby zdrowia, mają inne zlecenia, bardziej opłacalne!*

Wydaje mi się, że tak pojęte gospodarowanie na własnym rozrachunku daleko kraju nie zaprowadzi. W budżetach podobnych instytucji

Foto: M. Zajdler

już dziś nie ma miejsca na interes społeczny. Co będzie za kilka lat? Czy znajdą się chętni do remontowania czegokolwiek?

Łódzki Szpital im. Babińskiego od kilku lat szuka bezskutecznie wykonawcy przebudowy przepompowni ścieków. Katastrofa grozi w każdej chwili. Zagrożone jest pobliskie osiedle, dom pomocy społecznej dla dzieci przy ul. Spadkowej.

W Ozorkowie blisko dwa lata niszczał obiekt Państwowego Domu Pomocy Społecznej dla Dorosłych. Pensjonariuszy na czas remontu z trudem porozmieszczano w innych placówkach, problemy z tym były ogromne, miejsc przecież brakuje! Po długich pertraktacjach, namowach, prośbach Ozorkowskie Przedsiębiorstwo Budowlane podjęło się wreszcie przeprowadzenia remontu. W obecnych warunkach jest to dla wykonawców gest prawie filantropijny, praca żmudna, czasochłonna, zysk mały.

Trzeba by tę kwestię uregulować. Remonty gruntowne ktoś musi robić. Na marnotrawstwo nas nie stać. Absurdem jest budować wszystko od podstaw, tylko dlatego, że firma na tym lepiej zarobi. Interes społeczny powinien się liczyć przede wszystkim!

Przydałby się jakiś „rozdzielnik remontów", które poszczególne instytucje wykonywałyby na zasadzie przydziału!

Do Domu Pomocy Społecznej w Zgierzu-Chełmach pierwszych pensjonariuszy wprowadzono już we wrześniu 1982 roku. Jest ich trzydziestu, choć obiekt zaplanowano na sześćdziesiąt miejsc. Niestety, nie może on ruszyć pełną parą. Przeszkodą jest brak budynku gospodarczego, gdzie pomieściłyby się magazyny, warsztaty, szwalnia, pokój socjalny dla obsługi. Teraz wszystko pracuje w salach przeznaczonych na użytek podopiecznych. Np. pokój fizykoterapii oddano na kuchenny magazyn podręczny...

Wprowadzenie ograniczeń inwestycyjnych było niewątpliwie słusznym posunięciem. Nie można jednak w każdej sytuacji podchodzić do tego zakazu z całą bezwzględnością. Budowa zaplecza gospodarczego dla istniejącego już zakładu to konieczność. Myślę, że decyzję o jej rozpoczęciu trzeba podjąć natychmiast. Na łóżka czekają chorzy!

Na pełnym etacie w Chełmach pracują tylko cztery pielęgniarki, łącznie z przełożoną, a powinno być co najmniej osiem. Przejściowo sytuację ratują pielęgniarki ze szpitala zgierskiego, zatrudnione na godzinach.

Personelu średniego w łódzkiej służbie zdrowia brakuje nie tylko w opiece. Krótkowzroczna polityka Wydziału Zdrowia, który swego czasu ograniczył nabór do szkół pielęgniarskich, ba, nawet część etatów zwracał do ministerstwa jako zbędne — doprowadziła do krytycznego stanu. Absolwentki liceów medycznych miały ogromne kłopoty z zatrudnieniem, w efekcie odeszły od zawodu — do handlu, rzemiosła, dziś na ich powrót liczyć nie można. Na młode kadry trzeba będzie poczekać!

Skąpa liczba pielęgniarek jest między innymi przyczyną opóźnień w oddawaniu do użytku nowych obiektów. Tak np. było z pawilonem psychiatrycznym w szpitalu pabianickim.

Tylko dla budowanego obecnie Centrum AM potrzeba będzie około tysiąca pielęgniarek. Już teraz należy myśleć przyszłościowo o zabezpieczeniu dostatecznej ilości personelu średniego dla nowego szpitala pediatrycznego, którego budowa, po wielkich perypetiach, ma wreszcie rozpocząć się w tym roku!

Problem kartek dla domów pomocy społecznej jest szczególnie uciążliwy. Reglamentacja istnieje już dostatecznie długo i nic nie wskazuje na to, aby w najbliższym czasie została zniesiona, dlatego trzeba się zająć rozwiązaniem drażliwej sytuacji. Kartki są kością niezgody pomiędzy rodzinami podopiecznych a zakładami, przyczyną stałych stresów pracowników, ciągłych awantur. Otrzymuje je zakład, wycina się mięso, masło, pozostałe artykuły mogą pensjonariusze realizować sami. Tam, gdzie są chorzy leżący, zakupy załatwia pracownik socjalny — oczywiście z wyjątkiem alkoholu, a kawę tylko za zgodą lekarza.

Zofia Szwarcbach, pracownik socjalny Państwowego Domu Pomocy Społecznej dla Dorosłych w Zgierzu-Chełmach:

— *Jesteśmy ciągle napastowani przez dzieci pensjonariuszy, dalszych krewnych. Wszyscy przychodzą po kartki, nawet żądają gotowych produktów Przed świętami zgłosił się pan Edward Adamczyk, zamieszkały w Zgierzu, ul. Witkacego, bl. 53. Złożył zapotrzebowanie na dwie butelki szampana, szynkę, słodycze, papierosy. Oczywiście, nic nie otrzymał. Wyzwał nas bardzo ordynarnie, krzyczał, że okradamy chorych, żywimy swoje rodziny ich kosztem, etc. Na koniec odebrał własnej matce kilogram cukru, który otrzymała z magazynu.*

Ponieważ zorientował się, że kartek nie będzie otrzymywać, przestał staruszkę odwiedzać. Przed umieszczeniem jej w zakładzie zupełnie się nią nie interesował. Podobnych sytuacji na co dzień przeżywamy znacznie więcej.

Kwestię reglamentacji dla zakładów opieki zamkniętej trzeba generalnie rozwiązać. Odpowiednie przydziały potrzebnych produktów powinny być zapewnione zgodnie z listą podopiecznych indywidualne karty zaopatrzenia są tu zbędne. W istniejącej sytuacji są nimi premiowane rodziny, które przecież pozbyły się swoich bliskich, składając całkowitą troskę o ich los na barki państwa.

Pierwszą w kraju próbę rozwikłania tej sprawy podjął prezydent Łodzi — Józef Niewiadomski. Opieka zamknięta będzie otrzymywać wszystkie reglamentowane towary zgodnie z zapotrzebowaniem Jest to na razie eksperyment, trzeba przyznać, że bardzo odważny.

Sygnały o trudnościach wynikłych z reglamentacji w opiece Ministerstwo Zdrowia otrzymywało już od dawna, nie zrobiono nic w kierunku unormowania sytuacji...

Łupem przedsiębiorczych krewnych stają się także tzw. końcówki rent wynoszące obecnie nierzadko powyżej pięciu tysięcy złotych. Najwyższa opłata za utrzymanie w domach opieki to tylko 1600 zł. Świadczenia emerytalne wzrosły, doszły rekompensaty — reszta pieniędzy po odtrąceniu kwoty za utrzymanie różnymi kolejami losu wędruje do kieszeni rodzin.

Faktyczny koszt jednego miejsca w tych domach waha się obecnie w granicach sześciu-siedmiu tysięcy. Pieniędzy na pomoc społeczną nie jest za wiele, podarowywanie ich rodzinom pensjonariuszy, to absurd zupełny. Ludzie, których materialne warunki pozwalają na to, winni w znacznie większej mierze partycypować w kosztach własnego utrzymania. Rozważyć tę kwestię w trybie pilnym musi Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej!

— *Każda placówka tego typu ma swoją atmosferę* — mówi pielęgniarka dyplomowana z Domu Pomocy Społecznej w Chełmach, Bożena Kubera — *i nawet gdyby była ona najlepsza, najmilsza, nie zastąpi rodziny. W chwili przybycia do nas chorzy narzekają na dzieci, bliskich, ale już po dwóch, trzech tygodniach rodzina jest najwspanialsza, nic złego nie można na nią powiedzieć.*

Bywają i tacy, którzy nie potrafią się zupełnie dostosować do życia w nowych warunkach. Kończy się to bardzo smutnie, ciężką chorobą, przedwczesną śmiercią. Często podopieczni wyobrażają sobie, iż trafili do szpitala, zostaną wyleczeni, aby w końcu powrócić do swoich domów Przed nami wylewają żale, że ich rodziny nie odwiedzają. Z dnia na dzień czują się gorzej, tęsknią...

Dom w Chełmach sprawia wrażenie pensjonatu, małe, przytulne salki, dokoła las. Starzy ludzie znaleźli tu ostatnią przystań, dobrą opiekę Mimo wszelkich aspektów natury moralnej, psychicznej — bo w większości są tu bardzo nieszczęśliwi, wręcz czują się odizolowani — nie jest to dla nich wyjście złe, przeciwnie, optymalne dobro, jakie mogło ich spotkać w zapomnieniu, nierzadko skrajnej nędzy, w której żyli.

■

Nie możemy sobie pozwolić na luksus czekania na lepsze czasy

Rozmowa z redaktorem naczelnym Oddziału Krajowej Agencji Wydawniczej w Łodzi — JERZYM WAWRZAKIEM

O książce mówi się ostatnio sporo. To, co się w tych rozmowach powtarza to stwierdzenie, że jest jej w Polsce wciąż mało.

— Obserwuję rynek zarówno jako czytelnik, jak i wydawca. Śledzę również z uwagą te dyskusje i podzielam pogląd, że książki dobrej i potrzebnej w księgarniach trzeba uporczywie szukać.

Główną przyczynę niedostatku na rynku książkowym upatruję w wieloletnich zaniedbaniach. Sygnały o tym, że z książką działo się źle, odnotowywaliśmy już kilka lat wcześniej. Dla przykładu POP PZPR przy Oddziale Warszawskim ZLP opracowało jeszcze przed VIII Zjazdem PZPR dramatyczny memoriał w tej kwestii. Alarmujące sygnały do władz szły także od wydawców: A. Wasilewskiego, S. Bębenka, A. Kurza. Stąd trudno dziś znaleźć usprawiedliwienie dla tych zaniedbań, które wynikały m. in. jako skutek określonej koncepcji, w której preferowano przede wszystkim telewizję. Książka była sytuowana na dalszym planie, jako dobro o charakterze prawie elitarnym.

— A co i na ile się dziś już zmieniło?

— Na szczęście społeczeństwo nie zaakceptowało tej błędnej koncepcji. Nie notujemy „odwrotu" od książki. Wprost przeciwnie. Mimo że książki dziś są relatywnie drogie, trudno dostępne, to jednak zainteresowanie nimi nie maleje.

— A co się czyni, aby spełnić ten niezaspokojony popyt na książkę?

— Myślę, że to co już zrobiono upoważnia do racjonalnego optymizmu. Do tego typu działań zaliczyłbym powołanie Rady do Spraw Książki przy premierze. Dobrze, że Rada ta powstała, bowiem Ministerstwo Kultury i Sztuki samo problemu przyszłości książki w Polsce nie rozwikła. Potrzebna jest koordynacja wysiłku kilku resortów i mobilizacja społeczna.

Z działań doraźnych wspomnieć należy o, dokonanym w ostatnim okresie 25-procentowym wzroście produkcji książkowej. Jest to w porównaniu do lat ostatnich poważny skok ilościowy. Druga część prawdy wygląda tak, że jest to w zasadzie powrót do sytuacji, do poziomu, który kiedyś już w produkcji książkowej mieliśmy. Poza tym ów skok dokonał się głównie poprzez wzrost nakładów książek kosztem ilości tytułów.

— Czy to źle?

— Dobrze, że chociaż osiągnęliśmy to, co osiągnęliśmy, ale czytelnik czeka także na nowe książki, na szeroką ofertę. Ale mimo tego zastrzeżenia trudno byłoby decyzję o wzroście produkcji książkowej nie uznać za ważną i znaczącą. Przy okazji jej realizacji okazało się, że jednak można produkcję książkową traktować poważnie. Wytworzyła się wokół książki lepsza niż dotąd atmosfera. Ufam, że ona się utrzyma, że będzie zjawiskiem trwałym.

— A jaki jest udział w realizacji tego „skoku" wydawnictw? Jaka jest sytuacja w wydawnictwach dziś i co przewiduje się na najbliższą przyszłość?

— Krajowa Agencja Wydawnicza, a więc firma, którą reprezentuję nie jest klasycznym wydawnictwem. Jest agencją o zakresie działalności o wiele szerszym niż tradycyjne wydawnictwa. Centrala warszawska i 10 oddziałów KAW daje w skali kraju 15 proc. produkcji książkowej.

KAW wszedł stosunkowo późno na rynek czytelniczy, a w tej branży trudno zdobyć renomę, na którą składają się przede wszystkim książki, ale i kadra, krąg autorów i współpracowników. Ten dorobek KAW budowała w oparciu o rzec by można najniższe piętro piramidy instytucji wydawniczej, a więc książkami z zakresu literatury popularnej. Był więc KAW swoistym pomostem do literatury, do sztuki najwyższego lotu biorąc na siebie zadanie edukacyjne i popularyzatorskie, próbując zyskać w pierwszym rzędzie tego czytelnika, który po książkę sięga rzadko, okazjonalnie. Takie były początki.

Statutowym obowiązkiem KAW było szybkie reagowanie na bieżące zjawiska społeczne i polityczne. Stąd dział książki z zakresu literatury społeczno-politycznej zajmował tradycyjnie ważne miejsce w naszej działalności edytorskiej. Produkcja plakatu, folderów, kalendarzy, przewodników, pocztówek, fotokronik, to też była nasza domena. Do tego trzeba jeszcze dodać płyty i kasety „Tonpressu", który jest naszą filią.

— Czy w tym względzie zaszły jakieś zmiany?

— Potrzeby rynku czytelniczego, nasz dotychczasowy dorobek i aktualne możliwości zachęciły nas, głównie w naszym Oddziale do robienia tego, co dotąd było domeną tradycyjnych i uznanych w tym względzie oficyn wydawniczych. Reprezentuję pogląd, że nie zaszkodzi nikomu, a rynek może odnieść tylko korzyść, jeśli odejdziemy od dotychczasowych praktyk „specjalizacji", czy wręcz monopolu wydawniczego. Te obszary dotąd „nie nasze", które chcemy penetrować w najbliższym czasie to literatura młodzieżowa, dziecięca i współczesna.

— Rozumiem więc, że klasykę pozostawiacie dawnym, tradycyjnym monopolistom.

— Klasyka, a podobnie i przekłady literatury zachodniej leży w orbicie wpływów tradycyjnych wydawnictw, które się w tym niejako wyspecjalizowały. A w przypadku zachodnich przekładów jest to także sprawa posiadania środków dewizowych. Myślę, że klasykę i przekłady powinny drukować te wydawnictwa, które to potrafią, posiadają niezbędną ku temu kadrę i środki. Z drugiej strony zastanawiam się czy w sytuacji głodu książki nie byłoby rozwiązaniem prawidłowym drukowanie części klasyki w szacie edytorskiej skromniejszej niż dotąd, ale za to w zakresie, który zaspokoiłby zapotrzebowanie.

Jeśli KAW wchodzi dziś dość energicznie, a niektórzy nawet sądzą, że agresywnie na tzw. pola niczyje, albo raczej w dziedziny nie do końca przez potentatów wykorzystywane, łamiąc dotychczasowe „zaszufladkowanie", to zachęciła nas do tego sytuacja na rynku księgarskim, potrzeby czytelnicze i nasze aktualne możliwości. Będziemy więc chcieli wydawać te książki, na które jest autentyczne zapotrzebowanie, których w księgarniach brakuje, ale przede wszystkim literaturę młodzieżową, dziecięcą, literaturę faktu, współczesną i, jak dotąd, polityczną.

Dzięki pewnemu przeprofilowaniu naszej działalności liczymy, że w roku 1983 uda nam się w porównaniu do roku 1982 uzyskać 3-krotny wzrost ilości tytułów książek.

— I tak znaleźliśmy się w toku naszej rozmowy na gruncie łódzkim, a więc w realiach, które stanowią o warunkach i kierunkach działalności Waszego Oddziału.

— Jeszcze jako prezes Oddziału ZLP dopominałem się kiedyś o to, aby Wydawnictwo Łódzkie mogło wydawać rocznie około 100 tytułów. Dziś widzę, że było to wówczas z mojej strony żądanie nie do zrealizowania. Chociaż w dalszym ciągu uważam, iż łódzkie środowisko literackie i naukowe byłoby w stanie sprostać takim zamierzeniom. Stąd myślę, że za dwa, trzy lata tamten postulat stanie się faktem. Do czego wydatnie może i powinna się przyczynić produkcja wydawnicza KAW. Nie musimy być dla Wydawnictwa Łódzkiego konkurencyjni. Może i powinna to być tylko przyjacielska rywalizacja, pożyteczna dla czytelników. Poza tym Wydawnictwo Łódzkie i KAW mogą być na gruncie łódzkim oficynami komplementarnymi.

— Czy dlatego, że skazani jesteście na szyld wydawnictw regionalnych?

— Nie o to w zasadzie chodzi. Chociaż z drugiej strony należy stwierdzić, iż niezależnie od naszego stosunku do tego zjawiska regionalizm jest faktem. Z tym faktem, ze świadomością jego istnienia będziemy jeszcze musieli sporo czasu żyć. Konsekwencją tego jest m. in. to, że autorowi łódzkiemu dobić się do wydawnictw centralnych, a więc warszawskich jest dość trudno. Jest on więc „skazany" głównie na współpracę z wydawnictwami w swoim regionie. Nas wydawców ów regionalizm aż tak mocno nie obliguje, nie determinuje naszych planów. Możemy i sięgamy po autorów spoza naszego regionu.

— Wróćmy może jeszcze na chwilę do zauważalnej w ostatnim okresie wzmożonej aktywności wydawniczej łódzkiego KAW-u. Gdzie należy upatrywać jej źródeł?

— To przede wszystkim sprawa naszych ambicji i możliwości i jak już wspomniałem potrzeb rynku czytelniczego. Trzeba także powiedzieć, iż naszą aktualną aktywność należy oceniać w kontekście tego, iż nasz pułap startu był relatywnie niski. Jesteśmy dziś konkurencją w stosunku do innych wydawnictw dzięki szybkiemu procesowi wydawniczemu. Nie mamy teczek które zalegałyby nasze półki po 3—4 lata, jak jest w innych oficynach. Nie zdążyliśmy jeszcze obrosnąć w tzw. poślizgi. To są nasze atuty. Poza tym, nie da się ukryć, że osobiście sprawy książki są dla mnie najważniejsze.

— A jakie rokowania najbliższe?

— Obecnie naszą ofertę wydawniczą tworzą w znacznym stopniu sami autorzy. Pragniemy, aby w najbliższych latach plan wydawniczy tworzony był wspólnie, przy zachowaniu niezbędnego prawa inicjatywy wydawniczej samego Oddziału. Pragniemy mieć na ten plan wydawniczy (w sensie merytorycznym i artystycznym) jak największy wpływ. Na to czy utrzymamy dotychczasowe tempo, czy też nie „zatkamy" się jak inne wydawnictwa mają niebagatelny wpływ ci, którzy nas drukują. Na dziś mamy zapewnienia naszego głównego partnera, Łódzkich Zakładów Prasowych, że drukarze będą wspierać nasze wysiłki.

— To na razie było o ilości i szybkości produkcji wydawniczej. Ale przecież to może nie wystarczyć na to, aby wygrać konkurencję z wydawnictwami tradycyjnymi?

— To nie tak. Trzeba znać swoje miejsce i cenić je, ale myślimy o tym, aby nasze książki były bardziej atrakcyjne pod względem edytorskim. Zamierzamy za kilka lat wydawać albumy, wybraną klasykę i przekłady z języka rosyjskiego.

Czynimy także wszystko, aby nasze książki były relatywnie tanie. Nie powinny być drogimi przede wszystkim książki dla dzieci i młodzieży.

— Mówiliśmy dotąd o książce, ale jak wiem oprócz wymienionych inicjatyw KAW może odnotować już pewne zupełnie nowe zamierzenia. Może o nich choć w kilku słowach.

— Wspomnę o dwu nowych naszych inicjatywach. Od kwietnia planujemy wydawać nową serię wydawniczą, periodyk o cyklu kwartalnym pod tytułem „Realizm".

Od dawna obserwowaliśmy w Łodzi próby stworzenia periodyku o charakterze naukowo-artystycznym, którego łamy integrowałyby środowisko naukowców, humanistów i twórców. Wychodzimy tej społecznej potrzebie i inicjatywie naprzeciw. Pierwszy numer „Reniczy KAW. Chcemy tam prezentować i sprzedawać produkcję „całego" KAW-u z pominięciem dystrybucji centralnej, co oznacza, że wszystkie nasze pozycje będą przez salon trafiały do łódzkiego czytelnika znacznie szybciej. Poprzez salon mamy szansę dać na łódzki rynek czytelniczy dodatkowo rocznie książek za około 20 mln złotych.

Sklep firmowy to także szansa uzyskania bliższego, bardziej bezpośredniego i trwałego kontaktu z czytelnikiem, to szansa rzetelnego rozpoznawania potrzeb rynku. We własnej placówce będziemy mogli wykorzystać nowe formy propagandy książki, otworzyć ekspozycję plakatu, grafiki książkowej, uruchomić stoisko płyt i kaset itd., a także organizować spotkania autorów z czytelnikami.

— Myślę, że jak na firmę przebijającą się na szersze wody, mającą ambicję rywalizacji z tradycyjnymi wydawnictwami, to sporo. Wypada tylko życzyć powodzenia...

Chciałbym jeszcze korzystając z okazji tej rozmowy poprosić o kilka własnych refleksji na temat społecznie dziś głośny i drażliwy, myślę o sytuacji w środowisku twórców, głównie literatów.

— Mówiąc lapidarnie trzeba stwierdzić, iż sytuacja środowisk kulturalnych i twórczych Łodzi jest odmienna niż w środowisku warszawskim. Jest po prostu lepsza. Choć nękają nas podobne wątpliwości, rozterki i kłopoty, to jednak łódzkie środowisko literatów choć podzielone, nie jest tak rozbite jak warszawskie. Podobnie jest w Katowicach, Poznaniu czy Wrocławiu. Tymczasem tzw. opinia społeczna buduje sobie osąd o sytuacji politycznej w środowisku literackim na podstawie tego, co dociera ze stolicy. Faktem jest także, że wpływ prowincji czyli oddziałów na to, co dzieje się w zawieszonym Związku jest minimalny. Władze zawieszonego ZLP wywodzą się głównie z ośrodka stołecznego, co negatywnie odbija się na wychodzeniu z aktualnego impasu. Ale w tym miejscu chciałbym podkreślić, iż istniejący dziś kryzys życia literackiego to nie jest kryzys literatury. Nie obserwuję z tego tytułu objawów „zapaści twórczej". W naszym środowisku jest wprost przeciwnie.

Jak większość pisarzy w Polsce życzyłbym sobie, aby władze zawieszonego ZLP doszły jak najszybciej do kompromisu z władzami politycznymi kraju.

— Tymczasem mimo kilkakrotnych rozmów sprawa się przeciąga. Kto to są ci, którzy nie chcą porozumienia, unormowania sytuacji w zawieszonym ZLP?

— Są to ci sami, którym się marzy, aby ZLP przekształcić w swoisty bastion opozycji czy działalności antypaństwowej. Czy to nie absurd, że komunista miałby być w tym samym związku co pan Najder, dyrektor „Wolnej Europy"?

— Ale mówi się też często i głośno, aby ZLP zachował tradycje pluralizmu z okresu J. Iwaszkiewicza.

— Myślę, że wszyscy jesteśmy za pluralizmem rozumianym jako współistnienie w ramach związku wielu orientacji, poglądów i postaw. Warunek jest jeden — muszą one mieścić się w ramach prawnego i politycznego porządku naszego kraju. Jeśli wołamy o państwowy mecenat nad literaturą, bo jest on literaturze niezbędny, to nie możemy równocześnie założyć, że państwo ma pozostać bez żadnego realnego wpływu na rozdział środków, a związek miałby pozostawać poza ramami państwowej polityki kulturalnej.

— A czy nie istnieje niebezpieczeństwo ponownego pojawienia się „literatury dworskiej", podchlebiającej się mecenasowi?

— Musimy sobie w pełni uświadomić dokąd sięgają granice wolności twórczej i pluralizmu. Ale musimy także wybić raz na zawsze z głowy hasła i ciągoty niektórych urzędników do sztucznej jednomyślności, która zawsze w przeszłości prowadziła do ograniczania szansy twórców inaczej czy krytycznie myślących. Literatura bezkrytyczna wobec rzeczywistości, i to tak złożonej jak nasza, to literatura bezwartościowa. Tę czytelnik odrzuci.

Myślę, że władze mają świadomość faktu, że nie uda się i nie trzeba próbować wprzęgać literaturę, sztukę do działań służebnych wobec taktycznych, doraźnych zadań propagandowych. Ale równocześnie trzeba wyznaczyć jasno i jednznacznie granice tolerancji, pluralizmu i swobody twórczej.

Pomocną w przestrzeganiu tak ustalonych reguł gry powinna być ustawa o cenzurze, która mam nadzieję zacznie w pełni funkcjonować jak tylko zaistnieją ku temu polityczne warunki.

— Jakiej więc należałoby się spodziewać decyzji w sprawie przyszłości ZLP?

— Myślę, że dzisiaj jeszcze każde rozwiązanie jest możliwe. A było tych propozycji ze strony władz już kilka. Nie może być celem dla nikogo rozbicie ZLP, zaprzepaszczenie jego historycznego dorobku, jego pięknych tradycji. Za czasów prezesury J. Iwaszkiewicza codzienna działalność ZLP była dowodem na to, że szanując pluralizm wewnątrzzwiązkowy można porozumiewać się i współpracować z władzą. To fakt, że ludzi tego pokroju co J. Iwaszkiewicz, Z. Załuski bardzo w ZLP brakuje. Sytuacja polityczna też jest inna, o wiele bardziej niż kiedykolwiek przedtem skomplikowana. Mimo to jednak wierzę, że uda się aktualny impas życia literackiego przełamać z pożytkiem przede wszystkim dla samej twórczości.

Rozmawiał: KAROL JÓZEF STRYJSKI

Foto: M. Zajdler

Kronika kulturalna

W Kutnie powstaje muzeum. Pierwsza wystawa, otwarta przed kilkoma dniami nosi nazwę „Nabytki Muzeum". Pokazano na niej eksponaty, zgromadzone przez tę nową placówkę przez rok, który upłynął od jej powołania. Wśród zbiorów najciekawsze są wyroby rzemiosła artystycznego: meble, srebra, porcelana, pochodzące z zakupów i darów. W przyszłości te wyroby stanowić będą wyposażenie ekspozycji wnętrz mieszczańskich.

Zebrano również interesującą kolekcję grafiki i akwareli oraz pewną ilość eksponatów historycznych. Są to w większości archiwalia dotyczące dziejów miasta i dawnego powiatu kutnowskiego.

Na półkach księgarskich ukazała się nakładem „Interpressu" wartościowa publikacja pt. „Żydzi polscy. Dzieje i kultura", autorstwa Mariana Fuksa, Zygmunta Hoffmana, Maurycego Horna i Jerzego Tomaszewskiego.

Bogatą stronę tekstową uzupełnia równie bogata część ilustracyjna, zajmująca prawie połowę tomu. Pozycja ukazała się w pięknej szacie edytorskiej (drukowana w Jugosławii). Mimo stosunkowo wysokiej ceny (1080 zł) czterdziestotysięczne wydanie rozeszło się błyskawicznie. Warto pomyśleć o wznowieniu...

W listopadzie br. odbędzie się w Łodzi ogólnopolski konkurs pianistyczny im. Karola Szymanowskiego. Organizatorem konkursu jest Łódzkie Towarzystwo Muzyczne im. Karola Szymanowskiego, imprezie patronują Ministerstwo Kultury i Sztuki, Wydział Kultury i Sztuki UM Łodzi oraz Federacja Stowarzyszeń Kulturalnych Województwa Miejskiego Łódzkiego. W konkursie mogą wziąć udział pianiści polscy oraz obcokrajowcy studiujący w Polsce, którzy nie przekroczą 30 lat w dniu rozpoczęcia konkursu (11.XI 83.).

Pierwsza nagroda — 50 tys. złotych.

Zgłoszenia do konkursu należy dokonać do dnia 15 czerwca br. Sekretariat Konkursu ma siedzibę w Łódzkim Towarzystwie Muzycznym im. Karola Szymanowskiego 90-422 Łódź, Piotrkowska 65, tel. 232-03, 316-27 Bliższych informacji zasięgnąć można pod tym adresem.

Zakończył się 33 Festiwal Piosenki w San Remo. Zwyciężczyniami zostały trzy piosenkarki wytypowane przez sędziów, wybranych spośród publiczności. Warto podkreślić, że werdykt sędziów rozminął się z typowaniami zawodowych krytyków.

I miejsce zajęła debiutantka Tiziana Rivale za wykonanie piosenki „Sara quel che cara" (Co będzie to będzie).

Nietypowy kabaret działa we Wrocławiu — kabaret iluzjonistów „Wrokabil". Szefem tej oryginalnej placówki kulturalnej jest senior polskich magów Ludwik Wytysiński „Wrokabil ma już za sobą 71 spektakli, z czego aż 51 bezpłatnych. Występował w szpitalach, domach dziecka, domach opieki społecznej, a więc wszędzie tam, gdzie uśmiech jest szczególnie potrzebny dorosłym i dzieciom.

Wrocławscy iluzjoniści myślą o założeniu teatru iluzji i przygotowują inauguracyjny spektakl pt. „Pan Twardowski we Wrocławiu". Latem będzie prezentowany w amfiteatrze zamku w Leśnicy.

Dokończenie ze strony 1

brak tak wszyscy narzekają!), wzięła w nim bowiem udział również delegacja polska pod przewodnictwem rektora uniwersytetu krakowskiego, Pawła Włodkowica, autora cenionych rozpraw, krytykujących świecką władzę papieża i potępiających nawracanie pogan mieczem. Zarówno duchowni, jak i świeccy delegaci Polski (m. in. Zawisza Czarny) występowali w obronie „heretyka" Jana Husa, spłacając husytom dług wdzięczności za ich zbrojny udział pod Grunwaldem, co na nic się nie zdało, ponieważ Husa podstępnie uwięziono (pomimo glejtu gwarantującego mu bezpieczeństwo) i skazany został na stos. Nasi delegaci odpierali także podnoszone tu i ówdzie zarzuty wobec Jagiełły o „sprzyjanie poganom".

Tyle i aż tyle — o soborowym meritum, gwoli uprzytomnienia różnorodnych i złożonych aspektów dyskursu o tolerancji, do którego pobudza zawsze premiera „Żydówki". W odniesieniu do innych oper nie czyni się tego zbyt często, co świadczy o tym, że ta właśnie opera swoją pozycję i powodzenie zawdzięcza w wyjątkowym stopniu treści scenicznej. Czy to znaczy, że jej wartości muzyczne nie mają żadnej zasługi w niebywałych sukcesach odnoszonych w przeszłości?

Nie mnie wypowiadać o tym autorytatywne sądy, ponieważ jednak od początku w środowisku fachowych krytyków istniały i do dziś się utrzymują rozbieżne opinie, ośmielam się dorzucić do nich swoje odczucia. Otóż wydaje mi się, że libretto wyróżniające się taką siłą dramatycznego wyrazu i pogłębionym rysunkiem psychologicznym postaci w stopniu rzadko w operze spotykanym, odwołujące się ponadto do głębokich pokładów emocjonalnych odbiorców o różnych zresztą postawach światopo-

„Żydówka" dzisiaj

glądowych, zasługiwało na wsparcie ze strony muzyki o większym „ciężarze gatunkowym", aby można było mówić o dziele artystycznie doskonałym.

Co prawda, nie brak tu melodyjnych i pełnych ekspresji arii oraz z dużą maestrią napisanych ansambli, które pod względem muzycznym mogą dostarczać satysfakcji, zwłaszcza gdy znajdują pokrycie w wokalnych umiejętnościach wykonawców, jak to często dochodziło do głosu w łódzkiej (sobotniej) premierze. Więc może teraz o tych, którym zawdzięczamy największe przeżycia. Przede wszystkim dwaj główni protagoniści: uleczony przez cierpienie z nienawiści, pełen chrześciajńskiej skruchy **Kardynał de Brogni** i zapiekły w pragnieniu zemsty za doznane krzywdy **Eleazar**, który swoje uczucia ulokował w przygarniętej córce swojego krzywdziciela. Dwie postacie dużego formatu, które, gdyby nie okrucieństwo nieludzkich stosunków historycznych, warte były tego, by stać się przyjaciółmi, obie znalazły godnych odtwórców w osobie niezwykle utalentowanego, obdarzonego rzadkiej urody potężnym basem **Romualda Tesarewicza**, bardzo też sugestywnego i zarazem zdyscyplinowanego aktorsko oraz w **Zygmuncie Zającu**, znajdującym się w świetnej formie wokalnej, którego tenorowy głos brzmiał pełnie i dźwięcznie, zwłaszcza w górnej części skali. Ich dramatyczny duet w celi więziennej IV aktu byłby ozdobą każdej sceny operowej. Za słynną arię „Rachelo, kiedy Pan" zebrał Zając owacyjne oklaski, bardziej zresztą zasłużone po jej wykonaniu na bis.

Z obu postaci kobiecych bardziej dla mnie przekonującą była **Delfina Ambroziak**, jako dumna księżna **Eudoksja**, która — poza pewnymi momentami w III akcie, zaprezentowała nienaganną technikę wokalną i wysoką kulturę muzycznej interpretacji oraz umiar środków aktorskich. Partia **Racheli**, przysparzająca wielkich problemów technicznych, wymagająca dramatyzmu ujęcia, była zawsze przedmiotem ambicji wybitnych artystek, ale i surowym sprawdzianem śpiewaczych umiejętności. Nie wydaje mi się, żeby całkowicie sprostały wymaganiom tej roli predyspozycje **Ewy Karaśkiewicz**, o czym świadczyłoby zbyt nierówne w przebiegu całego przedstawienia wykonywanie tej arcytrudnej partii. Wielki duet obu pań w IV akcie nie zalecał się szczególnym walorami brzmieniowymi.

Zbyt wielkie obciążenia, zwłaszcza w górnych partiach tenorowej skali przypadły nie dość chyba doświadczonemu **Tadeuszowi Galczukowi** w roli wiarołomnego **Leopolda**. Nie za duże pole do popisu mieli **Eugeniusz Nizioł (Ruggiero)**, **Ryszard Czogała (Albert)** i **Wiesław Bednarek (Herold)**, z którego pięknym barytonem i z czystością intonacji chyba nie jest ostatnio najlepiej.

Do najbardziej udanych muzycznie i scenicznie fragmetów zaliczyłbym niezwykle nastrojową paschalną wieczerzę, stanowiącą osnowę aktu II, ale następująca później scena zawierająca wyznanie prawdy przez Leopolda, załamanie Racheli i rozterki Eleazara, raziła w sumie sztucznością w rozwiązywaniu sytuacji, np. biernym scenicznie wejściem Eleazara i jego przeciągającym się brakiem reakcji na to, co się między młodymi dzieje.

Stanowczo za daleko idącym odstępstwem w kierunku naturalizmu było wprowadzenie na scenę żywego konia. Pomijając już jego niespokojne zachowanie się, które mogło dekoncentrować uwagę widza (na czym nie powinno teatrowi zależeć), przede wszystkim stanowiło to drastyczne „złamanie" konwencji teatralnej, której nie potrafiłaby strawić ani opera werystyczna, ani teatr dramatyczny (zwłaszcza w warunkach gmachu teatralnego, bo co innego w „Hamlecie" Wajdy na dziedzińcu wawelskim). Ten dysonans odczulibyśmy w całym wymiarze dopiero wtedy, gdyby scena zaczęła „ścielić się trupem" — wśród objawów autentycznej paniki i okrzyków prawdziwego przerażenia. Oceniam jednak jako sukces artystyczny Dyrekcji, że zacne konisko nie pofolgowało potrzebie fizjologicznej...

Wracając jeszcze do strony muzycznej, nie dorównującej na ogół napięciu dramatycznemu akcji scenicznej, powołam się na wspomniany już duet Kardynała i Eleazara, dotyczący spraw życia i śmierci, wiary i zaprzaństwa, którego marszowe zakończenie, rodem z włoskiej opery komicznej, stanowiło najjaskrawszy chyba przykład. Zadanie jak gdyby artystycznego łącznika, harmonizującego owe niekiedy sprzeczne żywioły wypełniała zamierzona widowiskowość przedstawienia, której walory podnosiła monumentalna scenografia, łącząca przepych wystroju sceny z dobrym smakiem, odznaczająca się przy tym znaczną funkcjonalnością, wystarczyło bowiem w II akcie odsłonić, a raczej odemknąć boczną ścianę katedralnego placu, aby przenieść akcję do wnętrza domu Eleazara, gdzie święcono paschę.

Mogła też zadowolić słuchaczy bardzo dobra gra orkiestry i doskonałe przygotowanie chóru, wzmocnionego przez grupę chórzystów z filharmonii, chociaż w I akcie synchronizacja obu tych elementów aparatu wykonawczego pozostawiała nieco do życzenia. Jest to jednak chyba kwestia dotarcia się pod energiczną batutą Aleksandra Tracza.

Należy się uznanie i wdzięczność widzów teatrowi za na ogół staranne i pełne wyobraźni wystawienie tego dzieła, przeniknięte humanistycznym duchem tolerancji, a także reprezentatywnego dla ważnej epoki w rozwoju operowej sztuki.

JERZY KWIECIŃSKI

Jacques Halevy „Żydówka", opera romantyczna w 5 aktach, libretto **Eugene Scribe**, kierownictwo muzyczne — **Aleksander Tracz**, reżyseria — **Maria Foltyn**, scenografia — **Marian Kołodziej**, choreografia — **Kazimierz Wrzosek**, przygotowanie chóru — **Elżbieta Kwiecień**. Premiera w Teatrze Wielkim w Łodzi, 3 lutego 1983 r.

Wyprawa po białe runo

DOROTA CHRÓŚCIELEWSKA

Akcja ostatniej powieści Eugeniusza Iwanickiego, **Wyprawa po białe runo** (Łódź 1982) rozgrywa się w Łodzi od 1905 r. po lata siedemdziesiąte. Jest to rodzaj sagi rodzinnej, w której autor przedstawia losy trzech robotniczych pokoleń: dziada, syna i wnuka.

Bohaterem pierwszej partii książki jest Albin Konar, młody wieśniak, który przywędrował do fabrycznej Łodzi w poszukiwaniu chleba. Miasto przyjmuje chłopca gościnnie. Udaje mu się dostać na stancję do stryja, starego robociarza-ideowca, i jednocześnie udaje mu się otrzymać pracę w stolarni. Szczęśliwa miłość, udane małżeństwo sprawiają, iż chłopakowi wydaje się, że do niego uśmiechnęła się fortuna. Tymczasem nadchodzi 1905 r. Albin nie czuje się związany z proletariackim buntem, nie rozumie powodów strajków i manifestacji, chce pracować, dziwi się, iż jego zachłanność w robocie irytuje strajkujących. Dopiero najbliższa rodzina, żona Julka i teść, tłumaczą zdezorientowanemu, nie potrafiącemu myśleć w kategoriach interesów ogółu wieśniakowi — istotę i cel rewolucyjnej walki.

Bohaterem części drugiej jest syn Albina i Julii, Stanisław — wykwalifikowany tkacz. Iwanicki ukazuje nam jego perypetie w latach trzydziestych, podczas straszliwego kryzysu. Rodzina Stanisława głoduje. Powodem tego jest między innymi i kalectwo Albina, który podczas walk z 1905 r. raniony w głowę traci wzrok. Utrzymanie rodziny spada na Stanisława. Ten jest co prawda młody i silny, ale z wiadomych powodów nie może dostać pracy. Ima się najrozmaitszych, dorywczych zajęć, byle tylko przetrwać. Miasto poraża epidemia. Albin umiera na tyfus.

Stanisław wiedząc o tym, iż matka, która najmuje się do najrozmaitszych posług, jakoś się wyżywi, wyjeżdża do Hiszpanii, by wziąć udział w walce o Republikę.

Bohaterem części trzeciej jest syn Stanisława i rewolucjonistki Anny, Krzysztof, inżynier piastujący kierownicze stanowisko w potężnym % przedsiębiorstwie, jakim są ZPB im. Marchlewskiego.

Żyje wraz z rodzicami w dobrobycie. Stara się czynnie uczestniczyć w życiu kulturalnym miasta. Nie bardzo rozumie ojca, irytują go wieczne wspominki starego z lat bujnej i głodnej młodości.

Tymczasem w zakładzie narasta konflikt. Pogarszające się w Polsce warunki bytowania sprawiają, iż robotnice protestują przeciw złemu zaopatrzeniu sklepów, skarżą się na niejasności w systemie wynagrodzeń itd.

Krzysztof, który do tej pory ślepo ufał magii cyfr i planom produkcyjnym, musi się teraz opowiedzieć albo po stronie ludzi, którzy nie wtajemniczeni w arkana zarządzania wielkim przedsiębiorstwem czasem nie mają racji, albo po stronie Dyrekcji. Przed wnukiem i synem rewolucjonisty staje więc wielki dylemat moralny.

Wyprawa po białe runo jest zdecydowanie najlepszą powieścią Iwanickiego. Szczególnie bliska powinna być tym wszystkim, którym nieobce są tradycje „złego miasta", nieobcy robotniczy folklor.

Opisując perypetie swych postaci, ukazał pisarz jednocześnie bolesne i trudne dzieje zbuntowanej Łodzi. Jej historia, niech zaświadczą o tym nazwiska Reymonta, Bartkiewicza, Tuwima czy twórców współczesnych, wielekroć była tematem artystycznych penetracji. Pisarzy fascynowały głównie kontrasty, wielkie przepaści społeczne, wzajemna nieprzenikalność świata brylantów i świata nędzy.

Iwanickiego zainteresowała przede wszystkim Łódź proletariacka. Odtwarzając losy robotniczej rodziny na przestrzeni blisko siedemdziesięciu lat, ukazał co jest tu szczególnie ważne także zmiany zachodzące w psychice poszczególnych jej członków. Trafne więc poprowadzenie bohaterów, trzymająca w napięciu akcja, atrakcyjna fabuła, dobre dialogi, które są dzisiaj niestety, rzadkością, wreszcie bogata panorama naszego miasta w jego historycznym rozwoju sprawiają, że lektura tej książki daje dużą satysfakcję.

Eugeniusz Iwanicki. Wyprawa po białe runo. Łódź 1982.

NA MARGINESACH WIELKIEJ SZTUKI

Wyprzedaż artystów

Bodaj w lipcu czy sierpniu pisałam, że mniej się obawiam o los plastyków zaprawionych w bojach na wolnym rynku, choć i oni teraz cienko przędą, niż o bytowanie tych, którzy związani są etatową pracą w przemyśle. Właściwe należałoby napisać, że byli wiązani, wielu z nich bowiem musiało pożegnać się ze stałym zatrudnieniem lub zadowolić się połówką etatu. Poza tym owi szczęśliwcy, którzy jeszcze na etatach egzystują też nie bardzo mają się z czego cieszyć. Tylko w nielicznych przypadkach ich praca jest godziwie opłacana, jedynie część z nich robi to, co powinna — projektuje wzory tkanin, dzianin lub odzieży do produkcji seryjnej. Reszta kontentuje się malowaniem ręcznym kuponów, bezpośrednią pracą przy krośnie, malowaniem plansz propagandowych i temu podobnymi zbożnymi zajęciami. Są one równie potrzebne, tylko niekoniecznie powinni się im oddawać ludzie ze specjalistycznym wyższym wykształceniem.

Ośrodki badawczo-rozwojowe okazały się pierwszymi ofiarami kryzysu. Napisałam kryzysu, wcale jednak nie jestem pewna czy bardziej zaważył tu kryzys czy może raczej reforma.

W Centralnym Laboratorium Przemysłu Wełnianego dział wzornictwa został rozwiązany. Jeden artysta dobiera kolory do tego, co już jest na krosnach, dwójka zdaje się szyje krawaty. O czymś takim jak programowanie wzornictwa, czy też prognozowanie powoli zaczyna się tam zapominać. Centralny Ośrodek Badawczo-Rozwojowy Przemysłu Odzieżowego pozostawił sobie 5 plastyków z 14 niedawno jeszcze zatrudnionych. Standaryzacja odzieży dziecięcej i młodzieżowej, opracowywanie kart kolorów to podstawowe zajęcia tej pozostałej piątki. Teoretycznie nie jest źle, praktycznie odcięcie od informacji o tym, co dzieje się we wzornictwie światowym nie sprzyja dobrej jakości pracy. W laboratorium galanteryjnym jak i w filcowym z zespołów trzyosobowych ostało się po jednym samotniku; w dziewiarstwie artyści trudnią się ręcznym malowaniem sukienek, szali i temu podobnymi rzeczami, w bawełnie dochodzi malowanie kuponów. Za jeden kupon plastyk otrzymuje 250 złotych, której to wyceny nijak nie da się przypasować do cenników obowiązujących dla usług projektanckich. Z kolei w laboratorium lniarskim projektanci malują różne plansze na zamówienie. Zarobki jak na razie najwyższe są w wełnie — 7 800 zł plus 30 proc. premii. Tam gdzie uchowały się jeszcze jakieś zapasy materiałów i przyborów malarskich przynajmniej o ich koszt plastykom jest lżej. Jeżeli zaś chodzi o poczucie stabilizacji zawodowej, chyba projektanci z Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. J. Marchlewskiego czują się najpewniej. W Zakładach Lniarskich w Żyrardowie — nie od dzisiaj zresztą — projektanci uważani są za zbyteczny dodatek do produkcji.

Ten migawkowy obraz sytuacji projektantów w przemyśle lekkim sam w sobie niewiele mówi. Może bowiem rzeczywiście — jak głoszą niektórzy — mieliśmy w tym ogródku artystów zbyt wielu. No a teraz kryzys, reforma — nie wiadomo co bardziej — więc wyzbywamy się ludzi mało wykorzystywanych, niepotrzebnie opłacanych, co może wcale nie jest takie złe. Tym bardziej, że przecież mamy Centralne Biuro Wzornictwa Przemysłu Lekkiego, które — znów jak twierdzą niektórzy — z powodzeniem może zastąpić liczne rozdrobnione placówki badawczo-rozwojowe. I byłby to może niezły w sumie pomysł, gdyby nie pewna niekompletność takiego rozumowania, oderwanego w dodatku od rzeczywistości. CBW jest w Warszawie, w Łodzi zaś pracuje około 80 procent plastyków projektujących dla potrzeb przemysłu lekkiego. CBW nie posiada również niezbędnego dla przygotowywania kolekcji wiodących zaplecza produkcyjnego. Krótko serie próbne, wiodące, pilotujące — wszystko jedno jak je nazwiemy — potrzebne, żeby wzornictwo nam nie chromało, stają się w takim układzie czystą utopią. Zakłady nastawione na produkcję wielkoseryjną na pewno tym się nie zajmą, bo to dla nich kosztowna i nieopłacalna zabawa. Poza tym nastawienie w większości jest takie, że klient wszystko kupi — wiadomo kryzys — wystarczy tylko tłuc to, co już zostało do produkcji przygotowane. Gdyby zaś ktoś zapytał o eksport można przecież powiedzieć, że nie musimy robić go w oparciu o wzory własne, wystarczy korzystać z dostarczonych przez klienta. Że ogranicza to rynki zbytu, że spycha w objęcia klientów mniej wybrednych, inaczej mówiąc na kuchenny rynek, staje się powoli sprawa mało istotną, bo przecież mimo wszystko jakieś dolary za taki eksport ciurczą.

Wszystko to niestety są argumenty pozorne. Ta prowadzona obecnie wobec projektantów polityka skutek będzie miała jeden — zacofanie naszego wzornictwa. O ile bowiem w latach tłustych udawało nam się utrzymywać roczne, co najwyżej dwuletnie opóźnienie w stosunku do tego co proponowano na rynkach światowych, teraz gonimy już resztkami rozeznania, nadrabiamy talentem artystów, jednocześnie jednak tracimy kontakty, odcinamy się od źródeł informacji, nasze zacofanie rośnie. Kiedy powróci koniunktura odnotujemy, że mamy do odrobienia nie trzy, cztery lata, a co najmniej dwa razy tyle. Tego zaś przez jeden sezon nadgonić się nie da.

Świadomość takich perspektyw w kręgach przemysłowych jest jednak niewielka. Piszę to z całkowitym przekonaniem i pełną odpowiedzialnością. Gdyby bowiem było inaczej reorganizacja wzornictwa — konieczna, nie przeczę — przebiegałaby zupełnie inaczej. Przypuszczam, że zadbano by o utrzymanie warunków dla produkcji właśnie krótkich serii, na możliwie najwyższym poziomie wzorniczym, wielkim zakładom pozostawiając tani i latami będący w handlowym obiegu standard. Byłby to zabieg nieskomplikowany i jednocześnie mało bolesny dla środowiska plastycznego, obniżyłby globalne koszty produkcji w przemyśle lekkim zarówno w skali resortu, jak i poszczególnych zakładów, zachowałby jednocześnie na lepsze czasy potencjał projektancki. Ale sandardu nie zdołaliśmy wypracować także w latach tłustych, trudno więc oczekiwać, że powszechna będzie świadomość jego potrzeby właśnie dzisiaj. Skupienie w Centralnym Biurze Wzornictwa wszelkiej informacji — pod tym terminem należy rozumieć przede wszystkim światowe żurnale — jest kolejnym absurdem świadczącym o nierozumieniu sytuacji wywołanej kryzysem i reformą. CBW bowiem, jak już wspomniałam ma siedzibę w Warszawie, projektanci zaś są przede wszystkim w Łodzi. Nie dość, że obejrzenie żurnala wymaga całodziennej wyprawy do stolicy, że trzeba za tę podróż zapłacić obciążając kieszeń własną lub macierzystego zakładu, to na dodatek CBW pobiera opłatę za samo oglądanie. Dolarów być może wydajemy przy tym mniej, ale i mniej zarabiamy, a z czasem zarobek będzie jeszcze bardziej malał.

Projektanci pozostawieni przez resort na lodzie, w trosce o własny byt, ale też — i wcale nie jest to powód marginalny — dla utrzymania się na wysokim fachowym poziomie podejmują samodzielne, niezależne od przemysłowego molocha starania o utrzymanie się na powierzchni. Pod koniec minionego roku powstała w Gdańsku spółdzielnia Forma. W połowie stycznia rozpoczęła w Łodzi działalność jej filia. Skromne zaplecze produkcyjne wykorzystane będzie do wytwarzania krótkich serii odzieży, zestawów odzieżowo-galanteryjnych. Formę utworzyli sami plastycy. Za wcześnie jeszcze na ocenę tej inicjatywy, ale na pewno warta jest ona poparcia. Natomiast czy resort, zrzeszenia, wreszcie poszczególne zakłady zawrócą z drogi zmierzającej wprost do uśmiercenia wzornictwa, w ogóle trudno przewidzieć. Wyprzedaż czy, może celniej byłoby tu powiedzieć, odstrzał artystów nie usposabia optymistycznie.

KRYSTYNA NAMYSŁOWSKA

Czy tylko lirnik?

ANDRZEJ KEMPA

Przed 90 laty, 3 lutego 1893 roku przy via Montebello 24 we Florencji umierał pisarz, którego twórczość wzbudza dotąd kontrowersje wśród historyków literatury, niewiele mniejsze aniżeli przed wiekiem. Pod koniec życia był już epigonem romantyzmu, sam z upodobaniem określał się mianem lirnika mazowieckiego, choć przez ponad 40 lat nie oglądał piasków Mazowsza i wód wiślanych, mieszkając poza krajem w odległej Italii. Zgryźliwy i kostyczny z biegiem lat staruch, łajał na prawo i lewo młódź literacką i niewdzięcznych czytelników, którym sprzykrzyły się brząkania na lirze Mazura, zrządzeniem losu rzuconego nad brzeg Arno. Rychło wszedł do historii literatury polskiej i pozostał w niej na stałe, nie ustępując łatwo z należnego sobie miejsca.

Teofil Lenartowicz, bo o nim mowa, był i pozostał w dziejach naszej literatury postacią nader tajemniczą. U zarania swej twórczości literackiej (1841) napisał:

Może w nagrodę sława ozdobi
me skronie,
Świat więcej dać nie może jak
wieniec cierniowy.

Zdumiewająco trafnie ten młody wówczas, niespełna dwudziestoletni adept literatury przewidział dalsze swe losy. Syn kościuszkowskiego kapitana, a zarazem mieszczanina warszawskiego, trafił po latach do grobów zasłużonych na Skałce, choć los nie był mu łaskaw, nie szczędząc upokorzeń i krzywd ze strony zawistnych rodaków. Znamy go dziś jako autora „Kaliny", „Złotego kubka", „Ducha sieroty", wierszy, do których muzykę skomponował młodo zmarły Ignacy Komorowski — przyjaciel poety z czasów warszawskich. Toż te piosenki śpiewano ongiś na równi z melodiami ze „Śpiewników domowych" Moniuszki w dworkach szlacheckich w całym kraju na przekór kordonom granicznym trzech zaborów.

Mimo tak długiego oddalenia od kraju był Lenartowicz nie tylko obserwatorem, ale i uczestnikiem polskiego życia literackiego w kraju i poza jego granicami. W Polsce propagował mało tu znaną literaturę i sztukę włoską, na Półwyspie Apenińskim zapoznawał Włochów z egzotyczną dla nich literaturą polską. Samouk bez wykształcenia pełnił w Bolonii obowiązki profesora uniwersytetu, zadziwiając nieskorych do entuzjazmu włoskich słuchaczy.

Ukryty w cieniu poezji mickiewiczowskiej stał się, dzięki małżeństwu z siostrą żony poety Zofią z Szymanowskich, utalentowaną malarką, przyrodnim szwagrem wielkiego Adama. Cenił go Norwid, tworzący kompozycje graficzne do dzieł przyjaciela, cieszył się przyjaźnią Edmunda Wasilewskiego, Wincentego Pola, Józefa Ignacego Kraszewskiego, Aleksandra Fredry, Marii Konopnickiej i całej plejady mniej lub bardziej znanych przedstawicieli świata literackiego i artystycznego. Z wierszy poświęconych Lenartowiczowi można by zestawić sporą antologię, niektórzy, jak Miron (Aleksander Michaux) przez parę lat wiedli z poetą wierszowaną dysputę, niezmiernie istotną dla poznania psychiki twórców o bliskich sobie charakterach. Stał się też bohaterem kryptograficznej powieści, o której wspomniał mimochodem wszystkowiedzący Wiktor Gomulicki, a która zginęła z pola widzenia historyków literatury.

W latach młodzieńczych konspirował jak inni, wędrował po ziemiach trzech zaborów, aż dziw, że dotąd nie udało się ustalić nawet w przybliżeniu przyczyn tych wędrówek, dla niepoznaki kamuflowanych potrzebą doznań krajoznawczo-etnograficznych. Oczywiście, jak inni, i on wędrował do Czarnolasu, by podumać w cieniu lipy czarnoleskiej nad związkiem przeszłości z teraźniejszością. On też, jak chyba nikt inny stał się uczniem mistrza Jana i jego entuzjastycznym wyznawcą. Ponoć Kazimierz Władysław Wójcicki natchnął go miłością do strof Kochanowskiego, sam poeta w przystępie szczerości wyznał przyjacielowi, że jeszcze w pacholęcych latach przy blasku pastuszych ognisk powtarzał pieśni o sobótce. Pod urokiem Kochanowskiego pozostawał przez całe życie, a gdy już na obczyźnie odnalazł zaginiony tomik dzieł Kochanowskiego, zapisał na książce:

Oj, witaj-że mi, witaj, miły
hospodynie!
Wżdy myślałem, że już też nie
ujrzę cię nynie,
I takem cały chodził, jakoby
z nóg ścięty,
Iżeś mi był, mój Janie
Kochanowski, wzięty.
Kat ich zabierz, Francuzów, i
ich drogie banie,
Com tyle polskich groszy
próżno wydał na nie.
Jeszcze miałbym w dodatku i
tę księgę tracić...
...Zostań-że ze mną, ojcze
polskiego Parnasu,
Pokąd nie przejdziesz w drugie
ręce swego czasu...

Po latach w auli bolońskiej „Academia Adamo Mickiewicz di Storia e Litteratura Polacca e Slava" polski poeta Teofil Lenartowicz będzie w swoich prelekcjach głosił Włochom sławę innego poety polskiego, Jana z Czarnolasu, ongiś wychowańca padewskiej wszechnicy.

„Biedny Mazurzyna" w nie zamierzonych szlakach podróży był też przez czas jakiś mieszkańcem Ozorkowa, gdy jego ojczym Andrzej Zawadzki pełnił w tym podłódzkim miasteczku obowiązki poborcy podatkowego, potem w nieodległej wsi Wyrobki w dobrach szlachcica Stokowskiego. Mamy prawo mniemać, że w tym najmłodszym pacholęctwie (ok. 1829 r.) przyszły poeta odwiedzał Łódź, choćby podczas comiesięcznych jarmarków. Potem przyszły dalsze już zagraniczne peregrynacje, wijące się meandrami po drogach ówczesnej Europy: Kraków i Poznań (to już była zagranica), Łużyce, Drezno, Paryż, Rzym i Florencja. Dopiero na własny jubileusz przybył na krótko do Krakowa w 1875 r., potem zaś już na stałe do grobowca na Skałce. Z podniebia ciasnej izdebki na via Montebello przez długie lata spoglądał na bezchmurny błękit włoskiego nieba, wspominając nostalgicznie:

We własnym kraju, tam,
w ojczyźnie,
Wszystko ci bratnie, wszystko
bliźnie,
Głos ma dla ciebie zrozumiały
Ta ziemia szara, ten kraj cały.
Te lasy twoją szumią mową
I dąb odwieczny nad dąbrową
Te czaple, czajki i łabędzie,
Coś swego widzisz, słyszysz
wszędzie...

Obok Syrokomli najpłodniejszy to chyba poeta polski XIX wieku, choć tamten ledwie nos wyściubiwszy z Borejkowszczyzny, świata poza nią nie widział. Lenartowicz był pełniejszy w życiu i w wyrazie swej twórczości, nie tylko zresztą lirycznej. Był przecież utalentowanym rzeźbiarzem — rys to znamienny dla intelektualistów twórczych owej epoki: Norwid był świetnym rysownikiem, malarzem był Kraszewski, akademicką poprawnością rysunku odznaczał się Słowacki, rzeźbił na wielką skalę chyba tylko Lenartowicz i to tak, że prace jego zdobią do dziś stalle kościoła Santa Croce we Florencji, Panteonu włoskiej kultury. Kiedy poeta wykonał w brązie niewielki posążek Kazimierza Brodzińskiego, wyobrażający postać lirnika-kanoniera, Seweryna Duchińska w wierszu poświęconym Lenartowiczowi zapytała: „Hej, bracie Mazurze, skąd ci tyle siły?...". Bo istotnie wiele wysiłku wymagało pogodzenie pracy rzeźbiarskiej i literackiej w codziennej walce o przetrwanie, wobec obojętności ziomków, z rzadka odwiedzających samotnego poetę.

Dziwny to poeta polski, którego część wierszy wymaga przekładu z włoskiego (zawarte są w tomiku wierszy poety przełożonych przez Ettore Marcucciego), zaś urzekająco piękne „Album włoskie" oczekuje dotąd przekładu na język włoski. Przypięto mu łatkę piewcy ludu, zarzucono łatwiznę wierszowania i pospolitą manierę, ale gdy spojrzeć za kulisy warsztatu twórczego, urzeka alchemia słowa, która zachwycała już w naszym stuleciu Marię Jasnorzewską-Pawlikowską i Jana Lechonia

Od czasów Henryka Biegeleisena (1913) poprzez odkrywcze prace Pawła Hertza (1954), Juliusza Wiktora Gomulickiego (1955) i Jana Nowakowskiego (1955, 1973) Lenartowicz stał się bliższy zainteresowaniom historyków literatury. Żal, że mimo wieloletnich zapowiedzi nie słychać nic o postępie prac Cecylii Gajkowskiej, która przygotowuje obszerną bio-bibliografię poety, ważną tym bardziej, że brak realizacji wydawniczej zamysłu skutecznie blokuje rozwój badań przedmiotowych w tym zakresie. A za dziesięć zaledwie lat przypada setna rocznica śmierci poety, który wciąż oczekuje na głęboką i wielostronną ocenę twórczości, tak bardzo znaczącej w dziejach naszej literatury. ■

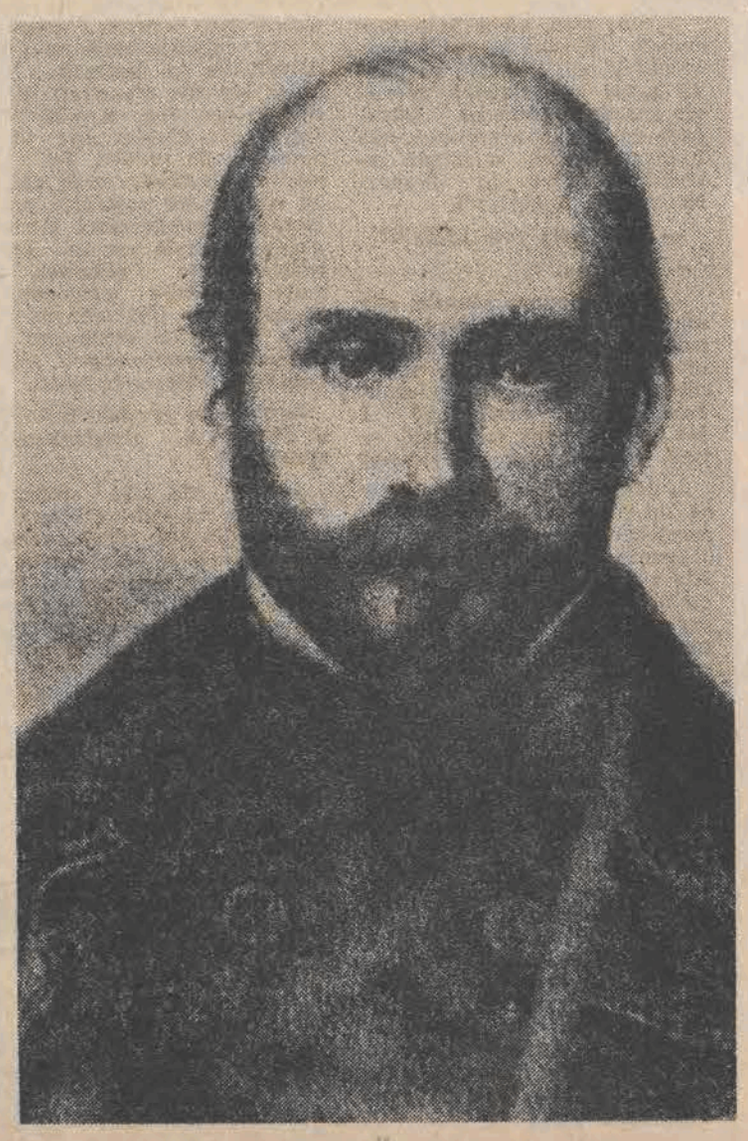

Od Napoleona do Baby Jagi

Styczniowe bestsellery

Styczeń — co przewidywałem na podstawie rokrocznych obserwacji — przyniósł istną lawinę książek. Tyle tylko, że lawina tegoroczna wywołała dramatyczne skutki. To nie przenośnia ani inna figura stylistyczna. Księgarnie, jedna po drugiej, likwidowały wolny dostęp do półek, bo okazało się, iż oprócz legalnych transakcji handlowych: lada — paragon — kasa — książka upowszechnił się proceder inny: czujne spojrzenie wokół siebie — książka — torba — niewinny uśmiech. Straty rzeczywiście musiały być duże, jeśli tak nagle i tak bezpardonowo przestano ufać księgarnianej klienteli. Zabezpieczające zapory z lad ratują wprawdzie kieszenie księgarzy, jednak — co przecież nienormalne — w znacznym stopniu utrudniają bezpośredni dostęp do książki, ograniczają jej — by tak rzec — samorządny, niezależny i przemyślany wybór.

Piszę „samorządny, niezależny i przemyślany" choć każdy, kto chadza do księgarni wie doskonale, że taka forma wyboru książki już od dawna jest idealistyczną fikcją. Gdy tylko na sklepowym zapleczu pojawią się paczki, natychmiast ustawia się kolejka, choć nikt z ogonkowiczów nie ma pojęcia co za chwilę będzie się sprzedawać i w jakiej cenie. Ów owczy pęd do kultury słowa drukowanego przyspiesza telewizja, która coraz to informuje, że oto właśnie, że jak pięknie, że mały nakład itd., wyzwalając w słuchaczach irracjonalny amok („ja to muszę mieć"), taką książkową gorączkę złota. Tylko gdzie to Klondyke?!

Ale do rzeczy, czyli do informacji czego należy szukać w bibliotekach, antykwariatach i u bazarowych bukinistów. To prawdziwe, styczniowe embarras de richesse i mnie wprowadza w zakłopotanie: od czego zacząć?

Można bez większej przesady powiedzieć, że cesarz Francuzów jest i naszym bohaterem narodowym. W ostatnich latach odkurzał legendę Bonapartego nie bez uporu i miłosnych uniesień Waldemar Łysiak w swoich popularno-sensacyjnych hagiografiach, w roku 1980 ukazała się duża monografia rosyjskiego historyka A. Manfreda poświęcona Wielkiemu Korsykaninowi. Temat, jak widać, wciąż cieszy się zainteresowaniem historiografów i czytelników. Wychodząc naprzeciw tym zainteresowaniom PIW opublikował (w serii „Biografie Sławnych Ludzi") ponad 500-stronicową pracę profesora **Andrzeja Zahorskiego pt. „Napoleon"** (30 tys. cena 300 zł). Książka kończy się cytatem z pamiętnika Waleriana Łukasińskiego: „Że Napoleon oszukiwał Polaków dla własnej korzyści, to nam powtarzają już milion razy i w różnych językach. Niech temu wierzy, kto chce, tylko Polacy, których to bliżej interesuje, temu nigdy nie uwierzą". Przytaczam ten cytat, bo — jak sądzę — on właśnie w sposób gorzko ironiczny polską wersję legendy napoleońskiej charakteryzuje najlepiej. Jednak monografia Zahorskiego nie ma założeń polemicznych. Jest obiektywną i przekonująco uargumentowaną rekonstrukcją biografii cesarza na tle panoramicznie zarysowanej historii ówczesnej Europy. Historii politycznej, gospodarczej i historii kultury. A że ta biografia nie przystaje do rozpowszechnionych u nas mitologii, niechaj martwi się tym Waldemar Łysiak i jego czytelnicy.

Książka ta ma jedną wadę, nie zawinioną przez autora i — co przypuszczam — przez wydawnictwo: została wydrukowana na podłym papierze i mimo oprawy w płótno rozchodzi się w szwach. Podobne zastrzeżenia można zgłaszać niemal do każdej książki. Jej fatalny edytorski kształt stał się regułą, co w sposób mało pozytywny świadczy o krótkowzroczności polityki wydawniczej. Bo jakże inaczej oceniać fakt, że **„Słownik wyrazów bliskoznacznych"** Stanisława Skorupki („Wiedza Powszechna", nakład 50 tys. cena 160 zł) ukazał się w kartonowej okładce na papierze o nie najlepszej jakości? Właśnie słownik, który powinien służyć przez lata całe setkom odbiorców. Tej edycji ósmej z kolei, żywot czytelniczy można obliczać na kilkanaście miesięcy. Widać z tego, że mimo alarmów i rządowych akcji stać nas na to.

Nie inaczej jest z klasyką. Oto w styczniu, wreszcie w dużych nakładach, księgarnie sprzedawały **„Lalkę" Bolesława Prusa** (PIW, 220 tys., cena 220 zł), **„Noce i dnie" Marii Dąbrowskiej** („Czytelnik", 50 tys., 400 zł.), **„Przygody dobrego wojaka Szwejka"** Jarosława Haska (PIW, 200 tys. 200 zł), „Czarodziejską górę" Tomasza Manna („Czytelnik", 50 tys., 200 zł). Co z tego, wszystkie te wydania mają formę kartonowo-gazetowego przekładańca (każdy egzemplarz książki jest małą antologią różnych gatunków papieru) i jako tako wyglądają dopóki stoją na półce. Jedynym wyjątkiem jest tu, drukowany jednakowoż w Związku Radzieckim, **„Pan Tadeusz"** z ilustracjami Andriollego („Czytelnik", 100 tys., cena 240 zł).

Pora wrócić do tego co bibliomanów prawdziwie cieszy. Po sześciu latach od wydania tomu I PWN przekazał do księgarń wolumen pierwszy tomu II **„Dziejów literatur europejskich"** (50 tys., cena 580 zł). Takie tempo prac wydawniczych nie napawa większym optymizmem. A oczekiwać będziemy jeszcze na wolumen drugi tomu drugiego i tom trzeci. Może zatem za lat dziesięć albo piętnaście będę miał okazję donieść w „Odgłosowych" bestsellerach, że oto mamy całość „Dziejów". Że książka jest cenna i potrzebna nie ma potrzeby nikogo przekonywać, brak w naszym piśmiennictwie nowych, syntetycznych opracowań na temat historii literatur krajów Europy. Tak więc po literaturze starogreckiej, bizantyńskiej, nowogreckiej, rzymskiej, nowołacińskiej, po literaturach romańskich (francuskiej włoskiej, hiszpańskiej, portugalskiej) wspomniany wolumen pierwszy tomu drugiego przynosi syntezy literatur niemieckiego obszaru językowego, holenderskiej i flamandzkiej oraz angielskiej i Stanów Zjednoczonych. Wartość „Dziejów" podnoszą tablice chronologiczne i bibliografie przekładów na język polski (te ostatnie nie bez drobnych błędów i przeoczeń).

Rekordy popularności biły w styczniu trzy książki. Po pierwsze, dwudzieste czwarte (tak!) wydanie bestsellera bestsellerów, czyli **„Kuchni polskiej"** (Państwowe Wydawnictwo Ekonomiczne, 100 tys., cena 500 zł). Po drugie, ponowne wydanie **„Encyklopedii Popularnej PWN"** (50 tys., cena 1800 zł). — notabene jej wydanie trzecie w nakładzie 100 tys., drukowane w Jugosławii, ukaże się za kilka tygodni. Po trzecie, tu nabieram oddechu, **„Baśnie braci Grimm"** (LSW, 50 tys., cena 1200 zł).

Pomijam „Kuchnię polską", bo lektura to mało zabawna na dzisiejsze czasy, pomijam także „Encyklopedię", bom jej po prostu na oczy nie oglądał i zatrzymam się na moment przy „Baśniach". Oglądam je z uczuciami, o których się mawia, że są mieszane. Cena — każdy przyzna — piracka, nawet jeśli cieszy kształt edytorski tych dwóch, bogato ilustrowanych tomów. Wydawnictwo — jak się zdaje — było w rozterce: wydać Grimmów w formie akceptowanej przez profesjonalistów (literaturoznawców, etnografów, folklorystów), czy też uatrakcyjnić rynek książek dla dzieci, reperując sobie przy okazji plan finansowy. Ostatecznie przyjęto, co widać, rozwiązanie połowiczne; jak to bywa z tego rodzaju rozwiązaniami — w sumie nie najszczęśliwsze. Bo oto tekstom baśni towarzyszy przedmowa autorów, komentarze, posłowie oraz spis tytułów baśni w brzmieniu oryginalnym, pominięto natomiast obszerne komentarze do tekstów opracowane przez Grimmów. Jeśli więc intencje wydawcy kierowane były „pragnieniem wypełnienia poważnej luki w naszej literaturze przekładowej, bowiem dotychczasowe niewielkie wybory nie mogły dać czytelnikowi wyobrażenia o całości dzieła zaliczanego do klasyki światowej" (z noty od redakcji), to należało być w tych pragnieniach konsekwentnym. Jeśli zaś szło o wzbogacenie bibliotek dla dzieci i młodzieży, to po co te dodatki — skrótowe i niekompletne — natury filologicznej. No i ta cena! Choć, jak pokazała rzeczywistość, nikogo ona nie odstraszyła.

Z książek godnych polecenia powinienem wymienić jeszcze jedną, szczególnie interesującą dla tych, którzy śledzą artystyczne hossy i bessy współczesnej sztuki, a mianowicie tę wydaną przez „Wiedzę Powszechną" w zasłużonej serii „Biblioteki Wiedzy Współczesnej" („Omega") pod tytułem **„Happening" Tadeusza Pawłowskiego** (nakład 10 tys., cena 70 zł). Ta mała monografia jest w gruncie rzeczy pierwszym w Polsce tak obszernym i kompetentnym opisem happeningowego nurtu we współczesnej neoawangardzie. Książka ta wywołuje jednak jedną refleksję, czy możliwa jest analiza i interpretacja działań happenerów jeśli posługujemy się opisem opisu tych działań, a więc dokonujemy — chcąc nie chcąc — subiektywnego przekładu na język werbalny struktur, które z założenia odrzucają jakikolwiek racjonalny porządek? Tak czy inaczej praca Tadeusza Pawłowskiego zasługuje na uwagę i domaga się obszernej recenzji.

Tomiki poezji z rzadka osiągają wyższe nakłady. Pośród ich autorów jest kilka nazwisk poetów, którzy zawsze mogą liczyć na powszechniejszy odbiór czytelniczy. Do nich z całą pewnością należy Jerzy Harasymowicz, poeta krakowski, który mimo dwóch czy trzech zacietrzewionych krytyków (najbardziej nobliwy z nich to Artur Sandauer), uzyskał wysoką popularność. Może i dlatego, że ciągle jest obecny na wydawniczym rynku: każdy rok, od czasu debiutu, przynosi jeden albo dwa zbiory wierszy. Na pewno dlatego, że każdy tom — jakkolwiek w ustabilizowanej już i typowej dla Harasymowicza poetyce — prezentuje treści potwierdzającej hasło, że wszystko może być poezją. Tomik ostatni **„Wiersze na igrzyska"** (Wydawnictwo Literackie nakład 10 tys., cena 50 zł.) zawiera 56 stylizacji, odwołujących się do olimpijskich tradycji antyku. Można powiedzieć, że dla Harasymowicza polszczyzna jest arkadyjskim ogrodem, pieczołowicie i z żarliwym zachwytem uprawianym, natomiast dla **Mirona Białoszewskiego**, którego wybór utworów zatytułowany **„Trzydzieści lat wierszy"** przekazał do księgarń PIW (10 tys., cena 80 zł.), język polski to laboratorium, w którym trwa ciągły lingwistyczny eksperyment.

I jeszcze wydawnicza ciekawostka: krakowski oddział KAW wydał kilkudziesięciostronicową broszurę **Piotra Majewskiego „Chiromancja i horoskopy"** (180 tys., cena 60 zł.) Muszę sprawdzić czy handlarz „horoskopów na całe życie" z przejścia podziemnego koło „Centralu" przetrzymał konkurencję.

Na koniec wzorem „Przekroju" proponuję „Odgłosowym" czytelnikom temat do konwersacji. Otóż zabawiłem się w rachmistrza: za wszystkie wymienione wyżej książki (przypominam, że to zaledwie wybór z tytułów, które ukazały się w styczniu) wydawnictwa i instytucje pośredniczące w handlu księgarskim uzyskały od klientów, nie mniej, nie więcej, tylko 347 milionów 200 tysięcy złotych. Czy za te sumy możemy wymagać, aby książka była książką? Pytanie wcale nie retoryczne.

GRZEGORZ GAZDA ■

Gwiazda

Dokończenie ze strony 1

tów. Zakwalifikowałam się do „Złotej Dziesiątki" i... postanowiłam wrócić do Kalisza, by kończyć maturę. Jeszcze parę razy zdarzyło mi się pomyśleć, czy aby to jednak nie piosenka jest tym rodzajem sztuki, w którym mam najwięcej do powiedzenia — lub raczej do wyśpiewania — po kolejnych zwycięstwach festiwalowych w Zielonej Górze, Krakowie, Wrocławiu, w opolskich „Debiutach".

— Kto utwierdził Panią w przekonaniu, że jednak piosenka?

— Mój mąż, który jako kierownik poznańskiego klubu studenckiego „Nurt" pomagał mi przed laty stawiać pierwsze znaczące kroki na estradach nie tylko krajowych, ale i zagranicznych, w czasie żakowskich wojaży do Francji, Norwegii i Jugosławii.

— Jaka była rola krytyki?

— Mniejsza.

— Czy w owym okresie, gdy mimo zdobywanych laurów nie mogła Pani przedostać się do oficjalnej czołówki piosenkarskiej, były chwile, że ulegała Pani pokusie rezygnacji? I jak ocenia Pani ten długi okres wyczekiwania na sukces?

— Może odpowiem najpierw na drugie pytanie. Oczywiście, przyjemniej by było, gdyby dostrzeżono mnie wcześniej. Ale z drugiej strony te lata oczekiwania, trudne problemy życiowe, kryzysy, z którymi musiałam się borykać, w jakiś sposób wzbogaciły moją psychikę: pozwoliły znaleźć mi własne, bardziej ekspresyjne emploi piosenkarskie. Obiektywnie jednak jestem zdania, iż zbyt wielu ludzi zabiega o szansę „pierwszego kroku" dla młodych talentów, a zbyt mało myśli później o tym, by dać im możliwość dalszego rozwoju. Dotyczy to zarówno nauki, jak i niezbędnej pomocy w zdobyciu pozycji artystycznej i zawodowej na rynku estradowym. Łatwo wówczas o zniechęcenie, pojawia się rzeczywiście pokusa rezygnacji. Mnie udało się jakoś przetrwać, dzięki publiczności, która mnie dostrzegła niejako ponad głowami fachowców.

— A później pasmo wielkich sukcesów festiwalowych i liczba nagród, jaką nie może pochwalić się żadna polska piosenkarka. Co z nich wynikało poza satysfakcją bycia laureatką?

— Dyrektor „PAGARTU", Władysław Jakubowski, mówił: „Trzeba iść za ciosem" i posyłał mnie na następne festiwale. Na każdym festiwalu startowałam właściwie od zera i nie było to łatwe. Gdy przystępuje się do udziału w festiwalu, to inne się nie liczą. Sukces sukcesowi jest nierówny. W Tokio w 1972 roku konkurencja była bardzo silna. Czterdzieści dwie osoby. Emocje półfinału. Już samo znalezienie się w gronie finalistów było zwycięstwem. Druga nagroda, Srebrny Medal i nagroda „Za wyróżniającą się osobowość estradową", które wtedy otrzymałam — to był, wobec rzeczywiście ostrej rywalizacji, prawdziwy powód do radości. Na Złotym Orfeuszu w Bułgarii, w Caracas, a także w Sopocie w 1971 r., cieszyłam się ze zdobytych nagród autentycznie. Byłam po prostu szczęśliwa.

— „Wesołość ptasich gniazd, od snu ciepły las, niezmienność wśród malw, gdy barwy kryją ściany pobielane" i... usta piosenkarki otwarte tak szeroko, że widać nawet ósemki. W tym przeboju i w belcantowym stylu zaakceptowała Panią cała Polska. Ciekawy jestem — jak dziś przyjęłaby Panią w tamtej wersji?

— Myślę, że nie zostałabym zaakceptowana. Choć w tym miejscu podniosą się głosy sprzeciwu moich ówczesnych zwolenników. Postęp muzyki jest tak wielki, że to co podobało się wtedy, dziś byłoby śmieszne.

— Dawni wielbiciele nie mogą wybaczyć Pani zmiany stylu. I jakże się oni cieszyli, gdy poniosła Pani porażkę na Olimpiadzie Piosenki w Atenach!

— Przegrałam zaledwie dwoma punktami. Na międzynarodowych festiwalach, nie tylko piosenkarskich, często bywa tak, że faworyci nie zwyciężają. Po prostu są niekiedy zbyt dobrze „obstawieni" przez przeciwników, wszystkie reflektory są skierowane w ich stronę. Po sukcesie Stana Borysa w Atenach i po mojej II nagrodzie na Światowym Festiwalu Piosenki w Tokio nie miałam na ateńskim stadionie olimpijskim łatwego życia.

— W kraju uznano to za karambol zawodowy i stwierdzono, że Sośnicka już się skończyła.

— No i całe szczęście. Często byłam krytykowana za to, że jestem, że pracuję, że śpiewam. Wielu chciałoby, abym nie śpiewała i jeszcze bardziej — nie istniała.

— Smak sukcesu został doprawiony goryczą na I Festiwalu Interwizji w Sopocie, gdzie jury przyznało Pani Grand Prix de Disque, a sopocka publiczność... gwizdała.

— A ja wtedy nie płakałam. Walczyłam. Rodzice i znajomi, którzy oglądali mnie w Tv, dziwili się po festiwalu. Dlaczego się nie cieszyłaś? Przecież to poważna nagroda. Myślę, że nie miałam zbyt wielu powodów do radości. Po raz pierwszy dotknęła mnie aż taka rozbieżność pomiędzy oceną jurorów i publiczności. Gwizdy doszły do mnie jeszcze przed odśpiewaniem piosenki, co mnie rozzłościło wewnętrznie. Poczułam się tak, jakbym musiała stanąć do pojedynku z widownią, przeciwstawić się atmosferze nieprzychylności.

— To było ryzyko wystąpić w Sopocie z nieosłuchanymi utworami?

— Tak. Ale taki warunek postawiły mi Polskie Nagrania. Publiczność nie przyzwyczaiła się do mnie w odmiennym od poprzedniego repertuarze. Piosenkarz stale ryzykuje. Często trzeba podjąć decyzję w ciągu 5 minut, a ma to swoje następstwo trwające znacznie dłużej. To wieczna huśtawka.

— Podobno teraz boi się Pani ryzykować. Każdą propozycję dokładnie analizuje i często — odmawia?

— Przecież jedno wynika z drugiego.

— Pamiętam incydent na Międzynarodowej Wiośnie Estradowej w Poznaniu. Mimo zapowiedzi Pani tam nie wystąpiła?

— Nie wystąpiłam, bo nie odpowiadała mi propozycja występu z jedną piosenką i to z play backu. Podczas gdy rok wcześniej, mój występ na Wiośnie Estradowej był przewidziany jako własny 15 minutowy show.

— Znam inną wersję. W koncercie galowym nie zgodziła się Pani wystąpić, bo gwiazdą był Krzysztof Krawczyk. Pania przewidziano jako piosenkarkę towarzyszącą. Afront był wielki, gdyż przecież to Pani jest gwiazdą!?

— Nie wiedziałam, że gwiazdą koncertu miał być Krzysztof. Poza tym, występ w jednym koncercie z Krawczykiem, nie może być ujmą nawet dla gwiazdy, tym bardziej, że występowały i Maryla, i Urszula. Po koncercie Maryla przyznała, że miałam rację odmawiając.

— I po co to Pani było? Dyrektor Estrady Poznańskiej wyrzucił Panią ze swego przedsiębiorstwa?

— Nie można pracować z człowiekiem myślącym „Estrada — to ja" Och! Jak mnie wtedy dyrektor Nowotny straszliwie ukarał! Zupełnie tak, jakby myślał, że Estrada Poznańska może mi zaoferować coś więcej, niż Estrada Katowicka, z którą rozpoczęłam wtedy współpracę. Zmiana miejsca bazy nie ma żadnego znaczenia. Poznań często przeszkadzał mi, mając inne, bliższe gwiazdy. Moją reklamę miał 5 lat w „uzgodnieniach"

— Pani to jest jednak gwiazda!

— Gwiazda? Przecież to określenie u nas nic nie znaczy. Pamiętam, że taki przydomek wymyślił dla mnie słynący z dowcipu Zenon Laskowik. Koledzy to przyjęli i tak już zostało.

— „Gwiazda", przed kilkoma laty, przy okazji pierwszego spotkania ze mną powiedziała: „Zgoda, udzielę panu wywiadu. Mam dla pana 1 godzinę i 15 minut". Byłem prawie załamany, gdyż liczyłem na 3 godziny i 35 minut!

— Tak było? Pan ma dobrą pamięć. Wtedy siedział pan u mnie 3 godziny i 50 minut, a teraz spóźnił się pan godzinę i rzeczywiście mamy mało czasu, bo muszę ugotować mężowi obiad.

— A dotrzeć do Pani nie jest łatwo. Najpierw trzeba przejść przez cenzurę Pani managera-męża. Czy Pani sama go finansuje?

— Niech pan nie kłamie, przecież mąż nie rozmawiał z panem na te tematy.

— A skąd Pani wie? Swoją drogą to idealny mariaż dla piosenkarki, gdy mąż wszystko załatwi i artystkę nic nie obchodzi poza sprawami artystycznymi?

— Nie wyszłam za mąż za managera, lecz za inżyniera. Tylko, że on widząc moją samotną szamotaninę w branży rozrywkowej, doszedł do wniosku, że to wszystko nie ma sensu i sam zabrał się za sprawy organizacyjne (impresaryjne). Gdy zaczynał, nie było fachowców o tej specjalizacji, i on też nic nie umiał. Z biegiem czasu potrafił się nauczyć i ciągnie ten wóz ze mną do dziś.

— A gdyby pana Jerzego Bajera nie było?

— Byłoby wtedy bardzo źle.

— Ale czasami, pewne decyzje zawodowe i nie tylko takie, podejmuje Pani bez męża?

— Nigdy. Wszystkie sprawy zawodowe i domowe uzgadniam z mężem.

— A ja myślałem, że Pani jest taka odważna, gdy przeczytałem jej liczne publiczne oświadczenia: „Nie boję się być kontrowersyjna..."?

— Nie boję się być kontrowersyjna, bo cóż bardziej frapującego, jak przekonywanie publiczności do nowych propozycji. Zdaję sobie sprawę, że trudna to droga, ale kroczenie od przeboju do przeboju, wciąż z tą samą receptą mnie nie interesuje. Jakie to fascynujące, umieć przegrywać i wygrywać. Nie tylko w zawodzie, w życiu też. Nie lubię się podlizywać publiczności, iść na łatwiznę, stereotyp, banał. Chcę walczyć o jej zainteresowanie.

— Czyli to wszystko, co nie podoba się u Pani jest budowane świadomie i konsekwentnie?

— Nie! Pan posądza mnie o czyste wyrachowanie. A tak nie jest, wszystko co sobie zakładam i później realizuję jest wynikiem mojej pracy. Czasami czuję, że nie potrafię wykonać utworu nad którym pracuję w taki sposób, jak bym chciała. I zastanawiam się — co jest tego przyczyną: zbyt mała ilość czasu, jaki mu poświęciłam, mój głos predysponowany do śpiewania innych piosenek? Próbuję, nagrywam, biorę za to pełną odpowiedzialność, a mogę wziąć i baty, bo i tak je zniosę, przeżyję. Śpiewam już wiele lat, które dały mi wiele do myślenia.

— Na przykład — co?

— Passa samych sukcesów i powodzenia nie zawsze sprzyja artyście. Wejście na szczyt łączy się z ogromną pracą, bo nie tak łatwo tam wejść, ale również sztuką jest utrzymać się i rozwijać, stale zaskakiwać czymś nowym.. Z poprawką, że nie za wszelką cenę, dlatego czasami wolę nie pokazywać się zbyt często w Tv, nie nagrywać w radio, aby nie opatrzyć się odbiorcom.

— Rozumiem Pani zawodową mądrość. Debiutowała Pani przecież wielokrotnie, a na odkrycie czekała 9 lat. To daje wiele do myślenia!?

— No tak: 9, 26 lub 6 lat, zależy jak liczyć. To długo i krótko. Gdybym była więcej warta w 1963 roku i miała chociaż maturę, to pewnie dzisiaj żałowałabym tych lat oczekiwania na wejście do czołówki krajowej. Tylko, że ja nie pojechałam po pierwszych sukcesach w trasę z estradową składanką, bo wiedziałam, że nic nie umiem. Uczyłam się muzyki i nawet po zdobyciu pierwszej nagrody na Festiwalu Piosenki Studenckiej w Krakowie, uważałam siebie za amatorkę. Na rynek krajowy weszłam jako ukształtowana piosenkarka. Chyba zaprocentowały lata nauki i pracy nad sobą.

— Zgadza się, słynie Pani z wielkiej pracowitości, kosztem czego wygrywa Pani to, co zakłada w zawodzie?

— Zdrowia. Byłam np. tak przemęczona, że musiałam iść do szpitala. Ponadto rezygnacja z życia prywatnego, z kontaktów z przyjaciółmi. Zostałam wyizolowana z kręgu znajomych, bo wciąż gdzieś wyjeżdżam lub przygotowuję się do podróży. Za swoją pozycję w polskiej piosence zapłaciłam pewną cenę. Teraz się zastanawiam — jak wysoką?

— Mogłaby przecież Pani nie pracować aż do wyczerpania, nie szukać, nie eksperymentować, tylko spokojnie dośpiewywać do repertuaru nowe przeboje. Przy stanie naszej rozrywki w pewnym okresie i tak nikt by tego nie zauważył?

— Boję się stabilizacji i zadowolenia z siebie. Wtedy człowiek zamyka się na pewnym poziomie, nie rozwija się, w zawodzie i w życiu.

— Ale od pewnego czasu postanowiła Pani oszczędzać swój głos, co ja w królestwie panującego w polskiej piosence bezgłosia, nazywam występkiem!?

— Nie chowam głosu. Niektóre proponowane mi utwory są napisane w takiej konwencji muzycznej, która nie pozwala na użycie większego głosu, gdyż byłoby to sprzeczne z charakterem piosenki. Wykonanie utworu w niewłaściwej manierze wokalnej mogłoby go zabić.

— Coraz częściej występuje Pani dla amerykańskiej Polonii, przed czym kiedyś bardzo się wzbraniała. Przecież tam płacą polskim artystom zielone grosze?

— Mnie dobrze płacą. Podobnie w NRD, gdzie będę śpiewała po powrocie z Nowego Jorku.

— I przyjmują Panią jak prawdziwą gwiazdę?

— Można tak powiedzieć.

— Byłem kiedyś zaniepokojony relacją z Pani zagranicznego koncertu w Czechosłowacji, którego widzowie podejrzewali, że gwiazda jest chyba pijana, bo nie mogła Pani trafić do mikrofonu?

— Cierpię na zawroty głowy. Akurat wystąpiły na estradzie i nie mogłam znaleźć mikrofonu.

— A poza tym?

— Mam uszkodzone kręgi szyjne.

— Jak się teraz Pani czuje?

— Jestem chora, zapalenie oskrzeli. Sale koncertowe w kraju, na których ostatnio występowałam z „Alex Bandem" były nie ogrzane i oto efekt. Sam pan widzi dlaczego częściej i chętniej śpiewam za granicą.

— Nie wiedziałem, że jest z Panią tak źle!?

— No, nie popadajmy w skrajny pesymizm, jeszcze pewnie parę lat pośpiewam.

— Czy widzi Pani jeszcze szanse na zrobienie kariery światowej?

— Nie widzę, gdybym widziała, to bym pewnie zrobiła — no i wtedy dopiero by miał pan trudności w dostaniu się do mnie na wywiad.

— A co jest?

— Myślę, że to już wszystko. Cóż można więcej zdziałać? Mogę jeszcze raz wyjechać do USA, do ZSRR, NRD, odbyć trasę po kraju, nagrać płytę, zrobić recital w Tv.. Innych perspektyw nie widzę, chociaż zrobiłabym nie wiadomo co.

— Sądzi Pani, że nie ma już u nas miejsca dla wielkich gwiazd?

— Oj, myli się pan, oj, myli.

— Jaką Zdzisławę Sośnicką będziemy więc oglądali w 1983 roku?

— Mimo wszystko, bardziej zrelaksowaną, cieplejszą, w każdym bądź razie nie będę już narzekać. Chociaż...

— ?

— Wszystko jeszcze może się zdarzyć.

Foto: Rafał Jesionowicz

Rozmawiał: BOHDAN GADOMSKI

Wspomnienie o Elsie i Louisie

Od dziesięciu lat mieliśmy zwyczaj spotykać się z Louisem Aragonem i Elsą Triolet na wieczerzy wigilijnej w naszym mieszkaniu na avenue Kleber. Spotykaliśmy się zresztą nie tylko na Gwiazdkę, ale także w Nowy Rok, albo w oba te święta, a nawet z okazji rosyjskich świąt Bożego Narodzenia, które obchodziliśmy z dawien dawna, gdyż moja żona, córka pierwszych emigrantów, jest prawosławna.

Elsa przychodziła zwykle pierwsza, niosąc paczkę przysłaną z Moskwy przez jej siostrę Lily, z kawiorem i „tinuszkami" — cukierkami, które w Rosji jada się w czasie świąt. Czasami — tak było w styczniu 1970 roku, kiedy spotkaliśmy się po raz ostatni — szedłem z nią do Fauchona i przed restauracją Lucas Carton czekaliśmy, gawędząc wesoło, na jej szofera, który z powodu korków ulicznych nie mógł dojechać na czas. Potem Elsa zamykała się w naszej kuchni i zabierała się do przyrządzania kulebiaku i blinów, do których dodawała — to była jej tajemnica zawodowa — pianę z białek, aby były lżejsze.

Po ukończeniu tych przygotowań kulinarnych Elsa i moja żona Lisa zabierały się do przystrajania choinki, dekorując ją na modę rosyjską różnymi zabawkami, diabełkami, krasnoludkami z aksamitu, itp. Obie panie — jedna mogła być matką drugiej — były kiedyś dekoratorkami i nawet projektowały biżuterię. O dziesiątej wieczorem zjawiał się Louis.

Gdy zgromadziliśmy się na tę ostatnią rosyjską wieczerzę wigilijną — było to w pierwszej dekadzie stycznia 1970 roku (Kościół prawosławny obchodzi Boże Narodzenie według starego stylu — przyp. red.) — pod drzewkiem leżało mnóstwo podarków i książek. „Aragoszeńka" — jak nazywaliśmy Louisa — podarował mi kalendarz od Hermesa, on zaś — to wciąż duże dziecko — uprosił sobie u świętego Mikołaja czterobarwny ołówek, aby móc lepiej poprawiać swe niezliczone rękopisy.

Zanim zasiedliśmy do stołu, Louis miał zwyczaj szperać w mojej bibliotece i poprawiać ręcznie błędy drukarskie, które wyłapywał w moich książkach, zwłaszcza w „Blanche ou l'oubli". Potem stawał przy oknie wychodzącym na avenue Kleber i z odrobiną melancholii w oczach kontemplował księgarnię Sans Pareil, wydawnictwo surrealistów, które, jak mówił z trudem kryjąc wzruszenie, przesunęło się o 100 metrów, aby być naprzeciwko „naszego domu pięknych oczu". Mówiąc to miał zwłaszcza na myśli naszą małą syjamską kotkę Zezette, którą szczególnie lubił.

Podczas tej ostatniej wigilii rozmawialiśmy wiele o Edmonde Charles-Roux, którą Louis bardzo lubił i o Guy Beart, z którym jedliśmy kolację przed kilkoma dniami. Rozmowa toczyła się po rosyjsku i oboje z Aragonem narzekaliśmy, że jesteśmy „zbytnio skolonizowani". Elsa śmiała się serdecznie i w pewnej chwili włączyła telewizor, abyśmy mogli obejrzeć Johnny Hallidaya i Juliena Clerca, którzy bardzo się jej podobali. Ta kobieta, którą niesłusznie nazywano szorstką, była w życiu codziennym bardzo łagodna, nawet czuła, pragnęła, aby ją traktowano jak „babuszkę" — babcię.

O północy zatelefonowaliśmy do Marca i Vavy Chagallów, „jeszcze jednej pary wyjątkowych kochanków", jak mówił Louis, który przygotowywał wówczas książkę o Matisse. Potem Aragonowie zadzwonili po taksówkę i pojechali do domu.

Po ich odjeździe rozpakowałem paczkę od Elsy. Była to książka „Le rossignol se tait a l'aube" („Słowik milknie o świcie") która miała się pojawić w sprzedaży w kilka dni później. Czy było to przeczucie? Elsa wkrótce potem umarła. W wigilię Bożego Narodzenia 1982 roku umarł Louis. Straciliśmy Louisa i Elsę. Dom jest bardzo pusty.

JEAN MARABINI
(„Le Monde")

Kolumbowie Syberii

Dokończenie ze strony 1

wznosi się je na platformach wspartych żelbetonowymi filarami. Aby wbić wsporniki, ziemię rozgrzewa się parą wodną. Po tym jednak trzeba czekać kilka miesięcy aż ziemia znów zamarznie. Grubość murów w tych wieżowcach ma co najmniej 90 cm, a w okna wstawia się... potrójne szyby. Rury doprowadzające wodę, gaz i odprowadzające ścieki, zakopuje się w betonowych skrzyniach.

Ale „komunalne problemy" określa się błahostką wobec tych, które pojawiają się na wielkich budowach. Przy 40-stopniowym, a niekiedy 50-stopniowym mrozie kruszy się sprzęt, jeśli nieodpowiednio dobrane są stopy, pękają słabe opony (silników nie gasi się dzień i noc), a mróz zatyka budowniczym oddech. W lecie znów, gdy następują roztopy, wszystko tonie w błocie. Potrzebne są więc, i powstają, zupełnie inne niż powszechnie się stosuje, technologie budowy maszyn i sprzętu, odmienne projektuje się systemy wznoszenia budowli, a także w innej, już olbrzymiej skali, planowane są zasady eksploatacji bogactw Syberii. Oto na przykład w zagłębiu kańsko-aczyńskim gigantyczne dźwigi rozbierają ściany węglowe i urobek ładują na 140-tonowe „Biełazy", oto w obwodzie tiumeńskim „błotochody" same układają i spawają rurociągi gazowe.

W tym wszystkim pomaga nauka. Tylko Syberyjski Oddział Akademii Nauk ZSRR zatrudnia 40 tysięcy najwyżej wyspecjalizowanych kadr, które w Nowosybirsku, Tomsku, Irkucku, Omsku, Ułan-Ude i w innych ośrodkach koncentrują się na tych dziedzinach, które posiadają największe znaczenie dla wykorzystania zasobów Syberii. Rodzą się tutaj również wizje na przyszłe dziesięciolecia. Jednym z największych projektów jest skierowanie wód rzeki Ob do Irtyszu, który zostałby połączony kanałem długości 3 tys. km z Syr-Darią i Amu-Darią, wpadającymi do Jeziora Aralskiego. Wówczas to południowy Ural i Kazachstan — spichlerze zbożowe i Uzbekistan — główny producent bawełny, nie zaznałyby więcej suszy.

Tymczasem przez Syberię ciągnie się drugą, obok kolei transsyberyjskiej, magistralę kolejową, BAM. Ta Bajkalsko-Amurska Magistrala zaczyna się w Ust-Kut, tam gdzie linia bracka dochodzi do Leny, biegnie na północ od Bajkału, a dalej skrajem gór Stanowych i następnie przecinając Góry Burejskie, dochodzi do Amuru w pobliżu Komsomolska. W sumie BAM liczy 3.140 km długości i przecina 3.200 przeszkód wodnych; na każdej nawet małej rzeczce powstają wielkie konstrukcje mostowe, gdyż w czasie roztopów zamienia się ona w rozszalały żywioł wodny.

Gigantyczna magistrala, budowana kolosalnym kosztem, otwiera perspektywy rozwojowe wielkim kompleksom terytorialno-produkcyjnym TPK (territorialno proizwodstwiennyj komplieks) — stwarza możliwości eksploatacji bogactw, rozwoju — w oparciu o nie — ośrodków przemysłowych, pozwala na wykorzystanie bogactw lasów, na rolnicze zagospodarowanie ziem i na rozbudowę osadnictwa.

* * *

SYBERIA ZACHODNIA jest obecnie najbardziej dynamicznie rozwijającym się obszarem ZSRR. (Obejmuje ona terytorium na wschód od Uralu po dział wodny Obu i Jeniseju oraz od brzegów Morza Arktycznego po granice Kazachstanu i Mongolii).

Jak wielka jest Syberia? Okazuje się, że wcale niełatwo odpowiedzieć na to pytanie. Poglądy co do jej obszaru i zasięgu są sprzeczne.

Dawniej, a niekiedy jeszcze i dziś, nazwą tą obejmuje się ogromny obszar kontynentalny od Uralu do Brzegów Oceanu Spokojnego. Biorąc pod uwagę, że Syberia Zachodnia obejmuje 2,4 mln km kw. Syberia Wschodnia — 7,3 mln km kw, a Daleki Wschód — 3,1 mln km kw., łącznie obszar ten liczyłby 12,8 mln km kw., co stanowi 57 proc. powierzchni ZSRR. W takim ujęciu Syberia byłaby 1,6 razy większa od całej Europy, tj. tej części kontynentu euroazjatyckiego, która ciągnie się od Uralu do Oceanu Atlantyckiego.

Syberia nie ma swej stolicy. Pretendują do roli miasta stołecznego Nowosybirsk — półtoramilionowy ośrodek przemysłu, nauki, oświaty i kultury, Irkuck — który rzeczywiście spełnia ogromną rolę w rozwoju Syberii oraz Jakuck, który jest najbardziej typowym ośrodkiem syberyjskim.

Natura, choć bogato wyposażyła ten region w surowce, stworzyła tu wyjątkowo trudne warunki działalności gospodarczej. Na wielkim Niżu Zachodniosyberyjskim (obejmuje on 9/10 powierzchni, resztę natomiast stanowią Góry Ałtaj) ogromne połacie ziemi są zabagnione. Niski spadek terenu utrudnia bowiem spływ rzekom. Zima z mrozem sięgającym minus 40 stopni trwa 6—7 miesięcy, w lecie zaś temperatura dochodzi do plus 30 stopni. Na północnych krańcach Syberii Zachodniej występuje tundra, bardziej na południe rozciąga się szeroki pas tajgi, zaś na samym południu jest step.

TPK Uralsko-Kuzniecki był pierwszym kompleksem rozwijanym przez władzę radziecką w syberyjskiej części ZSRR. Myśl i koncepcje szerokiej rozbudowy przemysłu na tym obszarze przedstawił jeszcze W. I. Lenin. Koncepcja Lenina polegała na wykorzystaniu faktu, iż z ogromnymi pokładami węgla sąsiadują tam złoża rud metali. Zagłębie Kuznieckie pod względem powierzchni mniej więcej równa się Zagłębiu Donieckiemu, lecz zasoby jego są kilkakrotnie większe, przy czym przeważnie występuje tam węgiel koksujący.

Już w pierwszej „pięciolatce" (1929—1932) powstały w tym kompleksie dwa gigantyczne kombinaty metalurgiczne: kuźniecki — na Syberii i magnitogorski — na Uralu. W ostatnich latach, po wybudowaniu Zachodniosyberyjskiego Kombinatu Metalurgicznego oraz po rozbudowie kilku stalowni w miastach Kuzbasu, Syberia Zachodnia stała się trzecią bazą metalurgiczną ZSRR.

TPK Zachodniosyberyjski to bez przesady obszar fenomenalnych rezultatów człowieka w wydzieraniu ziemi bogactw skrytych w lodowym sejfie. Tymi bogactwami są tu głównie ropa i gaz ziemny, ale także rudy żelaza i metali kolorowych.

Od czasu, kiedy ropa trysnęła z odwiertu koło osady Szaim (kwiecień 1960 r.) rozpoczęła się tu na lodowej skorupie w zimie, a w lecie na błotach i bagnach, naftowa epopeja, jakiej nie znał świat. Jeszcze nigdy bowiem historia nie notowała tak szybkiego tempa zagospodarowywania złóż roponośnych. Zagospodarowywanie pokładów w Baszkirii trwało 20 lat, tatarskich — 18, a tutaj w zaledwie cztery lata rozpoczęło się normalne i na wielką skalę wydobycie: w 1964 r. złoże to dostarczyło już 38 milionów ton ropy. Świat był kiedyś zdumiony, gdy Amerykanie w ciężkich warunkach w ciągu 3 lat położyli rurociąg transalaskański długości 1300 km i średnicy 1220 mm. Tutaj, w Syberii Zachodniej, o czym jednak mniej się pisze, co roku układany jest rurociąg o jeszcze większej długości i o średnicy 1420 mm. Jest to możliwe dzięki ogromnej koncentracji sprzętu, ale przede wszystkim dzięki wielkiemu wysiłkowi ludzi.

Strefę tundry charakteryzują surowe i długotrwałe zimy oraz krótkie i chłodne lata. W związku z bliskim sąsiedztwem frontu arktycznego, często wieją tu silne wiatry. W bardziej północnych obszarach tundry rosną mchy, porosty i różne krzewinki, w części zaś południowej spotyka się karłowate wierzby i brzozy.

Strefa tajgi odznacza się surową zimą oraz stosunkowo ciepłym i wilgotnym latem. Tajgę tworzą zwarte lasy iglaste, wśród których dominują świerki i sosna, a na północnym wschodzie, także jodła i modrzew syberyjski z domieszką brzozy i olszy. Duże powierzchnie zajmują tu błota i torfowiska.

Obecnie wielki środkowosyberyjski okręg wydobycia ropy ciągnący się od Szaim do Megion oraz położony w północnej części obwodu tiumeńskiego okręg wydobycia gazu (uważany za największy w świecie) stanowią podstawową bazę paliwową ZSRR. W oparciu o tę bazę przystąpiono tu do rozbudowy petrochemii. Obok gigantycznych kombinatów w Omsku i Angarsku, w których przerabia się ropę z Zachodniej Syberii, powstały wielkie zakłady petrochemiczne w Tobolsku, gdzie m. in. produkuje się kauczuk syntetyczny oraz kombinaty w Tomsku i Aczyńsku. System rurociągów łączy również złoża syberyjskie z Kazachstanem i z innymi republikami Azji Środkowej. Na Daleki Wschód dostarcza się ropę koleją. Największy jej strumień płynie jednak w kierunku zachodnim, do republik europejskich.

SYBERIA WSCHODNIA to prawie trzecia część Związku Radzieckiego. Mimo, iż zasoby paliw i energii wodnej, rud metali i drewna są tu większe niż w Syberii Zachodniej, to jednak rozwój górnictwa i przemysłu, a w związku z tym i zaludnienie, są tu daleko mniejsze. Składa się na to wiele przyczyn.

Wschodnia część Syberii to „lodówka świata" — występują tu największe w świecie mrozy, pomijając Antarktydę; dochodzą one do minus 70 stopni. Z ogólną surowością klimatu związane jest występowanie wiecznej zmarzliny prawie na całym obszarze Syberii Wschodniej.

Tradycyjnie ludność koncentruje się w południowej części tego regionu w pobliżu kolei transsyberyjskiej, gdzie istnieją warunki do rozwoju rolnictwa. Gęstość zaludnienia w latach siedemdziesiątych dochodziła tam do 12—18 mieszkańców na kilometr kwadratowy, podczas gdy w strefie tajgi i tundry zmniejsza się tak, że jeden mieszkaniec przypada na kilka lub kilkanaście kilometrów kwadratowych. Wielkie powierzchnie w niektórych rejonach są całkowicie bezludne. Dopiero w ostatnich latach wielkie inwestycje przemysłowe zaczynają zmieniać oblicze niektórych fragmentów Syberii Wschodniej.

Zwłaszcza długofalowym programem rozwoju objęty jest region angarsko-jenisejski, który posiada prawie połowę wszystkich zasobów węgla w ZSRR, prawie trzecią część zasobów drewna, czwartą część wodnych zasobów energetycznych oraz wiele innych cennych bogactw. Program zagospodarowania obejmuje ogromne połacie ziemi rozciągające się od Morza Arktycznego do południowych krańców Kraju Krasnojarskiego: terytorium to ma 1000 km szerokości i 2 tys. km długości. Program zakłada rozwój przemysłu wokół głównych źródeł taniej energii oraz pokładów żelaza i metali kolorowych. Plany wykorzystania energii wodnej Angary i Jeniseju powstawały już w latach trzydziestych i czterdziestych, ale dopiero w latach pięćdziesiątych zaczęto realizować te wizje.

TPK Irkucko-Czeremchowski był pierwszym obszarem regionu angarsko-jenisejskiego, na którym rozpoczęto wielkie inwestycje. Dała im początek elektrownia wodna i zakłady przemysłowe Irkucka, kombinat petrochemiczny w Angarsku i huta aluminium w Szelechowie.

TPK Bracko-Ust'Ilimski położony w środkowym biegu Angary obejmuje dwie wielkie elektrownie wodne, kombinaty górnicze i kompleks przedsiębiorstw przemysłu drzewnego.

Obydwa TPK rozwinęły się w tajdze, którą jeszcze niedawno znali tylko miejscowi chłopi i myśliwi polujący na zwierzęta futerkowe.

Poza regionem angarsko-jenisejskim, drugim równie wielkim regionem ekonomicznym staje się **Jakucja**. Najszybszy rozwój przechodzi południowa część Jakucji, gdzie znajduje się nierungrijski basen węgla koksującego i gdzie w pobliżu zalegają wielkie pokłady rud żelaza. Po Donbasie i Kuzbasie, które stanowią centra metalurgiczne dla zachodniej części ZSRR, w Jakucji powstanie centrum hutnictwa dla Syberii Wschodniej i Dalekiego Wschodu. Odkrywkowe kopalnie węgla budowane m. in. dzięki kredytom japońskim dostarczają względnie będą dostarczać budowanym tu hutom przetapiającym rudy żelaza i wielu metali kolorowych. Jakucja stała się też jednym z największych w świecie producentów diamentów. Dostarcza także znacznych ilości złota.

Na przyspieszenie tempa zagospodarowania Jakucji wpłynie planowana budowa odgałęzienia kolejowego od BAM — tzw. „mały BAM".

* * *

Przez wieki zaludnienie Syberii odbywało się w szczególnych warunkach. Dobrowolne osadnictwo miało związek głównie z poszukiwaniem złota oraz budową kolei transsyberyjskiej. Daleki Wschód zasiedlany był dopiero na przełomie ubiegłego i obecnego wieku, gdy otwarte stałe linie morskie łączące Odessę z Władywostokiem.

Bezdroża Syberii i skąpa baza w rejonach zagospodarowywanych to główne przeszkody we współczesnym rozwoju osadnictwa na Syberii. „Problem uprzemysławiania nowych obszarów stanowi zaklęty krąg — brakuje kadr, ponieważ nie ma mieszkań, brakuje mieszkań, bo nie ma komu ich budować" — pisała radziecka „Prawda". Przy tym gazeta wskazuje na złą organizację tej bazy.

Po pierwszej fali osadnictwa współczesnego — w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych — w ostatnim dziesięcioleciu, mimo iż stwarza się osadnikom bardzo korzystne warunki płacowe, zainteresowanie pracą na Syberii maleje. Jeśli stan ten nadal będzie się utrzymywał, rozwój energochłonnych gałęzi przemysłu petrochemicznego i elektrometalurgicznego będzie musiał dokonywać się w europejskiej części ZSRR, co spowoduje zwiększenie i tak już wielkich kosztów transportu zasobów energetycznych ze wschodu.

Aby temu zaradzić obecnie w ośrodkach szczególnie ważnych dla rozwoju kompleksów terytorialno-produkcyjnych buduje się, obok nowoczesnych bloków, placówki kulturalne, oświatowe, rozrywkowe, a także ośrodki adaptacyjne do klimatu wyposażone w baseny kąpielowe, sauny, gabinety odnowy biologicznej itp. Z drugiej strony — co w przyszłości będzie mieć szczególne znaczenie — konstruowane są urządzenia i maszyny o dużej wydajności przy bardzo ograniczonej obsłudze.

Od wieków żeglarzom marzy się przebycie północnej drogi morskiej w okresie zimy: od Murmańska do Wierchojańska. Ogromnego znaczenia ta droga nabiera obecnie, gdy dokonuje się rozwój ośrodków przemysłowych w północnej części Syberii.

Niestety, północna droga morska dostępna jest dla statków towarowych tylko od lipca do października. Przed paru jednak laty radziecka flota handlowa dokonała przełomu. Dzięki lodołamaczom kierowanym przy pomocy satelitów udało się przebyć zamarznięte obszary morskie od Murmańska na Półwysep Jamał położony za kręgiem polarnym. Ta trasa długości 2400 km stanowi tylko trzecią część dystansu Murmańsk — Cieśnina Beringa i około piątej części drogi do Władywostoku.

Żegluga z Murmańska do Półwyspu Jamał u ujścia Jeniseju stanowi pierwszy etap ogromnego wysiłku, którego celem ma być otwarcie dalszych odcinków północnej drogi i zapewnienie całorocznej żeglugi do Oceanu Spokojnego.

Syberia pod każdym względem — gospodarczym, politycznym czy militarnym, stanowi klucz do przyszłości ZSRR. Zagadnienie rozwoju tego obszaru jest więc celem strategicznym Związku Radzieckiego. Wszystkie więc przeszkody, jakie występują w zagospodarowywaniu tego obszaru, będą musiały być pokonywane. Dziś faktem najbardziej się liczącym jest to, że w bardzo krótkim czasie — w dwa dziesięciolecia — ZSRR mógł dzięki Syberii podwoić swą bazę paliwowo-energetyczną, zwiększyć niemal o połowę dostawy stali i metali kolorowych oraz poważnie zwiększyć potencjał produkcyjny w innych dziedzinach posiadających ogromne znaczenie dla gospodarki ZSRR.

HENRYK SROCZYŃSKI

W kręgu fantastyki

STAR-CLUB

LEONID PANASENKO

Dialog

W bieżącym tygodniu mija trzysta osiemdziesiąt trzy lata od śmierci Giordano Bruno. Leonid Panasenko (swego czasu gościł już na naszych łamach) trzy lata temu napisał opowiadanie poświęcone pamięci tego wielkiego uczonego. Publikujemy je poniżej.

A oto garść najbardziej podstawowych informacji o „Heretyku z Nola":

BRUNO Giordano (Filippo). Urodził się w 1548 roku w Nola koło Neapolu. Filozof, astronom, zwolennik teorii kopernikańskiej. Jego fundamentalne dzieło to: „O nieskończoności, kosmosie i światach". W 1592 roku w Wenecji został wydany w ręce inkwizycji. W 8 lat później, 17 lutego 1600 r. w Rzymie został spalony na stosie.

Spieszył się. Miał jeszcze szereg zadań do wypełnienia w tym zakątku galaktyki. Zadań trudnych i odpowiedzialnych, dlatego, chyba zupełnie niepotrzebnie, poprosił Statek, żeby mu nie przeszkadzać. Tym bardziej, że wśród zbadanych światów tylko na jednej z planet — Ziemi — istniało rozumne życie, a i to jeszcze zupełnie młode. Zwiadowca „Wielkiego Pierścienia", mający duże doświadczenie, mógł wierzyć albo nie wierzyć prognozom swoich kolegów, ale jednego był pewien: Ludzkości przyjdzie jeszcze długo dorastać, zanim Pierścień będzie mógł zacząć z nimi dialog.

A jednak Statek przerwał jego rozmyślania i to w okolicach tej właśnie błękitnej planety.

— O co chodzi? — spytał Zwiadowca. — Co jeszcze zostało pod gwiazdami niezrozumiałego albo zbyt trudnego dla ciebie, mój przyjacielu?

— Otrzymałem interesujący komunikat od naszego automatycznego obserwatora — odparł Statek. — Donosi on, że jeden z autochtonów wzniósł swój umysł do poziomu rozumienia ukrytych tajemnic wszechświata. Za to przewodząca w kraju grupa religijnych fanatyków zamierza unicestwić filozofa, zabić go. Moim zdaniem należy interweniować.

„Interwencja... — pomyślał ze strachem Zwiadowca. — Bardzo rzadko uciekamy się do tego. Tylko w sytuacjach, gdy „poprawkę" powoduje obiektywna, historyczna konieczność. Czy tu zachodzi taki właśnie przypadek, czy to właśnie ten? A z drugiej strony... Ocalić iskierkę rozumu... Bardzo nęcąca perspektywa. Wichry historii mogą rozdmuchać ją w wielki płomień! I wtedy ona ogrzeje tych nieszczęśliwych..."

— Bądź tak dobry — zwrócił się do Statku — i postaraj się wylądować jak najbliżej miejsca akcji. Wszak już raz prowadziłeś ekspedycję ratunkową. I wyląduj tak, żeby nikt nas nie zobaczył.

— Przyjąłem.

— I jeszcze jedno, drogi przyjacielu. Przygotuj mi algorytm ich języka i charakterystykę epoki. To chyba wszystko.

Zwiadowca wstał, podszedł do panoramicznego ekranu. Groszek planety zbliżał się, niebieszczał.

— Starzeję się, skleroza — powiedział ze smutkiem. — Przygotuj mi jeszcze i ich odzież. Na wszelki wypadek.

☆ ◆ ☆

...Za burtą ciemna woda, rytmiczny plusk wioseł. Obok, tuż pod ręką pełga w latarni malutki język płomienia. Jego przyćmione odblaski kładą się to na przygarbione plecy wioślarza, to padają na bezład drobnych fal i życie światła wtedy na krótko przedłuża się — w chłodnej wodzie rozbłyskują złote iskierki.

Skądś, z labiryntu zaułków przyleciał poryw wilgotnego wiatru, przenikającego dosłownie do kości i Zwiadowca szczelniej owinął się płaszczem. Nie dziwił się smutnej ciszy zalegającej po obu stronach kanału. Oto już od kilku dni w Wenecji panowała deszczowa i kapryśna wiosna, a miasto z tego powodu kładło się wcześniej spać.

Niespodziewanie łódka ostro skręciła i po chwili zatrzymała się przy brzegu.

— To tu, signor — powiedział gondolier i wyczekująco popatrzył na swojego pasażera. Ten rzucił mu kilka monet i szybko, jak zjawa roztopił się w gęstniejącym mroku.

Czotto jeszcze nie spał, kiedy do drzwi, władczo i niecierpliwie, ktoś zastukał. Otworzył i przez kilka chwil z zakłopotaniem stał przed nieznajomym, który przyszedł do niego z wilgotnej, niespokojnej nocy i przyglądał mu się. Twarz gościa, surowa, o wyrazistych rysach, podobała się handlarzowi książek, ale strach od tego nie minął. Przeciwnie — kłująca igiełka jakiegoś nie wyjaśnionego, mistycznego niepokoju drgnęła nagle pod sercem i Czotto cofnął się w głąb domu, bezwolnie zapraszając nieznajomego, by szedł za nim.

Spóźniony gość poszedł do pokoju i powściągliwie przywitał się, starannie wymawiając słowa. Potem uważnie zaglądając w oczy Giambattisto raczej polecił, niż poprosił:

— Potrzebne mi są wszystkie książki Heretyka z Nola!

Czotto zaparło dech. Aż się skulił, słysząc to niespodziewane żądanie, ale wzrok nieznajomego nieustępliwie nalegał na odpowiedź, a nawet nie na odpowiedź, lecz na niezwłoczne działanie i Giambattisto gorączkowo próbował znaleźć jakiś wykręt:

„Przecież już wszystko powiedziałem Świętej Inkwizycji. Tak, po raz pierwszy spotkaliśmy się we Frankfurcie, na jesiennym jarmarku... On nie mówił nic takiego, co rzucałoby cień na niego, jako na dobrego katolika... Może tych kilka kpiących wierszy? Ale nie, mógł je podsłuchać tylko diabeł! Inkwizycja wie swoje, a ja — swoje. Książki zniszczyłem, jak było nakazane. A swoją drogą, co to za cudowne książki! Po ich przeczytaniu chodziłem jak pijany. Okazuje się, że wszechświat nie ma granic, niezliczone są światy na niebie, a tam, pośród gwiazd, też żyją ludzie... A może to nowa próba? Skrytka?! Czyżby inkwizytorzy mimo wszystko coś zwęszyli?"

— Ich stronice już przeczytał płomień. Tak rozkazano postąpić ze wszystkimi pismami Heretyka z Nola — w końcu dosyć zdecydowanie odpowiedział Czotto, ale nieznajomy na te słowa tylko się uśmiechnął.

— Widzę, że boisz się w głębi swej duszy. Mógłbym ci wszystko wyjaśnić, ale muszę się spieszyć. Poszukaj, a znajdziesz to, co mnie interesuje. Postaraj się...

To były zwyczajne słowa, które mógłby powiedzieć każdy agent Świętej Inkwizycji, ale Czotto przyszło do głowy bezsensowne przypuszczenie: „On jest w czymś podobny do Chrystusa... Nie, co ja bredzę? Raczej przypomina diabła! Ten wzrok... nie zniosę tego..."

Długo i głośno stukał, ze zdenerwowania zapomniawszy, jak otwiera się schowek. W końcu pospiesznie, jakby paliły mu się ręce, położył na stole kilka tomików w ciemnych okładkach.

— To wszystko. Nic więcej nie mam... signor.

Właściciel składu książek nagle się uspokoił. Tak samo niespodziewanie, jak przestraszył się dziesięć minut temu. Przyszło mu na myśl, że kimkolwiek byłby ten nocny gość, bać się go nie trzeba. Giambattisto nie wiedział, skąd ta pewność, ale czuł, że może z każdym iść o zakład, iż nieznajomy nie ma nic wspólnego z aresztowaniem Heretyka. Tym bardziej obawiać nie musi się on — zwyczajny świadek, któremu nie udało się w czasie przesłuchania zadowolić surowych inkwizytorów. Co robić — zapominał... Nie może przecież pamiętać wszystkich słów filozofa...

Zwiadowca Pierścienia w podziękowaniu skinął głową i skierował się do drzwi. Nagle, przypomniawszy sobie jeden ze zwyczajów tego świata, zawrócił i położył coś na stole. Czotto nie widział i nie słyszał, jak i kiedy wyszedł dziwny gość. Oszołomiony i oślepiony niezwykłym blaskiem tępo wpatrywał się w sześć ogromnych brylantów, które rozpierały się wśród smutnych resztek jego nędznej kolacji.

— Każdy z nich jest wart, jest wart... — gorączkowo mamrotał księgarz, obmacując drogocenne kamienie. — Tu jest więcej pieniędzy, niż w kufrach Świętej Inkwizycji!...

Giambattisto padł na kolana i począł się żarliwie modlić za życie dziwaka z Nola i za jego „wyznawcę", którego przysłał do jego biednego sklepiku sam Bóg, a może Szatan — wszystko jedno.

Zwiadowca szedł wąskim zaułkiem. Obejrzał się na dom księgarza i z zadowoleniem pomyślał, że ten Czotto mimo wszystko wywiódł w pole inkwizytorów i że on dokładnie zna na pamięć książki filozofa. Po prostu sprytny handlarz i w dodatku skrajnie ostrożny.

Na końcu zaułka Zwiadowca pośliznął się. Jedna z książek upadła w błoto. Podniósł ją i ostrożnie wytarł połą płaszcza. Zza strzępiastych chmur wyjrzało akurat senne oko księżyca i Zwiadowca przeczytał tytuł dzieła. Na okładce wytłoczony był napis: „Dell' infinito, universo e mondi".*

☆ ◆ ☆

Według miejscowego kalendarza rozpoczął się dzień 17 lutego Roku Pańskiego 1600. Świtało już, kiedy procesja z Heretykiem wyszła z Zaułka Łuczników na Campo di Flori, Plac Kwiatów. Heretyk nie zwracał uwagi na ogromny tłum, który się tam zebrał, ani na złowieszcze żagwie w rękach odkarmionych mnichów. Stąpał twardo, starając się, cokolwiek by się działo, donieść umęczone ciało do miejsca kaźni. Nawet nie drgnął, a jedynie coś na kształt uśmiechu wykrzywiło mu twarz, kiedy zgodnie odezwały się dzwony.

Wilgotne drwa słabo się rozpalały. Z początku wydzielały tylko rudy dym, ale wiatr trochę rozdmuchał ogień i wtedy dwóch pomocników kata jeszcze dorzuciło chrustu.

...Zauważyli się nawzajem z daleka. Zdawałoby się, że już nic w świecie nie jest w stanie obudzić w Heretyku jakichkolwiek uczuć, a tym bardziej jego zainteresowania, jednak to, co zobaczył na placu, zaniepokoiło go. W głowie kręciło mu się od dymu, niecierpliwa dusza już chciała rozstać się z ciałem, a on z jakimś niepojętym uczuciem strachu chciwie wpatrywał się w nieznajomego, który szybko zbliżał się do miejsca kaźni.

„Cóż za odzież na nim? Dziwna jakaś — pomyślał Heretyk. — Ludzie ustępują mu z drogi, ale gdyby ich spytał: „dlaczego" — nie będą wiedzieli, co odpowiedzieć..."

Zwiadowca szybkim krokiem szedł przez tłum i widział tylko jedno — śmiertelnie zmęczone oczy hardego Nolańczyka. Gapie rozstępowali się przed nim, ale on nie zwracał na to uwagi; oczy Heretyka żyły wysoko nad tłumem i Zwiadowca był zmuszony patrzeć tylko w górę. Zatrzymał się i dostrzegłszy w tych oczach zdziwienie, zrobił ręką uspokajający gest.

„Postaraj się zrozumieć mnie, człowieku — w myślach zwrócił się do filozofa i Heretyk szarpnął się, jakby dotknął go język płomienia. — Twoje usta zamknięte są klamrami, ale przecież właśnie ty dopuszczałeś w swoich pracach możliwość bezpośrednich, psychicznych kontaktów, myślowej rozmowy. Posłuchaj mnie. Uspokój się i spróbuj wszystko zrozumieć".

„Kim jesteś?" — przeszyła mózg Zwiadowcy myślowa odpowiedź podobna raczej do krzyku.

„Przewidziałeś moje istnienie w swoich książkach, kiedy pisałeś o innych zaludnionych światach, o życiu pośród gwiazd. Jak cię znalazłem? Długo by trzeba objaśniać, a czasu mamy tak mało. Ogień wciąż rośnie. Posłuchaj mnie. Twój rozum, ty sam jesteś tej planecie niezbędny. Jesteś niezbędny tej epoce. A zatem uratuję ci życie..."

„Ja przewidziałem... Więc ty nie jesteś bogiem, którego istnienie w taki czy inny sposób przez całe życie odrzucałem? Dym oślepia oczy. Czy ja przypadkiem nie rozmawiam sam ze sobą, bezrozumny?"

Heretyk oddychał z trudem. Otworzył oczy i upewniwszy się, że nieznajomy nie zniknął jak halucynacja krzyknął całą swoją duszą:

— Żyć!

Słowo to swoją cudowną treścią wskrzesiło w pamięci męczarnie dzisiejszej nocy, ostatniej nocy w celi: „Żyć... żeby choć raz jeszcze zobaczyć pośród bezdennego nieba masyw Wezuwiusza. Tam pozostała kraina dzieciństwa. Jeszcze raz wypić z dzbana kilka łyków zimnego i cierpkiego „Asprini". Żeby nad głową kwitły świeczki kasztanów..."

Gorące tchnienie ognia dotknęło Heretyka i niespodziewany przejmujący ból odegnał świetlisty obraz. „Oczyszczenie ogniem? Albo po prostu mózg zużył się jak stary mechanizm?" — przemknęła kpiąca myśl i już spokojnie zainteresował się: „Jak tego dokonasz?"

„Wystarczy tylko niewielki wysiłek woli, by uśpić tłum. Cała reszta nie przedstawia większego problemu" — odparł Zwiadowca i zrobił krok w stronę płomienia.

Zatrzymało go spojrzenie filozofa: rozumne, mądre i jednocześnie smutne.

„Nie trzeba, cudzoziemcze. To będzie tylko nowy cud, nowa radość dla księży i zakonników. Zaraz zaczną głosić, że uratował mnie sam diabeł. Ocalenie zostanie uznane za nadprzyrodzone, a dla mnie jest to nie do przyjęcia".

Mówił coś jeszcze, ale zdumiony odmową, Zwiadowca już tylko podświadomie rejestrował myśli Ziemianina:

„...Ich i tak było wystarczająco dużo — cudów wymyślonych przez księży. Ja przeszedłem już swoją drogę i to jest jej logiczne zakończenie. Zawsze spodziewałem się, że moja działalność zakończy się na stosie. Pamiętasz, napisałem w jednej z książek..."

Płomienie wystrzeliły nagle wysoko i potężnie. Zwiadowca, zdawało się poczuł, jak ostre uderzenie cudzego bólu przeszyło jego ciało, zmąciło świadomość. Tłum zafalował, zaczął cisnąć się byle bliżej płomienia. Ktoś przeraźliwie wołał:

— Ognia, więcej ognia!...

„Cóż to się dzieje!? — gniewnie pomyślał Zwiadowca. — Co za straszny i nienormalny świat? Nie, ja zaraz zrobię tu porządek..."

Wytężył wolę, żeby jednym uderzeniem sparaliżować ograniczoną psychikę ludzi, pogrążyć ich w głębokim śnie. Z znowu w ostatnim momencie powstrzymała go myśl filozofa:

„Niech już tak będzie. Albowiem im jest potrzebna ofiara. Właśnie ofiara, a nie cud. I jeśli potem choćby jeden z tego opętanego tłumu zada sobie pytanie: „A za co właściwie spalili Heretyka z Nola?" — już to stanie się moim zwycięstwem. A ty — ty wybacz mi, cudzoziemcze..."

Poryw wiatru poderwał płomienie w górę, zerwał z głowy Heretyka błazeńską czapkę. Ogień, zdawało się, wzbił się do samego nieba.

☆ ◆ ☆

Z miasta Zwiadowca wyszedł pieszo. Szedł, a wiatr tej niezrozumiałej planety uspokajał go, głaskał po twarzy, szeptał:

„Tak, oni są na razie ubodzy i ciemni. Ale są młodzi duchem".

Odchodząc, Zwiadowca ani razu nie obejrzał się na Rzym.

W kabinie Statku długo rozmyślał, kartkował książki Ziemskiego filozofa. Potem, wreszcie, sformułował myśl dręczącą go od jakiegoś czasu i kilka razy powtórzył ją sam sobie, jakby wypróbowywał jej trwałość i moc: „Niestety, każdy świat rządzi się swoją logiką. I czym jest w danym przypadku nasz Galaktyczny racjonalizm? Czym on jest w porównaniu z samoofiarowaniem Heretyka, z jego mądrością?"

Zwiadowca wyjął z fałdów odzieży kryształ z zapisem kaźni Heretyka z Nola, ostrożnie położył go na pulpicie i warknął zwracając się do Statku:

— Schowaj. Niech to obejrzą sobie potem inni Zwiadowcy i kandydaci na ostatnich cyklach nauki.. Niech i oni się dowiedzą...

Zanim uruchomił silniki Statku, raz jeszcze spojrzał na wiosenne, gołe konary powykręcanych drzew stojących na skraju lasu, na kryształ z barwnym, przestrzennym zapisem i mimo woli wzdrygnął się. Zdawało mu się, że załamany promień światła wybuchnął w krysztale nieprzezwyciężonym ogniem.

*) „O nieskończoności, kosmosie i światach"

Rys. Andrzej Biedrzycki

Tłumaczenie:
DARIUSZ MILERSKI

WSPÓŁREDAGUJE WARSZAWSKI SFAN-CLUB,
ALEJE JEROZOLIMSKIE 2, GROTEKA, 00-375 WARSZAWA

W kręgu fantastyki

Jeden dzień w Morinie

ZBIGNIEW BAJERLEJN

Narrator — żyjący w jakimś półrealnym świecie — zostaje wysłany przez rodzinę do tajemniczego kraju: Moriny. Ma dowiedzieć się, czy są tam jeszcze smoki...

3

Spadam! W ślepej pogoni nie dostrzegłem wąskiej, zdradzieckiej szczeliny i teraz obsuwam się w dół. Jeszcze myśl gorączkowo stara się znaleźć wyjście z sytuacji, jeszcze ręce trzymają się ostrych krawędzi ścian, jeszcze stopy beznadziejnie szukają oparcia! Nic to — spadam, lecę, sekundy stają się minutami...

— Pomocy! Ratunku!

Głuchy odgłos uderzenia, tępy ból w nodze. Ostrzegawczy sygnał w mózgu. Jęk i wściekłość, nieprzytomne spojrzenie w górę. Tam mętne, ledwo widoczne światło! Dziesięć metrów wyżej ciasny otwór. Niepodobna sięgnąć ani wdrapać się. Ściany prawdopodobnie gładkie, bez załamań. Tak, chyba się nie mylę, choć w mroku niełatwo coś ustalić.

Rękoma obmacuję prawą nogę. Nie ma złamania. Rozmasowuję ciało. Ból ani ustępuje, ani wzmaga się. Dziękuję Stwórcy i za to.

Coraz ciemniej. Przestaję cokolwiek widzieć. Czy można w takich warunkach nie czuć strachu? Nie czuję. Jest co najwyżej rezygnacja, wszechobecna, wyłaniająca się z głębin świadomości. Utwierdza ją jeszcze wyczekiwanie. Trudno powiedzieć na co. Na świt, na cud, nie wiem...

Upływa pierwsza godzina, druga, potem dalsze. Tracę poczucie czasu. Chcę zasnąć: będzie mniej upiornie. Zimno w tej jamie. Zapinam kaftan jak mogę najszczelniej. Niech ciepło przestanie wreszcie odpływać.

Mrużę powieki, ziewam. Nieruchomieję, kiedy przychodzi sen. Jest jak jawa — ostry, barwny, wyrazisty. Nie uczestniczę w nim, analizuję tylko. Tych zdarzeń nie ma w moich wspomnieniach. Nie są mi znani ludzie w błyszczących uniformach, w kombinezonach utkanych ze srebrnych jakby nici. Nie potrafię dostrzec tu jakiegokolwiek porządku. Każdy załatwia swoje własne sprawy, każdy zdąża w sobie tylko wiadomym kierunku. Gdzieś z głębi dochodzi przytłumiona, uspokajająca melodia. Białe, prostopadłościenne bryły pną się w górę. Żółtawe słońce i bladoróżowe chmury na niebie.

Oglądam to wszystko z góry. Jakieś nieskoordynowane, samoistne poruszenie w tłumie. Ludzie rozbiegają się, pędzą we wszystkie strony. Niektórzy padają i zdeptani przez następujące po nich masy pozostają na miejscu. Słychać tupot tysięcy nóg. Oślepiające błyski jak żądła os ranią oczy. Piękny, kolorowy grzyb złożony ze światła, pyłu, odłamków skał i kamieni powiększa się, rośnie i przysłania widok. To przejmujące i niebezpieczne.

Unoszę powieki. Koniec majaków! Ale co to, rzeczywistość jest jeszcze gorsza. Gorsza, bo dotyka bezpośrednio mnie. Ziemia drży, trzęsie wszystkim dookoła. Strome ściany mego więzienia zamykają się powoli. Chcą skazanego zetrzeć na miazgę, unicestwić.

Głośny krzyk wydobywa się z gardła. Szaleję na tym skrawku wolnej przestrzeni, który jeszcze pozostał, walę pięściami w skałę. Nie skutkuje, bo skutkować nie może. W zaślepieniu nie czuję z początku uchwytu potężnej łapy ściągającej mnie w dół. Wkrótce ten uścisk wyzwala ból działający podobnie jak kubeł lodowatej wody wylanej na głowę.

Stoję na twardym podłożu. Oto jestem w ogromnej komnacie. Szarość rozjaśniona matowym światłem niewiadomego pochodzenia. Zapach nie taki jak na powierzchni. To nie jest krajobraz Moriny.

Powiew rozgrzanego powietrza z lewej strony. Czy oddech potężnego, nieznanego zwierza? Wyciągam ręce, idę.

— Nie zbliżaj się!

Ten głos powala mnie na ziemię. Jest okropny, ludzki. Czyżbym napotkał stworzenie, którego szukam?

— Czego chcesz? — brzmi już spokojniej, ciszej.

Przerażony rozglądam się wokoło. Jest, jest coś! Tam dalej, w głębi, dwa małe, błyszczące ogniki. Czerwienieją i pęcznieją jak ziarenka grochu. Po chwili już wiem — to czyjeś ślepia. Nie mogę znieść ich spojrzenia...

— Kto to?

— Jeden z niewielu świadków końca świata.

Jak to rozumieć? Może widzenie na dnie rozpadliny było jakimś przekazem, czymś, co miało mnie wprowadzić w Tajemnicę? Ktoś, z kim rozmawiam musiał mieć w tym ściśle określony cel. Jaki?

— Śledzę cię od samego początku, od momentu, gdy przeszedłeś góry... Czego chcesz?

— Wiedzieć!

— Czy nikt tam, w Dolinie, nie potrafił ci wyjaśnić tego, czego żądasz ode mnie?

Waham się. Same zagadki, nierozwiązywalne. To kolejna z nich.

— Widocznie nie — mówię po chwili.

— Tak, najstarsi nie mówią nic... Pewnie samo wspomnienie przeszłości jest dla nich koszmarem? — brzmi to nieprawdopodobnie smutnie.

— Odpowiedz w takim razie, co wiesz — ponawiam.

Zapada milczenie. Obaj chyba rozmyślamy. Ja nad tym, co powie, on zapewne jak zacząć. Nie potrafiłbym wskazać dlaczego, ale nie dowierzam mu.

— Opowiem ci wszystko. Tylko błagam, nie przerywaj — odzywa się wreszcie. — Widzisz, dawno, dawno temu istniał świat, w którym ludzie byli ani mniej, ani więcej szczęśliwi niż ty lub twoi ziomkowie. Tak samo chcieli żyć, chłonąć z przyrody wszystko to, co zawsze najlepsze, co umożliwia przetrwanie. Pragnęli spokoju, lecz nie zawsze mogli go mieć. Nie zawsze, bo wielu spośród nich miało dziwne cele życiowe, pożądało władzy. I dlatego ten świat nie mógł się ostać, choć jego potęga była ogromna. Jego mieszkańcy zdobyli niebo, opanowali ziemię i wodę. Nawet nie wiesz, jak podobny jesteś do nich w swoim dążeniu do poznania...

Było kilku... Wśród nich jeden, mój twórca. Znasz go na pewno, w Dolinie nazywany jest Nieśmiertelnym! Wielki eksperymentator i niespokojna dusza. Zawsze chciał dokonać czegoś, czego inni nie byli w stanie sprawić. On stworzył mnie i przeznaczył do badań innych globów. Wykonywałem zadania dobrze, był zadowolony.

Ostatniego dnia powiedział: „Dzisiaj wieczorem będzie koniec wszystkiego! Nie mam z tym nic wspólnego, ale wiem coś niecoś. Skryj się gdzieś, nie dosięgnie cię siła bomb jądrowych. Wprawdzie możesz przetrwać każdy taki wybuch, ale dla pewności... Chcę wiedzieć, czy moje dzieło przetrwa mnie samego!"

Nie mogłem uwierzyć, toteż trudno mu było zmusić mnie do ucieczki. Jeśli umknąłem, to raczej przed jego natarczywością niż przed groźbą katastrofy. Osiadłem tu, gdzie jesteśmy obaj. W pobliżu gór wydawało mi się najbezpieczniej. Jeszcze pamiętam jego końcowe słowa: „Ja i inni postaramy się odbudować ten świat, ba, zrobimy go zupełnie różnym! Za tysiąc lat może znów osiągniemy obecny poziom. Może nawet napiszę od nowa Biblię?"

Potem stało się. Świat ludzi przestał istnieć. Ułamek tej tragedii już znasz. Dotknęła i mnie, niestety. Coś się we mnie rozkojarzyło, nie czuję się najlepiej. Bo dokładnie dziewięćset lat temu tam, na powierzchni, ukazał się grzyb podobny temu, który widziałeś. Był to wybuch bomby jądrowej, a jednocześnie Akt Stworzenia...

Opowiadający milknie. Minę muszę mieć nie najweselszą, bo śmieje się gorzko.

— Wiem, dla ciebie to zaskoczenie, ale tak było naprawdę. Musisz mi zaufać. To, co oglądasz na co dzień, jest czymś wtórnym, powtórzeniem przeszłości. No, może nie całkiem.

— Nie o to chodzi — przerywam mu, — mówiłeś coś o Akcie Stworzenia?!

— Ach, o tym myślisz?! Jakby ci to powiedzieć... Morina żyje!

— Żyje?! To przecież Kraina Śmierci! — otwieram usta ze zdziwienia.

— Tutaj życie zaklęte jest w kamień! Nie ma rodzajów ani gatunków, jest tylko istnienie. Tak oczywiste jak to, że każdego ranka jadasz śniadanie. Niestety, obawiam się o Morinę. Każdy haust powietrza, każdy odłamek minerału wynoszony przez was z tego kraju, jest przyczyną czyjejś śmierci. Wieść o tym jest podstawową wiedzą, którą powinieneś zanieść do domu.

Patrzę w te jego czerwone, gasnące teraz oczy. Czy mówi prawdę? Wyczuwa moje niedowierzanie.

— Ja nie kłamię! — mówi oburzony. — To wy, dwunożni i wyprostowani, nie dość, że zniszczyliście samych siebie, to jeszcze zabijacie innych.

— Przepraszam, nie wiedziałem, że cię urażę — jąkam.

— Masz jeszcze jakiś problem — mówi z dziwną stanowczością.

— Dlaczego?

— Bo chcę być sam! Pytaj i odchodź!

Zamyślam się. Czy czegoś jeszcze nie wiem albo nie rozumiem?

— Chcę wiedzieć, kim jesteś — stwierdzam — Domyślam się, ale pragnę usłyszeć to od ciebie.

Odpowiedź jest krótka.

— Nazywam się Smok, lub też Samowystarczalny Modelowy Organizm Kinetyczny! Czy to wszystko?

Potwierdzam kiwnięciem głowy. Przez kilkanaście sekund nic się nie dzieje, potem niesamowicie silny prąd powietrza porywa mnie ze sobą. Słyszę jeszcze końcowe „Żegnam"! i ulatuję gdzieś w nieskończoność. Nie starcza mi nawet czasu na sakramentalne „Do widzenia". Nie wiem kiedy, w jakim momencie widzę znów blade słońce Moriny. Wkrótce opadam miękko na ziemię.

Jestem sam. Mogę teraz rozmyślać, rozmyślać, rozmyślać. I wracać spokojnie do Doliny.

Ocean niepokojący

Umiejętności warsztatowe autora, stopień opanowania pisarskiego rzemiosła jest najważniejszym z czynników warunkujących poziom utworu. Takie stwierdzenie zakrawa na truizm, ale wydaje się, że wielu autorów naszej „nowofalowej" SF po prostu tego nie wie. Efektem ich bezpodstawnej wiary, że do stworzenia arcydzieła potrzeba jedynie natchnienia są utwory głęboko zasmucające. Przykro jest patrzeć, jak autor grzęźnie w swojej własnej książce, nie potrafiąc sobie poradzić z problemami warsztatowymi, a dobre nieraz pomysły zostają bezpowrotnie zaprzepaszczone. Klasycznym niemalże przykładem powieści, w której potknięcia warsztatowe zniweczyły do cna autorski zamysł, może być omawiany już przeze mnie „KREKS", a także — choć w mniejszym stopniu — wydany niedawno przez KAW **„Ocean Niespokojny"** Michała Markowskiego.

Mało która powieść może pochwalić się takim nagromadzeniem szybko po sobie następujących wydarzeń, tak wartko toczącą się akcją. Niestety, ten niewątpliwy atut nie został przez autora do końca wykorzystany. Utwór wyraźnie rozpada się na dwie bardzo słabo ze sobą połączone części. Pierwsza, wolniejsza, ale odrobinę lepiej dopracowana ma charakter przyszłościowej antyutopii. Druga to połączenie powieści inwazyjnej z kryminalną, w którą dodatkowo wpleciono wątek walki z sektą fanatycznych terrorystów.

Pierwszym i najważniejszym błędem „Oceanu Niespokojnego" jest przemieszanie dwóch konwencji, z natury ze sobą sprzecznych: „baśniowej" i „logicznej SF". Właściwa dla baśni symbolika w utworze realistycznym razi naiwnością i prowadzi do niedopuszczalnych uproszczeń. Smok w baśni może być po prostu zły i kropka, nie trzeba uzasadniać, dlaczego jest właśnie taki. Ale postępowanie bohatera negatywnego w powieści realistycznej musi być umotywowane, inaczej nigdy nie będzie to dobra powieść. Tak więc z pierwszego potknięcia autora wynikają następne: postacie są czarno-białe i brak im głębszej motywacji. Robert-Jezus z drugiej części powieści w gruncie rzeczy niewiele się różni od potwora z czarnej laguny albo godzilli, a przecież postać fanatyka, owładniętego manią zabijania i swej boskości mogłaby być przedmiotem bardzo ciekawej analizy psychologicznej. Tymczasem Robert jest po prostu zły i kropka. Jak smok z bajki.

Pogarsza jeszcze sprawę fakt, że autor nie ustrzegł się stereotypów. Niemal wszystkie postacie z drugiej części powieści, podobnie jak sama fabuła, nie odbiegają od starego, wytartego schematu, powieści kryminalnej, w której poszukuje się mordercy-psychopaty. Dzielny detektyw, uwikłany w problemy osobiste, pragnący pomścić śmierć zabitego przez przestępcę przyjaciela, czy ograniczony zwierzchnik, który za nic nie chce wziąć pod uwagę możliwości istnienia „przybysza" z kosmosu. Wykorzystano w „Oceanie Niespokojnym" nawet tak potwornie wyświechtane chwyty powieści sensacyjnej, jak to, że morderca zapałał szczególnym pożądaniem do żony detektywa, albo złożenie przez Bru rezygnacji po sprzeczce ze zwierzchnikiem.

Bohaterowie „Oceanu Niespokojnego" — teraz mam już na myśli całą powieść — nie tylko tkwią w stereotypach, są też nakreśleni bardzo ogólnikowo, czarno-biało. W swych nastrojach i wypowiedziach popadają oni bez przerwy ze skrajności w skrajność, bez żadnych stanów pośrednich sprawiając wrażenie bandy przeegzaltowanych piętnastolatków, podnoszących co chwilę, głos i wymachujących rękami. Ponieważ jest to w powieści nagminne, czuję się uprawniony do stwierdzenia, że autor maluje nam bohaterów czarno-biało nie tyle programowo, co po prostu przez nieumiejętność operowania różnymi odcieniami szarości.

Zaprzepaścił też autor inną szansę, jaką dawało sięgnięcie po wątek kryminalny: pomimo mnóstwa strzelaniny i przelanej krwi w utworze brak napięcia, i tego dreszczu emocji, który jest nieodzowny w dobrym kryminale. Czytelnik śledzi walkę policjantów z Robertem-Jezusem bez większego zainteresowania. Cóż z tego, że autor nie szczędzi trupów (coś koło pięćdziesięciu), skoro bohaterowie i tak pełnią w utworze role przedmiotów, a więc śmierć jednego czy drugiego ani czytelnika ziębi, ani grzeje, tym bardziej, że same opisy śmierci nie sprzyjają szczególnemu wzruszeniu — biegł, został trafiony, upadł, umarł. Kropka. Nieumiejętność operowania nastrojem, emocjami czytelnika, sprowadza powieść do płaskiej, komiksowej powiastki, i to w dodatku słabej nawet jak na czytadło, bo nie pasjonującej. Dodać jeszcze do tego należy liczne potknięcia w sprawach znacznie już drobniejszych, ale ważnych, gdyż te drobne z pozoru błędy skutecznie niszczą nastrój tak ważny dla utworu. Szkoda, że znalazły się w „Oceanie Niespokojnym" sformułowania takie jak „O trzynastej w nocy", nieprzemyślane rekwizyty — „spadochron-batyskaf" (połączenie równie sensowne jak „żyrandol-łyżka do butów") czy trzydziestodwustrzałowy rewolwer (!), a nawet ewidentne błędy „w strzelnicy" zamiast „na strzelnicy" (str. 43), czy zdanie ze str 17 — „A praca moja? Adwokaciną byłbym jak przedtem" (jest to fragment dialogu!).

Wszystkie te potknięcia i braki warsztatowe powodują, że w sumie do czytelnika nie dociera nic z tego, co przypuszczalnie było w zamyśle autorskim najważniejsze: z rozważań na temat sterowania i manipulowania człowiekiem oraz jego losem. Błędy te sprawiają, że tytułowy ocean jawi się nam jako nie tyle niespokojny, co po prostu — płytki.

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

Jedenaścioornica plamista — *Conrexa epidicta*.
Rys. Andrzej Biedrzycki

Zamierzenia wydawnicze 1983

Kontynuujemy publikowanie list, które należałoby zatytułować: „Co w zasadzie powinno się ukazać w 1983 roku".

Dlaczego „w zasadzie"? Kierując się doświadczeniem lat ubiegłych można śmiało stwierdzić, że zamierzenia te zostaną w bieżącym roku zrealizowane, co najwyżej w 50 proc. Zjawisko „poślizgów wydawniczych" na stałe weszło do naszego życia.

Poniższe listy obejmują przede wszystkim pozycje przewidziane na rok 1982 plus to, co przewiduje się na rok 83.

Dziś kolejne wydawnictwo: „Czytelnik", a w następnych numerach wszystkie pozostałe.

Jeszcze słów kilka o stosowanych oznaczeniach:

Po lewej stronie: SF — fantastyka naukowa

F — fantasy

WF — fantastyka grozy

FJ — fantasy dla młodzieży

SFJ — fantastyka naukowa dla młodzieży.

Wykazy opracował Marek S. Nowowiejski, wnikliwie studiując „Zapowiedzi wydawnicze" oraz drogą bezpośrednich rozmów z wydawcami.

MD.

CZYTELNIK

SF 1. Barrington J. BEYLEY — Kurs na zderzenie (Seria z kosmonautą)

F 2. Jorge Luis BORGES — Zoologia fantastyczna

SF 3. Lech BORSKI — Velva

F 4. Michaił BUŁHAKOW Mistrz i Małgorzata (wyd. 5)

SF 5. D. G. COMPTON — Śmierć na żywo (Seria z kosmonautą)

WF 6. Hanns Heinz EWERS — (opowiadania) (Seria Retro)

SF 7. Henry KUTTNER — Dumny robot (Seria z kosmonautą)

WF 8. H. P. LOVECRAFT — Zew Cthulhu

SF 9. Marek ORAMUS — Senni zwycięzcy (Seria z kosmonautą)

SF 10. Pierre PELOT — Tranzyt (Seria z kosmonautą)

SFJ 11. Bohdan PETECKI — Tysiąc i jeden światów

WF 12. Edgar Allan POE — Opowiadania, t. 1/2 (wyd. 2)

SF 13. A. i B. STRUGACCY — Trudno być bogiem

F 14 Jan Witold SULIGA — Księgi dolin

F 15. A. H. TAMMSAARE — Nowy Piekielnik z Czartoryi (Nike)

F 16 J. R. R. TOLKIEN — Silmarillion

SF 17 Kurt VONNEGUT — Syreny z Tytana (Seria z kosmonautą)

SF 18 Adam WIŚNIEWSKI-SNERG — Nagi cel (wyd. 2 zmienione)

19. WU CZ'ENG-En — Wędrówka na zachód

SF 20 Janusz A. ZAJDEL — Wyjście z cienia (Seria z kosmonautą)

Opr. M.S.N.

KOLUMNA AJENCYJNA

Pamiętnik intymny 4

21 STYCZNIA

A prawdziwej zimy ciągle nie ma. Ani śniegu, ani mrozu. Na naszym osiedlu tak jakoś szaro, ciemno, ponuro. Szczęście, że latarnie przy naszej niby-ulicy świecą cały dzień. Gdyby nie to, można by w samo południe utopić się w kałuży, albo wpaść do wykopu i nikt by nawet nie zauważył.

25 STYCZNIA

Oboje z Małgosią z utęsknieniem czekamy zimy. W niedzielę mieliśmy taką ochotę na spacer, ale jak wyjrzeliśmy przez okno, stało się od razu jasne, że nie warto ryzykować Żeby chociaż sam mróz trochę chwycił.

27 STYCZNIA

Zamiast mrozu, coraz cieplej. Ograniczyliśmy wyjścia z domu do absolutnie niezbędnego minimum. Mieliśmy już wydeptaną, jako tako suchą ścieżkę od naszego bloku do najbliższej prawdziwej ulicy z chodnikami, ale wczoraj cały dzień do sąsiedniego bloku wozili wanny — brązowe i seledynowe — i po ścieżce ani śladu! Strach myśleć co będzie dalej. Trudno mi też było uspokoić Małgosię, kiedy zobaczyła te wanny. Całe życie marzyła o kolorowej, a u nas, jak na złość, założyli białą. Małgosia nalega, żebym poszedł z tym do prezesa. Jak jej wytłumaczyć, że po prostu boję się? Już dwie pary butów szlag trafił. Zaniosłem je do szewca, aby skleił, ale ten nawet nie chciał ze mną rozmawiać, pokazał tylko wywieszkę na ścianie: „Klijęci bez własnego kleju obsługiwani nie będą". Na co ci rzemieślnicy już sobie pozwalają! Państwo zapala im zielone światło, a oni co?! Będzie mi tu taki wmawiał, że kleju nie ma pod zielonym światłem

28 STYCZNIA

Do prezesa wybiorę się prawdopodobnie zaraz po pierwszym. Sąsiadka z trzeciego słyszała, że w lutym mają podobno wszystkim mieszkańcom naszego osiedla dać dodatkowy talon na obuwie Była jakaś komisja czy wizytacja z ministerstwa albo z Urzędu Miasta — w gazecie pisali. powiedziała sąsiadka — no i podjęto decyzję o przyznaniu tych kartek na buty.

31 STYCZNIA

Okazało się, że z tymi kartkami, to lipa. Owszem, była wizytacja, ale na innym osiedlu, którego budowę zakończono 10 lat temu. U nas ma być dopiero w 1988 roku

1 LUTEGO

Byłem dziś jednak w spółdzielni Prezes powiedział, że on za wanny nie jest odpowiedzialny, a poza tym właśnie przed chwilą był u niego facet z pretensjami, że ma brązową wannę, a nie białą, więc on już ma tego — o. potąd! — To może dałoby się jakoś zamienić te wanny? — zapytałem nieśmiało. — To już nie moja sprawa — odpowiedział prezes — ale teoretycznie jest to możliwe. Prywatnie jednak panu powiem, że taniej i lepiej będzie zmienić żonie marzenia. Nawiasem mówiąc, tej pańskiej sąsiadce z trzeciego też.

No, proszę, a mówią, że tam na górze o niczym nie wiedzą.

Był bal!

Tak, tak proszę państwa! Byliśmy, byliśmy, tańczyliśmy „Kaczuszki" — poniekąd firmowy taniec na tym balu, jedliśmy pieczeń z łosia! A wszystko dzięki temu, że nowy ajent zaangażował nas jednak obydwóch, wyasygnował co nieco na koszta i wydelegował. Tak więc tylko u nas, tylko na kolumnie ajencyjnej „Odgłosów" znajdziecie, drodzy Czytelnicy, jedyną, prawdziwą i pełną relację z balu dziennikarzy, nazywanego także „Balem Prasy".

Ale ab ovo. W hallu restauracji hotelu „Centrum" zostaliśmy kordialnie powitani przez Samego Prezesa SD PRL red. Z. Strzępka, członka Komitetu Organizacyjnego red. J. Całusińskiego oraz szczupłego, wysokiego młodzieńca w świetnie skrojonym dwurzędowym garniturze. Nie bez wysiłku poznaliśmy w nim red. Sławka Darzyckiego...

Na sali rozpoznaliśmy natychmiast wygalowane ekipy łódzkich redakcji gazet i TV. Kogóż tam nie było!

Nie było w zasadzie redaktorów naczelnych (chlubnym wyjątkiem był naczelny „Wiadomości Skierniewickich", red. Edward Müller), a spośród zastępców naczelnych dostrzegliśmy tylko dwóch.

Naliczyliśmy za to sporo szeregowej braci dziennikarskiej, przedstawicieli świata lekarskiego i palestry, a także sporo, sporo znajomych ze sfer — by tak rzec — ajencyjno-handlowo-rzemieślniczych. Poczuliśmy się jak u siebie, za starych, dobrych czasów ajencji gastronomicznej.

Twiggy and Tune Following in some famous footsteps

Wzruszenie ścisnęło nas za gardła, kiedy na estradzie pojawił się red. Henryk Ciski w nienagannym smokingu. Okazało się, co odnotowujemy nie bez satysfakcji, że redaktor Ciski jest nie tylko utalentowanym dziennikarzem, niezwykle odpowiedzialnym sekretarzem redakcji i arbitrem elegantiarum tutejszego środowiska, ale także znakomitym antreprenerem. Z wrodzonym wdziękiem i swadą otworzył bal, zapowiedział atrakcje, przedstawił sympatyczny zespół pracowników restauracji hotelu „Centrum", którzy stanowili obsługę balu.

Kiedy rozpoczęły się już tańce dyskretnie obserwowaliśmy pary i wytypowaliśmy sobie prywatnie naszych ulubieńców na parkiecie. Za króla balu uznajemy absolutnie bezkonkurencyjnego pana we fraku (jedyny frak na tym balu!). Dużo trudniej wytypować królową. Zdecydowaliśmy się po długim namyśle (co tu ukrywać, narażając się naszym partnerkom i wszystkim pozostałym uczestniczkom balu), że naszym prywatnym typem na królową będzie publicystka „Dziennika Łódzkiego" Renata Sas, przyodziana w strój tyleż elegancki, co powiewny i dziewczęcy...

Tańce, szampan i swawole do rana...

Wyszliśmy o smutnej porze płacenia rachunków. Nic to, mamy świadomość, że spora część naszych balowych wydatków, jak również honoraria zaproszonych artystów pójdą na budowę Filharmonii Łódzkiej. Za rok na pewno znów będziemy na Balu Prasy!

BRACIA MLECZNI

Zgodnie z obietnicą: panna Zuzia na plaży.

Zdjęcie z wakacji wykonał i nadesłał pan Zdzisław Ł., jak pisze o sobie skromnie „przejściowy narzeczony panny Zuzi".

Rodzynki z importu bez kartek

* * *

Niejednemu nie wystarczy całego życia, by dowieść, że jest wunderkindem.

* * *

W hotelu „Sasanka" zawsze są wolne miejsca — sprzataczki i windziarza.

* * *

Jak on wspaniale pełza. Orzeł!

* * *

Klient ma zawsze rację, ale wcale nie jest mu przez to lżej.

* * *

Co lepiej? Wiedzieć gdzie, czy skąd wiatr wieje?

* * *

Czy nie fałszuje rodzinna orkiestra, gdy dziecko gra pierwsze skrzypce?

* * *

Z pragnienia umiera się rzadko, częściej z nadmiernego zaspokajania.

* * *

Gdy dziecko podrasta, przestaje wiele rozumieć.

* * *

Czasem nie koło ratunkowe przynosi zbawienie, ale sam fakt, że je rzucono.

* * *

Jeśli gra warta jest świeczki, to po co w takim razie włączać na boisku oświetlenie elektryczne?

* * *

Czy można uważać za wszechstronnie uzdolnionego człowieka zdolnego do wszystkiego?

POCZTA DO AJENTA

„Życie nie je bajka" — jak by mógł napisać Pański Xawery. A już myślałem, że to Pan, Panie Ajent (czyt. ażąt). Polot, dowcip i fajka — zupełnie jak u Pana. Tylko, co z tymi „Carmenami"? Dokształcać się Xawery nie chce, czy co?

Dziś piszę do Pana, bo mi żal... Żal mi Włodzimierza Wysockiego, którego świetne dialogi w filmie „Gdzie jest czarny kot?" zagłusza toporna „lista dialogowa" jakiejś pani Tytuł też zmieniono — na owego kota, nie wiadomo po co. Kto tu ma kota? Pani tłumaczka.

Oto melduje się służbiście ładna milicjantka. Lektor czyta: „Starszy sierżant..", a dziewczyna na „pagonach" ma dystynkcje starszego plutonowego. A więc, drogi Panie Ajent (czyt. ażąt), tłumaczka nie wie że po rosyjsku „sierżant" znaczy właśnie plutonowy, nie sierżant a sierżant to „starszyna"... Trochę to może (dla tłumaczki) skomplikowane, ale nie bardziej niż to, że „dworiec", to nie „dworzec" tylko pałac, a „kawior" to nie kawior, lecz dywan... Tak więc, Panie Ajent (czyt ażąt) sierżant nie jest sierżantem u naszych sojuszników. Do tego doszło.

A z ekspertów żartowano, choć przydałby się pani tłumaczce. Wciąż oni tam szukają Foksa, który nosi Order „Wojny Narodowej". Takiego orderu nie było. Od czterdziestu bez mała lat w polskiej nomenklaturze używa się określenia „Order Wojny Ojczyźnianej", bo tak przetłumaczono (i fusznie) rosyjską nazwę „Order Otieczestwiennoj Wojny". I taki właśnie nosi na piersiach filmowy Foks.

Nie lepsza jest wartość pozostałych tekstów. Znakomity, dowcipny i pełen dwuznaczności (dających się łatwo przetłumaczyć na polski) dialog przy stole bilardowym z kryminalistą „Wędzonym", jest skutecznie zagłuszony przez „listę dialogową", w której ani cienia oryginalnego kolorytu.

Kiedy Wysocki mówi: „smradnaja swołocz", z „listy dialogowej" zamiast „śmierdzącej kanalii" słyszymy... „niepożądany element".

I tak dalej, i tak dalej... Znakomita tłumaczka, Cecylia Wojewoda, kiedy przekładała „Coś się stało" Josepha Hellera, a nie czuła się mocna w terminologii poniżej pasa, poprosiła o pomoc pisarza Janusza Głowackiego, który w tych regionach był (a może i jeszcze jest — choć lata lecą) bardzo mocny. Czy pani tłumaczka od „Czarnego kota" nie mogła poprosić o konsultację jakiegoś pisarza, który akurat wyszedł z pudła?

Tak to jest, Drogi Panie Ajent (czytaj: ażąt) — ludzie przestali wierzyć w konsultację, czego dowodem pański Xawery, któremu żal paczki „Carmenów" aby się dowiedzieć, kto do kogo powiedział przed wojną o gaciach.

No i dobrze, no i na zdrowie — jak powiedział poeta (jeden „Popularny" za nazwisko), ale tak nie wyrasta się na człowieka. Ani na felietonistę.

Całuję Pana, Panie Ajent (czyt. ażąt) w fajkę

JERZY (czyt dżeri) WILMAŃSKI

Wycinanki

ZA WCZEŚNIE

W **„Trybunie Ludu"** informacja, że **„Bałtyk czyściejszy"**. Zimowe sztormy naniosły czystej wody z Morza Północnego, a brudy zepchnęły w głąb Bałtyku.

Naszym zdaniem przedwczesna to radość, gdyż wszyscy, którzy Bałtyk zanieczyszczają nie przerwali swojej działalności. Już wiosną wszystko wróci do brudnej normy.

NADZIEJE

„Express Wieczorny" doniósł, że **Dżingis — chan,** ogłoszony w czasach rewolucji kulturalnej **„prekursorem hegemonizmu"**, został zrehabilitowany i uznano go za **„bohatera narodu mongolskiego"**.

Wśród wielu postaci historycznych przebywających w niebie lub piekle zapanowała nadzieja, że i ich los na ziemi zostanie odmieniony. Ostrzegamy. Nadzieja jest matką głupich! A zrehabilitowani mogą jeszcze zostać potępieni.

MATRYMONIALNE

Ogłoszenie w **„Expressie Ilustrowanym"**: „Sześćdziesięciopięcioletni pozna samotną bez nałogów". Optymista!

BĘDZIE LEPIEJ

Informacja własna w **„Głosie Robotniczym"**: **„Do Koluszek — szybciej"**. Ucieszyliśmy się. Przeczytaliśmy. Rozczarowaliśmy się. Szybciej będzie, ale za jakieś paręnaście lat, jak wszystko dobrze pójdzie. Proponujemy póki co podróż do Kutna. Też miało być szybciej. I co?

Mały ginekolog

Wydawnictwo Łódzkie śmiało weszło do grona prekursorów i nowatorów w dziedzinie popularyzacji wiedzy: nakładem tej zacnej oficyny ukazała się ostatnio książeczka, stanowiąca małą, choć niewątpliwą rewelację w literaturze popularnonaukowej. Dwaj luminarze świata medycznego obdarzeni niewątpliwymi talentami literackimi napisali popularny podręcznik dla ginekologów — amatorów i kandydatów na studia medyczne. Nie byłoby w tym nic szczególnego, gdyby nie niesłychanie oryginalna — jak dla tego typu publikacji — forma. Poradnik (czy podręcznik, trudno tu o definicję), jest mianowicie zbeletryzowany — na marginesie opisów głównych zabiegów ginekologicznych i położniczych rozgrywa się liryczna historia miłosna, całość jest nowoczesną powieścią, w której stosuje się nowatorski chwyt narracyjny — dwie paralelne opowieści, połączone osobą bohatera i narratora. Opowieść szpitalna, opisująca dzień dyżuru lekarza praktyka na oddziale ginekologicznym stanowi właśnie pretekst fabularny dla opisu zabiegów. Poznajemy kolejno: badanie warunków przestrzennych płodu przy pomocy chwytów Leopolda, wyczuwanie główki płodu metodą „per rectum" poród kleszczowy z komplikacjami, wreszcie poród prawidłowy, główką do przodu. Na dalszych kartach książki znajdujemy opis rzucawki porodowej i dalszych zabiegów, jak wyłyżeczkowanie próbne, usuwanie resztek po poronieniu, wreszcie banalne zszywanie szyjki macicy catgutem.

Opisy te, dość — jak na literaturę popularnonaukową — ścisłe (autorzy podają za każdym razem krótką historię choroby, odnotowują tętno, temperaturę itp.), a jednak barwne i przystępne niewątpliwie pomogą wielu przyszłym adeptom położnictwa dokonać właściwego wyboru drogi życiowej, drogi — jak to wynika z lektury — niełatwej!

Autorzy pamiętają o koniecznych w takich przypadkach zasadach deontologii lekarskiej. Znajdujemy w tekście książeczki zgrabną recenzję z amerykańskiego serialu o doktorze Kilderze, rozważania o polskiej służbie zdrowia, a także śmiałe stwierdzenia dotyczące prywatnej praktyki lekarskiej i nieco dwuznacznej sytuacji moralnej lekarzy, którzy ją uprawiają.

Na chwałę autorów dodać trzeba, że zachowując słuszną wstrzemięźliwość, nie zajmują stanowiska w sprawie przerywania ciąży i nie umieszczają tego zabiegu wśród opisywanych przez siebie.

Drugą linię narracyjną, jak wspomniano wyżej, stanowi historia romansu młodego lekarza. W myśl słusznej zasady, że etyka lekarska nie może funkcjonować w oderwaniu od etyki ogólnoludzkiej, jest to romans na wskroś moralny, humanistyczny wręcz. Ze zrozumiałych względów dydaktycznych autorzy oszczędzają czytelnikowi drastycznych opisów scen erotycznych nawet w dziedzinie słownictwa kierują się szlachetną powściągliwością: dwuznaczne moralnie słowo „kochanka" występuje tylko w monologu wewnętrznym bohatera — w rozmowie ze swą dziewczyną używa słowa „przyjaciółka" Także dziewczyna mówi: „...jakby to było, gdybym została twoją przyjaciółką?" (str 75) Następnie rozbiera się...

Młody czytelnik ma okazję poznać także kilka głębokich myśli na temat miłości Np. „...Daje wiarę w siebie, radość, poczucie siły odwagę". Cóż do dać?

Książka pożyteczna i wartościowa.

ST. REFERENT

Edward Kopczyński, Kajetan Pakowski: Kariera. Wyd. Łódzkie 1983. Str. 135. Cena 60 zł.

1 Lewym okiem

Przerwa na posiłek

W poniedziałek 7. II. o godzinie dwunastej w południe poczta główna nie działa. Budynek zamknięty na głucho żelaznymi kratami, na ścianie ręcznie malowana informacja: będzie czynne od godziny czternastej. Ktoś dopowiada z boku, że to wyrównanie przepracowanych paru godzin w sobotę. Interesanci, którzy przyszli tu — jak ja — z daleka, żeby coś tam załatwić, odchodzą z kwitkiem, a wykonanego przez nich daremnie marszu, straty czasu itd. — nikt im nie wyrówna.

To jest horendalny kraj i niebywałe obyczaje. W Lipsku poczta główna czynna jest na okrągło zawsze. W żadnym mieście na świecie poza Łodzią nie spotka się w samo południe w śródmieściu pustego autobusu, zjeżdżającego daleko ze swej trasy, z tabliczką w oknie: „przerwa na posiłek". Czyli wszyscy potencjalni pasażerowie na wszystkich przystankach, żeby nie wiem jak ważne i pilne sprawy mieli do załatwienia, mają wstrzymać bieg, wstrzymać oddech, zamrzeć bez ruchu, póki pan kierowca nie zje drugiego śniadanka przy stole, z gorącą kawusią, bo ja wiem z czym jeszcze? Przecież nie będzie jadł zwyczajnie i gdziekolwiek. Musi specjalnie zjechać, tracąc dodatkową benzynę za ciężkie dolary. Co tam, i tak tyle tych dolarów jesteśmy winni. Niesłychana rzecz!

Na Węgrzech listonosze załatwiają ludziom ze swego rejonu recepty w aptekach. Węgierska poczta przyjmuje zamówienia na książki, przesyła sprzęt domowy do naprawy i z powrotem. Boże kochany, jak myśmy sobie własny świat spaprali, jak łatwo zrobić go lepszym i mniej dokuczliwym! Nasza poczta nie potrafi załatwić nic, jest jak ściana w którą można rzucać grochem bez skutku, a z drugiej strony ktoś siedzi i „posila się". Czy może jeszcze raz wspomnieć o masowym okradaniu przesyłek?

W mieście Wysokie Mazowieckie — jak podała „Polityka" z 1. I. br. — pracuje **36 nocnych stróżów**, o których milicja twierdzi, że w niczym nie przyczyniają się do zmniejszenia kradzieży, nie pomagają milicji, źle pilnują, nie meldują o kradzieżach. Pewnie nie mają „motywacji" do właściwej pracy, to bardzo modny i mocny argument. Taki stróż zarabia — czytamy w tejże „Polityce" — 12—14 tys. zł. miesięcznie, a milicjant **z wyższym wykształceniem — 9.700**. Dobrze mu tak, mógł się nie kształcić. Notabene milicjantów jest w Wysokim Mazowieckiem dwudziestu czterech. Mniej niż nocnych dozorców.

Kilkadziesiąt milionów dolarów kosztował specjalny jakiś dźwig. Leży od paru lat w Beskidach, zielsko na nim rośnie, nigdy nigdzie nie był użyty. Nikt nie wie, kto go sprowadził z zagranicy i po co, kto go porzucił. Jak to jest? Tyle papierków, tyle kontroli, ewidencji, planów, sprawozdań, bilansów, tylu inspektorów, księgowych, strażników — i nagle nikt nic nie wie? W jakim my kraju żyjemy? „W Polsce, czyli nigdzie..." — jak mawiał Alfred Jarry?

Przeprowadzona przez Komendę Główną MO ogólnokrajowa kontrola taksówek stwierdziła, że w dwóch trzecich badanych przypadków popełniono wykroczenia. Zbadano 12 tysięcy taksówek. Tylko co trzeci kierowca był w porządku. Co się z nami dzieje, ludzie, czym się to skończy?

Jakaś prywatna wytwórnia zabawek — doniosła w grudniu „Polityka" — produkuje gustowny drobiazg dla starszych dzieci, mianowicie kajdanki. Do zabawy w złodziei. Ale starszym dzieciom nie zabawa w głowie, tylko poważna praca. Coraz częściej czytamy o grupach nieletnich włamywaczy i złodziejaszków. Ech, smutno się robi i pisać się odechciewa. Odkładam długopis. Przerwa na posiłek.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

2 Zdarzenia i zwierzenia

Geniusz i mit

Czesław Słania jest w swojej sztuce wybitnym artystą, myślę nawet, że jego kunszt określić można mianem geniuszu. Tak jest! Ale Zygmunt Broniarek kreśląc niedawno w „Przekroju" portret tego artysty rejestruje fakty nader subiektywnie. Czasem zresztą wręcz niezgodnie z prawdą.

Pewno, że można napisać, iż Słania „chciał wypróbować czujność poczty" wysyłając list z wykonanym przez siebie znaczkiem. Tylko, że w języku prawa nazywa się to „fałszerstwem na szkodę poczty". A także na szkodę zbieraczy, ponieważ fałszywy znaczek ofrankowany prawdziwą pieczątką pocztową staje się cennym kuriozum filatelistycznym.

Pisze Zygmunt Broniarek, że „Czesław Słania wygrawerował ponad 20 znaczków pocztowych, na jednym z nich Matejkowską „Bitwę pod Grunwaldem".

Jest to prawda i nieprawda zarazem. W „Katalogu specjalizowanym znaczków pocztowych ziem polskich" (Warszawa 1981, KAW, tom 2 str. 102) znajdujemy informację o wydanej 15 czerwca 1960 roku serii upamiętniającej 550 rocznicę Bitwy pod Grunwaldem. W tym czasie Słani już w Polsce nie było — wyjechał w 1956 r. do Szwecji i tam pozostał. Projektował te znaczki Cz. Kaczmarczyk, a znaczek z „Bitwą" rytował J. Miller.

Dlaczego więc Czesław Słania przypisuje sobie cudzą pracę? Ano, widać ma powody. Istotnie rytował „Bitwę pod Grunwaldem" tylko...

Bierzemy do rąk „Problemy kryminalistyki" (Warszawa, maj-czerwiec 1960) i tam w artykule Tadeusza Gryżewskiego „Fałszerstwa znaczków pocztowych" (str. 345) czytamy opisy polskich, współczesnych fałszerstw, a między innymi takie zdania:

„Drugim wypadkiem było rozprowadzenie przez jednego ze sztycharzy swej pracy dyplomowej dla Akademii Sztuk Pięknych Pracą tą była reprodukcja obrazu „Bitwa pod Grunwaldem" Matejki, wykonana w f o r m i e (podkreślenie moje) znaczka pocztowego. Na marginesie tego znaczka, u dołu wyryty był napis „praca dyplomowa". Napis ten sztycharz usunął, owe pseudoznaczki sprzedawał filatelistom. Ci ze swej strony, wykorzystując nieświadomość urzędników pocztowych, frankowali nimi listy wysyłane przeważnie do Stanów Zjednoczonych."

Obok tekstu Tadeusza Gryżewskiego widnieje reprodukcja tego oczywistego fałszerstwa. Czytamy napis u dołu: „DEL ET SC CZ. SŁANIA".

Niestety to nie wszystko. W historii fałszerstw powojennych jest jeszcze jeden znany okaz grawerski Czesława Słani. Tym razem był to tzw. blok wydany w 1954 roku, z okazji III Zjazdu Filatelistów. Nie stanowił on już własnej kompozycji, lecz ewidentne fałszerstwo znaczka, który rytował B. Brandt. We wspomnianym artykule Tadeusz Gryżewski pisze, że „fałszerstwo to dokonane było z dużą inteligencją i znajomością przepisów prawnych". Rzecz w tym, że oryginał był jedynym powojennym znaczkiem wydrukowanym z polecenia Ministerstwa Łączności, lecz nie usankcjonowanym żadnym opublikowanym rozporządzeniem. Autor falsyfikatu mógł się więc tłumaczyć brakiem odpowiedniego zarządzenia o wprowadzeniu znaczka do obiegu. Ale Słania tłumaczyć się nie zamierzał. Po prostu „prysnął" z Polski.

Jeśli zgrabna historyjka, opublikowana w „Przekroju", o wizycie Interpolu u Czesława Słani (po wykonaniu przezeń dla żartu banknotu dolarowego), jest prawdziwa, może to po prostu oznaczać, że w Interpolu czytają jednak polskie „Problemy kryminalistyki".

Powiadam — Czesław Słania jest wybitnym artystą, nawet jeśli w młodości fałszował znaczki i stuzłotówki, zwłaszcza, że — jak pisze Broniarek — albo dla zabawy, albo dla „wypróbowania czujności poczty". Z całą pewnością jednak robił to dla wypróbowania siły nabywczej biletów Narodowego Banku Polskiego, którymi płacili mu filateliści, za sprzedaż fałszywych znaczków.

No cóż, opowieści starszych panów trzeba brać z poprawką na pewną dozę mitotwórstwa. Zwłaszcza jeśli są genialni. Zresztą od wieków wiadomo, że geniusze z reguły traktują dość swobodnie ogólnie przyjęte konwencje. A poza tym.. Nie odzierajmy ludzi niezwykłych z ich niezwykłości — także w życiu codziennym. Biografia Czesława Słani jest materiałem na pasjonującą powieść, także o wątkach kryminalnych — pod warunkiem, że opowie się w niej całość tej niebanalnej i niekonwencjonalnej drogi, która chłopca z Czeladzi i studenta z Krakowa zaprowadziła na dwór króla Szwecji.

JERZY WILMAŃSKI

3 Spojrzenie znad szachownicy

Człowiek w trenczu

No i proszę, mimo iż modna jest nade wszystko fantastyka, obok quasi-naukowych kawałków o trójkącie bermudzkim oraz odwiedzinach kosmitów, łódzki oddział KAW obdarował nas powieścią kryminalną „Czeka na mnie Tina", wcale nie najgorszą zresztą, choć autor nie jest z pewnością ani nowym Chandlerem, ani nowym Simenonem także. Ciekawość zresztą bierze, kim jest w ogóle tajemniczy człowiek w trenczu, gdyż Jonathan Trench to rzecz zrozumiała — pseudonim, co łatwo sprawdzić szukając bezskutecznie nazwiska tłumacza. Trencz zaś, ang. trench-coat — czytamy w Słowniku Wyrazów Obcych PWN — to krótki płaszcz męski, zwykle z wymienną, zapinaną na guziki podszewką i epoletami, najczęściej nieprzemakalny.

Nie ma w zasadzie nic szczególnie zdrożnego w podobnej przebierance w nieprzemakalne angielskie płaszcze, nawet gdy są to płaszcze z epoletami i zapinaną na guziki podszewką. Świetnie wiadomo, że intrygę kryminalną łatwiej zawiązać w chmurnym Albionie, niż w targanej kryzysem Polsce, tam mamy bowiem do dyspozycji lordów z krociowymi spadkami, takie i owakie gangi, niezawodny — ponoć — Scotland Yard, no i dziesiątki przydatnych rekwizytów od wymyślnych trucizn po sztucery na słonie, tu zaś co najwyżej ktoś kogoś zaciuka siekierką, włamie się do sklepu monopolowego, albo spróbuje ukraść obraz Konstantego Mackiewicza. Nie przeczę, taki obraz to rzecz łakoma, nie na tyle jednak, aby do łóżka nieszczęśliwego posiadacza podrzucać kobrę, zaś do rannych kapci — tarantulę. A gdyby nawet, to skąd brać te sympatyczne zwierzątka, nie widziałem ich nawet na bazarze...

Są też i precedensy, potwierdzające dopuszczalność podobnej maskarady. Nie jest tajemnicą, iż popularny Joe Alex to po prostu Maciej Słomczyński, który przyznał się kiedyś w wywiadzie, że tłukł seryjnie te swoje czytadła, iżby w spokoju ducha i o pełnym żołądku móc pracować nad przekładem „Ulissesa". Jonathan Trench też więc może nad czymś tam pracuje, a jeżeli nawet nie, mógł po prostu mieć ochotę spłatać nam wszystkim figla.

2.

Oczywiście można także inaczej, pisząc „Śledztwo" czy znacznie późniejszy „Katar", Stanisław Lem nie udawał nikogo, spokojnie desygnując na bohaterów angielskiego komisarza policji i amerykańskiego ex-kosmonautę. Nie jest też nigdzie napisane, że polski autor może dysponować jedynie polską milicją, zaś już francuska policja jest wyłącznie dla Francuzów, a amerykańska FBI — dla Amerykanów. Od dawna noszę się z diablo zawikłanym pomysłem na powieść szachową — kryminalno — fantastyczną, a jeżeli się wreszcie do niej zabiorę, zaangażuję wszystkie policje świata, może nawet lotną brygadę UFO, która wreszcie zagadkę rozwiąże.

3.

Wszystkie te dywagacje w niczym nie przybliżają nas jednak do osoby Jonathana Trencha, który czyta to teraz pewnie i śmieje się w kułak. Skoro facet wydał rzecz w Łodzi — tak sobie myślę — pewno jest też łodzianinem, a skoro jest łodzianinem, nie wykluczone, że go znam, a przynajmniej znam jego książki.

Zaangażowawszy w sprawę komputer i zaatakowawszy ją — bo ja wiem — metodami językoznawstwa statystycznego, można by pewnie autora wykryć, nie dysponuję jednak komputerem, nie znam się ani na językoznawstwie, ani na statystyce, nadto stanowczo jestem zbyt leniwy, aby kusić się na takie figielki.

Innym sposobem prowadzenia śledztwa byłaby wizyta złożona po starej znajomości szefowi łódzkiego oddziału KAW, red. Wawrzakowi. Pogadałby człowiek o pragmatyzmie z małej i o realizmie z dużej litery (z dużej, gdyż „Realizm" to tytuł kwartalnika, który już rychło staraniem KAW ma się ukazać), trochę pokręcił, trochę pochachmęcił, aż wreszcie — bęc — zapytał o Jonathana Trencha. Wygadałby się Jerzy, oj, wygadał, podobne chwyty wydają mi się wszakże stanowczo zbyt mało honorowe.

Pozostaje więc metoda kolejnych przybliżeń, taka ot zgadywanka, kto mógł to napisać, a kto raczej nie bardzo. Autor każe na przykład pływać bohaterom pełnomorskim jachtem, strzelać ze sztucera i grać w brydża. Na żeglarstwie i myśliwstwie jak na złość się nie znam, wszakże licytacja trefl, dwa piki, trzy kiery, pas i znów cztery trefle powtórzone przez otwierającego, wskazuje, że ani Trench, ani jego bohaterowie w brydża nie grają zbyt dobrze. No bo co znaczą te „dwa piki", przepraszam bardzo? Na blok za nisko, na wejście ofensywne za wysoko, całkiem bez sensu, nawet jak na Anglików, którzy ostatnio w brydżu sportowym nie odnoszą sukcesów.

Tyle już wiem, do reszty dojdę, konsultując tę całą strzelaninę ze sztucerów z jakimś fachowcem. I choć nigdy nie zdradzę państwu, kto zabił, takim bydlakiem nie jestem, być może uda mi się w końcu zdemaskować Jonathana Trencha, człowieka w nieprzemakalnym płaszczu z epoletami. I wtedy zażądam okupu — książki z własnoręczną dedykacją.

JERZY P.

4 Felieton pesymistyczny

Piękno kryje się w przyrodzie...

Aura to już w tym styczniu zdurniała na dobre; śniegu i mrozu praktycznie ani na lekarstwo, tajfuny jeno się w kraju sroża, burze z piorunami, Bałtyk pół Helu nam ostatnio próbował zaanektować, no najstarsi górale takich kombinacji o tej porze roku nie pamiętają. Ludziska też pewnie pod wpływem pogody wymyślać zaczęli co najgorsze. A to różne wersje o podwyżkach opowiadają, a to jakąś wymianę pieniędzy przewidują. Nie bardzo byłoby na co je wymienić, niestety, a po cóż w ogóle tak krakać? Już minister Krasiński i cały resort finansów pracuje intensywnie nad likwidacją tego nawisu nieszczęsnego. I spokojna głowa — usuną go na pewno, choć może nie całkiem bezboleśnie. Wódeczki znów trochę podrożały, co nam, czyli społeczeństwu z pewnością na zdrowie wyjdzie, a ceny innych używek — kawy, papierosów, benzyny jakby też szykowały się do zmiany. Po zapowiedzianych, społecznych konsultacjach...

A póki co, w szczerej, serdecznej atmosferze wzajemnego zrozumienia przekonsultowaliśmy w niedzielne przedpołudnie antyinflacyjną propozycję udania się do ogrodu zoologicznego. Strony wyraziły zainteresowanie na odcinku wspólnego relaksu i po opublikowaniu rzeczowego komunikatu w formie ustnej udały się podglądać faunę.

Dziwnym jakimś zrządzeniem losu (raczej wyraźne niedopatrzenie) bilety do „zoologu" nie zdrożały i ze 100 złotych otrzymaliśmy jeszcze resztę, co — nie ukrywam — wprawiło naszą trójkę w szampańskie humory.

Już z daleka dostrzegłem przyczajonego przed klatką z kondorem magistra B. W otoczeniu swojej rozświergotanej czeredki z wydatnym nosem i chudą szyją w jasnym szaliku nawet był podobny do przymkniętego nie wiedzieć za jakie grzechy ptaszyska.

— Jak pan myślisz, na ile skoczy paliwo? — rzucił bez uśmiechu na pawitanie.

— Ee, to jeszcze nic pewnego — próbowałem sprawę bagatelizować, nie mając ochoty na smętnie „sieriozną" rozmowę. — A poza tym ten nawis mamy cholerny... I konsultacje jeszcze będą...

— Aha pamiętam takie benzynowe konsultacje bodaj sprzed półtora roku — nie dawał się zbić z pantałyku rozsierdzony jak kondor magister. — Wspomnij pan tę wielotygodniową dyskusję w „Listach o gospodarce" nad wariantami cen paliwa. Ludziska swoje, a oni i tak swoje w życie wprowadzili.

— Stare dzieje, a jak wóz się spisuje? — delikatnie zbaczałem z drażliwego tematu. Byliśmy już w pawilonie z małpami.

— Wóz? Oleju nie mogę dostać na zmianę, gumy mam już łyse, klocków hamulcowych nie ma nigdzie, jeżdżę na pożyczonym akumulatorze, a wczoraj jakieś gnojki złamały mi antenę od radia — wyliczał skwapliwie na paluchach. — Ja bym to wszystko w ajencję oddał!

— Jakie „wszystko"? — nie zaskoczyłem.

— No ten „Polmozbyt" i świadczone tam usługi. Panie, niedaleko mnie, na osiedlu jest taka stacja „Polmozbytu" z mechaniczną myjnią. Zawsze tam były jakieś awarie, kartki na drzwiach „Wyszłem do biura" lub „Przerwa obiadowa". A to się silnik spalił, a to szamponu do mycia nie mieli. Od paru miesięcy zaszła tam wyraźna zmiana: obsługa uśmiechnięta, umyją wóz nawet ręcznie, szyby gumą przetrą, chodniki wytrzepią. I szamponu nie brakuje, a robota im się w rękach pali. Reforma? Można i tak to nazwać. Dwóch byłych pracowników „Polmozbytu" wzięło myjnię w ajencję. No przyjemnie tam pojechać, mimo że drożej niż dawniej.

Drobne gryzonie chyba jednak przysnęły, więc ruszyliśmy do lwów, tygrysów i całej tej futrzanej ferajny, przechadzającej się po wybiegach, obrzucającej nielicznych klientów ZOO znudzonymi spojrzeniami.

— No, ten to cały mój szef za biurkiem, po drugim śniadanku. Te same złośliwe oczka i grymas na buźce — magister z bezpiecznej odległości kpił z królewskiego tygrysa rozpartego na ogryzionym gnacie. — Brak tylko stojaczka ze stemplami!

— Oni nas zniszczą, zobaczy pan — kontynuował.

— Niby kto? — rozejrzałem się dyskretnie dookoła, ale napastników nie było widać, towarzystwo w futrach tkwiło spokojnie za kratami.

— No ci biuraliści, urzędasy, ci z rozporządzeniami i wytycznymi zamiast kory mózgowej — perorował. — O komorniku panu opowiadałem? Nie? Kapitalna historia! I nie czekając na moją odpowiedź z furią kontynuował.

— Jak każdy porządny obywatel opłaty PZU za samochód uiszczam w przepisowych terminach. W zeszłym roku, gdzieś na wiosnę, powiastkę dostałem, żebym zapłacił wraz z odsetkami i karami ubezpieczenie komunikacyjne za rok 1981. Zdębiałem, ale wykonałem stosowny telefon, pani po drugiej stronie sprawę wyłuszczyłem, wszelkie niezbędne dane z kwitków (na szczęście tych ostatnich nie wyrzuciłem) przedyktowałem, sprawa została wyjaśniona. Kochany, dwa tygodnie temu, w czasie mojej nieobecności, wpadł mi do domu... komornik, pokoje obleciał, w każdą dziurę na oczach przerażonej małżonki zajrzał, spisał radiomagnetofon na jakimś świstku, wyceniając go błyskawicznie na 6 tysięcy — bo tyle byłem jakoby winien PZU, zagroził sądem i poleciał. Po raz drugi wyjaśniłem następnego dnia całą historię, ale ja wiem czy pomogło? Przygotowany jestem psychicznie na wezwanie do sądu, na wszelki wypadek...

Niedźwiedzie jednak spały, koło skunksa przelecieliśmy prawie biegiem, foki też nie było, a jakieś dzikie bawoły wyraźnie nie interesowały naszych pociech. Lama kiedyś magistra opluła, więc profilaktycznie nie podchodziliśmy. A właściwie było już parę kroków do bramy i mżyć zaczęło nieprzyjemnie.

— A czym zakończyła się ta piękna sprawa z paczką pełną węgla, tak zręcznie przepakowaną w Koluszkach? — spytał magister już na ulicy. — Oddali zawartość, czy zgodnie z życzeniem odbiorcy „orzech pierwszy" odesłano do nadawcy?

— Też nie. Zamiast 11-kilogramowej zawartości paczki pechowa kobieta dostała bodaj trzy i pół tysiąca złotych — wyjaśniłem.

— Niech się odwoła, toż to granda w biały dzień!

— Niestety, na stosownym piśmie „stoi" wyraźnie: „Od niniejszej decyzji odwołanie nie przysługuje"...

— Trzeba przyznać: ci na poczcie wiedzą, jak rozegrać takie partie.

I w zdecydowanie lepszych humorach ruszyliśmy zapalać „Fiata" magistra. Z popychu oczywiście.

STEFAN ŻYCIOWY

Redaguje zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak (sekretarz redakcji), Jerzy Kwiecinski, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Ol hnowicz (z ca sekretarza redakcji), Igor Sikirycki (kier. działu literackiego), Karol J. Stryjski, Janusz Szymański, Glanc (grafik), Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelny), Jolanta Wroń ska, Mirosław Zajdler (fotoreporter).

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy" al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438, Łódź. Telefony sekretariat i redaktor naczelny 652-44 sekretarz redakcji 680-99 publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa — Książka — Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej 1040 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa ul. Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153-201045-139. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch", Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres ul. Piotrkowska 96, kod 90-103 Łódź. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam.: 362. L-2

Co to jest transseksualizm?

Era transseksualizmu zaczęła się prawdopodobnie w 1953 roku, kiedy Amerykanin, George Jorgensen, stał się Christine Jorgensen. Prasa światowa wiele wówczas pisała o tym wydarzeniu. We wszystkich tygodnikach ukazywały się fotografie przedstawiające z jednej strony nieśmiałego, chudego młodzieńca o uszach odstających jak kapuściane liście, a z drugiej — śliczną dziewczynę, pewną siebie i dumną ze swej kobiecości. Historia była tym bardziej frapująca, że George alias Christine Jorgensens zrobiła później karierę jako diva kabaretowa.

Drugą taką sensacją była sprawa francuskiej modelki Capucine, która przemieniła się z mężczyzny w kobietę, a w roku 1974 cała Anglia mówiła o Jamesie Morrisie, znanym dziennikarzu, pisarzu i ojcu dzieciom, który powrócił z Casablanki zubożony o to i owo, ale „bogatszy" duchowo. James Morris po przemianie nie malował sobie ust, nie nosił biustonosza ani sztucznych rzęs. Przeobraził się w bardzo dystyngowaną angielską damę, typową panią domu, zadbaną, ale nie wyzywającą. Zarówno Chistine, jak i James wydali książki, w których opisują swoją przemianę. Rzecz znamienna, nie ma tam żadnej wzmianki o sprawach seksu.

I. Co to jest transseksualizm? Aby na to pytanie odpowiedzieć, trzeba przede wszystkim ustalić definicję płci. Istnieje płeć fenotypiczna, która pozwala odróżnić kobietę od mężczyzny na podstawie wyglądu zewnętrznego. Ta płeć niekoniecznie idzie w parze z płcią gonadyczną Również płeć genotypiczna, którą określa związek dwóch chromozomów X u kobiety oraz jednego chromozomu X i jednego chromozomu Y u mężczyzny, może być nie zawsze zgodna z wyglądem zewnętrznym. Ostatnio ustalono, że płeć psychologiczną można rozpoznać tylko na podstawie wewnętrznego przekonania danego osobnika, co do jego przynależności płciowej.

Wystarczy, że jeden z elementów jest w niezgodzie z innymi, a już powstaje możliwość licznych perturbacji. W przypadku nieprawidłowości w strukturze narządów płciowych zdarza się niekiedy, że osobnik urodzony z określoną płcią zmienia ją w okresie dojrzewania. Jeśli się przeprowadza wówczas korekcyjny zabieg chirurgiczny niezgodny z płcią psychologiczną, może to spowodować zachwianie równowagi psychicznej. Wspomina o takich przypadkach amerykański psychiatra, R. Stoller w swej książce pt. „Badania nad tożsamością seksualną".

Niezgodność między morfologią a zachowaniem czyli „odczuwaniem" własnej płci przez danego osobnika, może mieć różne efekty. Hermafrodytyzm jest anomalią fizyczną. Homoseksualista jest świadomy i nawet dumny ze swego zachowania, odczuwa pożądanie tylko w stosunku do osobników tej samej płci. Homoseksualista zniewieściały lub lesbijka o typie męskim odczuwają w stosunkach z osobami tej samej płci pewien psychologiczny pociąg do płci odmiennej. Tak nie jest natomiast w przypadku homoseksualisty o typie męskim lub lesbijki bardzo kobiecej.

U trawestytów utożsamienie się z płcią odmienną wyraża się w przebieraniu się za kobietę, makijażu, przyswajaniu sobie kobiecego sposobu bycia, itp. Jednakże trawestyta nie odrzuca swojej struktury anatomicznej, wręcz przeciwnie, często odczuwa ciche zadowolenie z tego, że w danym momencie „on tylko zna prawdę" i świadomy jest swej ukrytej płci męskiej.

Trzeba więc skrupulatnie odróżnić hermafrodytów, homoseksualistów i trawestytów od transseksualistów. Money i Gaskin definiują transseksualizm jako „zaburzenie tożsamości gatunkowej, wyrażające się stałym manifestowaniem przez danego osobnika pragnienia życia na wzór płci odmiennej i stopniowym zadejmowaniem przezeń kroków w kierunku realizacji tego zamierzenia". (Money i Gaskin, „Sex Reassignment", International Journal of Psychiatry, 1970—71). Nie chodzi tutaj o zwykłe marzenia jak u homoseksualistów, czy też o doraźne i chwilowe naśladowanie osobnika płci odmiennej, lecz o całkowite zaangażowanie.

Money i Hampson uważają, że pojęcie tożsamości gatunkowej każdy przyswaja sobie raz na zawsze w wieku trzech lat. Można to porównać do sytuacji dziecka, które od urodzenia włada dwoma językami. W mózgu tego dziecka wszystkie dźwięki i formuły lingwistyczne zakodowane są jako przynależne do jednego lub drugiego języka. Podobnie w przypadku pojęcia tożsamości gatunku, mózg dziecka zakodowuje wszystkie sygnały informujące o roli gatunku jako przynależne do płci męskiej lub żeńskiej i każdemu z nich nadaje pozytywną bądź negatywną wartość.

II. Nie ma dotychczas żadnych dowodów na to, że perturbacje tożsamości gatunku mogą być wywoływane zaburzeniami psychologicznymi i wydaje się, że czynnik psychologiczny jest czynnikiem dominującym, a nawet jedynym. Można się o tym przekonać, gdy się obserwuje transseksualistów: ich wygląd zewnętrzny różni się znacznie, ale zarówno mężczyzna o typie atlety, bujnie owłosiony, jak i szczupły, wysmukły chłopak o drobnych rękach i nogach są przekonani, że w ich męskim ciele uwięziona jest dusza kobiety.

Jakie są owe wpływy psychologiczne? Stoller przypisuje je wpływom matek. Chłopiec — potencjalny transseksualista nawiązuje tak głęboki kontakt fizyczny i werbalny z matką, że nie odczuwa potrzeby identyfikowania się z ojcem.

Transseksualizm nie zawsze idzie w parze z homoseksualizmem. Przeciwnie, transseksualiści często brzydzą się homoseksualizmem, martwią się, że ich zniewieściały sposób bycia może komuś wydawać się podejrzany. Transseksualista — mężczyzna nie musi więc odczuwać pociągu do osobników tej samej płci, jeśli jednak pociągają go kobiety, jest to raczej uczucie platoniczne.

— W młodości — mówił jeden z transseksualistów — często wyobrażałem sobie, że trzymam za rękę uroczą młodą panienkę i przechadzam się z nią przy blasku księżyca, szepcąc jej do ucha słodkie słowa. Ale na tym kończyło się moje marzenie.

Taki osobnik kocha w kobiecie jej odrębność, którą sam chciałby sobie przyswoić, ale którą jednocześnie odrzuca. Uwikłany w te sprzeczności transseksualista początkowo nie rozumie swego stanu i rozpaczliwie próbuje się dostosować, w przekonaniu, że taki właśnie sposób odczuwania jest normalny. Wielu transseksualistów zawiera więc związki małżeńskie, łudząc się, że problem rozwiąże się w końcu sam przez się. Czasami wszystko początkowo układa się dobrze, funkcje rozrodcze transseksualisty nie są bowiem naruszone, a ewentualna impotencja nie jest spowodowana anomaliami fizycznymi, lecz po prostu brakiem upodobania do miłosnych igraszek. W niektórych przypadkach — i to są z reguły najszczęśliwsze związki — małżonka transseksualisty również nie odczuwa potrzeby współżycia, co pozwala uniknąć wielu konfliktów. Tak właśnie było w przypadku żony Maurice Nolais, który zmienił się w Jeanne Nolais, lub w przypadku pani M., lekarza oftalmologa z prowincji, której małżeństwo z pięknym młodzieńcem, absolwentem szkoły wojskowej, okazało się małżeństwem „białym". Pani ta przez cały czas towarzyszyła swemu mężowi w jego trudnej drodze do kobiecości, a gdy już stał się kobietą, pozostała z nim i obecnie żyją jak dwie siostry, tyle że związane kontraktem małżeńskim

III. Nie zawsze jednak sprawy układają się tak pomyślnie. I tak np. pan D., taksówkarz paryski, ożenił się za radą rodziny i lekarzy, chociaż zdawał sobie sprawę, że coś z nim nie jest w porządku. Z tego związku narodziło się dwoje dzieci. Pan D. jest dobrym ojcem, ale nie mógł przemóc pragnienia stania się kobietą. Zażądał rozwodu, który nastąpił w dramatycznych warunkach. Obecnie pan D. mieszka w Paryżu sam. Żona jego nigdy nie pogodziła się z sytuacją, nie wyszła powtórnie za mąż i wciąż ma do niego żal. Dzieci są bardziej wyrozumiałe, ale pan D. kryje się przed nimi ze swymi problemami. Ukrywa to zresztą przed wszystkimi, z wyjątkiem kilku wtajemniczonych. Pan D. ma wygląd bardzo męski, a więc zmiana płci pozostaje dla niego w sferze utopii. Czasami, w gronie przyjaciół, przywdziewa perukę i maluje sobie usta, ale gdy spogląda w lustro zawsze dochodzi do wniosku, że jest śmieszny. Na szczęście pan D. jest człowiekiem zamożnym, niezależnym materialnie, nie ryzykuje więc utraty pracy i nie naraża się na kpiny kolegów. Gdy wraca do domu po pracy pogrąża się w marzeniach i w nich poszukuje hipotetycznego potwierdzenia iluzji, że kiedyś, w poprzednim wcieleniu był kobietą.

Obecnie dysponujemy większym zasobem informacji na temat transseksualistów, stosunkowo łatwo można przeprowadzić kurację hormonalną i wielu transseksualistów poddaje się jej już w młodym wieku. Ustawodawstwo nie zawsze jednak nadąża za rozwojem medycyny. We Francji Kodeks Napoleona określa kastrację jako przestępstwo i wszelkie tego typu operacje są nielegalne. Niektóre ubezpieczalnie społeczne na prowincji zgadzają się na odnotowanie zmiany płci w książeczkach ubezpieczeniowych, natomiast jeśli idzie o dowody tożsamości jest to niemożliwe w skali państwowej. Powoduje to zresztą wiele innych komplikacji. Jaki pracodawca przyjmie do swego przedsiębiorstwa młodą, dobrze się prezentującą kobietę, ktora według dokumentów jest mężczyzną? Tak więc, poza problemami natury psychologicznej transseksualiści muszą borykać się z niezliczonymi trudnościami społecznymi i administracyjnymi, prawie niemożliwymi do pokonania. Wielu z braku innej możliwości zarobkowania zaczyna uprawiać prostytucję, popada w narkomanię i alkoholizm, a niektórzy nawet popełniają samobójstwo.

IV. Transseksualiści próbują szukać oparcia w stowarzyszeniach. W Paryżu zrzeszają się w stowarzyszeniu AMAHO (Towarzystwo cierpiących na zaburzenia hormonalne). Trudno jest jednak znaleźć wspólny mianownik, gdyż każdy przypadek jest inny.

Inne kraje są bardziej wyrozumiałe niż Francja. W krajach skandynawskich najzupełniej legalnie przeprowadza się „operacje" zmiany płci, w Wielkiej Brytanii wystarczy uzyskać zaświadczenie adwokata, aby zostać zarejestrowanym jako osobnik innej płci W Stanach Zjednoczonych, prawdziwym rajem dla transseksualistów jest Kalifornia, przy czym operacje zmiany płci stały się tak znakomitym źródłem dochodów dla niezbyt uczciwych lekarzy, którzy często po prostu okaleczają pacjentów.

Wielu lekarzy sprzeciwia się operacjom ze względów deontologicznych. Często też lekarze domagają się, aby transseksualista, zanim zdecyduje się na operację, został poddany kuracji psychoterapeutycznej. Taka kuracja powinna jednak przebiegać w optymalnych warunkach. Zapewnia je, jak się wydaje, tylko program Komitetu Tożsamości Gatunku przy szpitalu John-Hopkins w Stanach Zjednoczonych. Przewiduje on następujące warunki:

— pacjent powinien przebywać w środowisku upragnionej płci odmiennej — zawodowym i społecznym — dostatecznie długo, aby móc udowodnić, że jest zdolny funkcjonować jako członek społeczeństwa zgodnie ze swą nową płcią;

— pacjent powinien liczyć co najmniej 21 lat i posiadać obywatelstwo amerykańskie;

— jeśli pacjent cierpiał kiedyś na epilepsję, konieczna jest interwencja neurochirurgiczna, aby usunąć zarówno symptomy epileptyczne, jak i psychoseksualne;

— pacjent powinien być wolny od wszelkich więzów matrymonialnych;

— pacjent powinien być nie karany;

— powinien także mieszkać w bliskiej odległości od szpitala, aby po operacji mógł być systematycznie obserwowany;

— pacjent powinien wyznaczyć któregoś z krewnych, jako dodatkowego pełnomocnika, który może udzielić pisemnej zgody na operację.

Gdy spełnione są wszystkie te warunki, pacjent zostaje poddany kuracji hormonalnej, która powoduje zmniejszenie potencji u mężczyzny i zmianę niektórych wtórnych cech płciowych oraz działa uspokajająco. Kuracja jest zarazem okresem próbnym, w czasie którego pacjent musi prowadzić życie zawodowe i społeczne, jak gdyby był przedstawicielem płci, o jakiej marzy. Musi się także przystosować do zmiany swej struktury płciowej i uregulować wszystkie problemy rodzinne. W tym czasie korzysta z pomocy psychoterapeuty. Sama operacja jest już procedurą nieodwracalną Polega ona, jeśli idzie o mężczyzn, na kastracji, a także na różnych zabiegach kosmetycznych i plastyczno-chirurgicznych.

Transseksualistów amerykańskich wspomaga również Fundacja Eriksona w Baton-Rouge w Luizjanie, która wydaje specjalne czasopismo, a także podręczniki mające za zadanie informowanie rodzin, uśmierzanie niepokojów i wątpliwości religijnych transseksualistów oraz udzielanie im pomocy w znalezieniu pracy i rehabilitacji społecznej.

Mimo tych wszystkich udogodnień, ostatnie doniesienia nie nastrajają optymistycznie. Niektórzy transseksualiści odnoszą wrażenie, jak gdyby śnili na jawie i nagle obudzili się, przechodząc ze snu do koszmarnej i nieodwołalnej rzeczywistości. Ogólnie rzecz biorąc, los tych ludzi jest tragiczny i tylko wyjątkowo można spotkać transseksualistę szczęśliwego. Jak mówi Stoller — co by się nie robiło dla leczenia i poprawy sytuacji transseksualisty — zawsze robi się źle.

Według artykułu CATHERINE TIHOIT w „LE MONDE DIMANCHE".